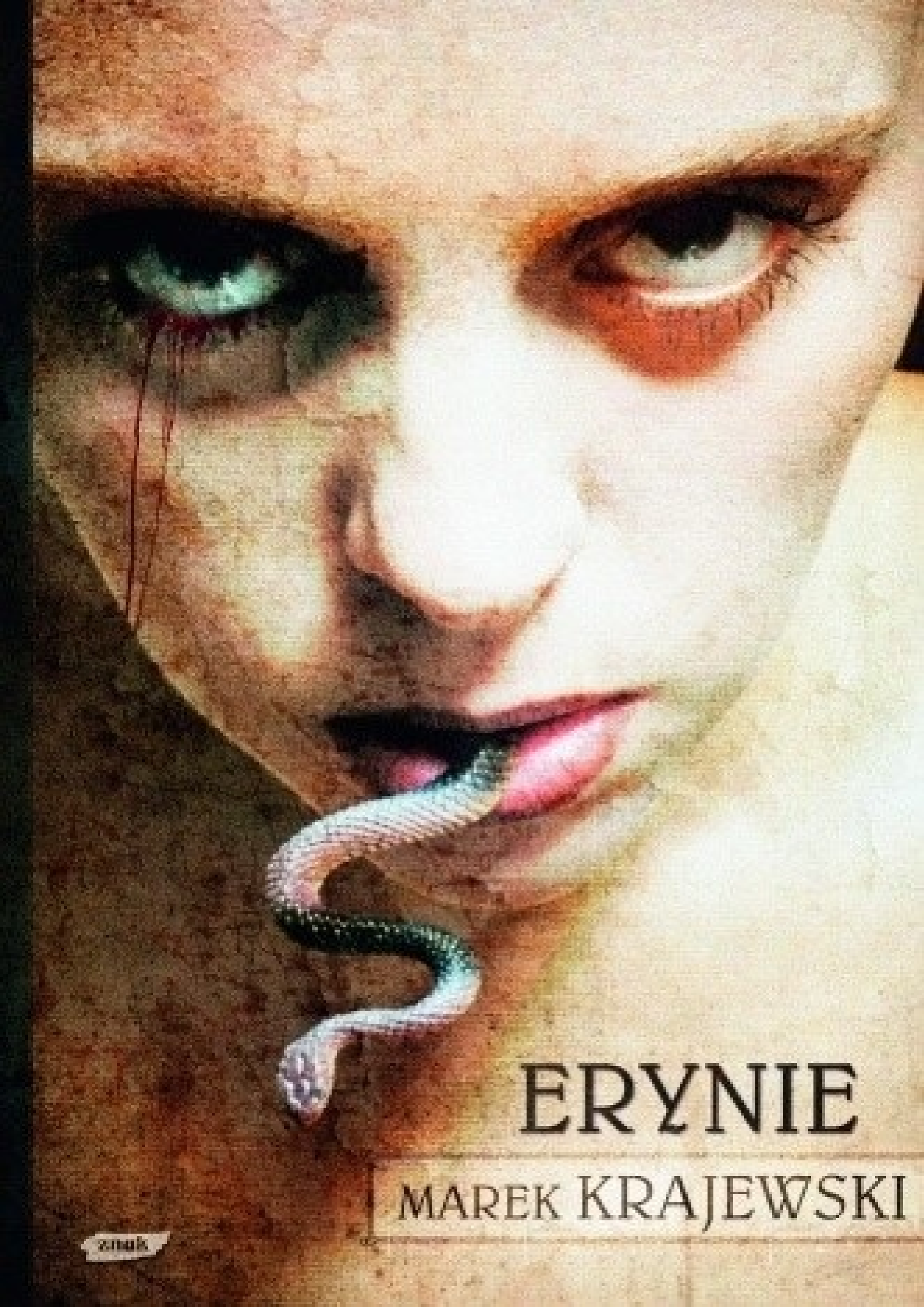
ERYNIE
MAREK KRAJEWSKI
znak

MAREK KRAJEWSKI

ERYNIE

Kraków 2010

Erynie były personifikowanymi wyrzutami sumienia, (…) które (…) mogą zabić człowieka (…). Człowiek taki albo oszaleje (…), albo też, tak jak Orestes, zawinie głowę w szatę i nie będzie przyjmował strawy ani napoju, aż umrze z głodu, i dzieje się tak, nawet jeśli nikt nie wie o jego winie.

Robert Graves, Mity greckie

PROLOG

WROCŁAW, 2008

Ostatnie, jedenaste uderzenie ratuszowego zegara rozchodziło się powoli w drżących falach powietrza. upał sięgał trzydziestu pięciu stopni. Kwiaciarka na placu solnym skierowała ku niebu gumowy wąż, przytknęła palec do jego wylotu, rozpraszając tryskającą wodę w szereg cienkich, strzykających strumieni. Jej kilkuletnia córka, rozebrana do samych majtek, wbiegła z radosnym okrzykiem pod zimny prysznic.

Pod plastikowymi markizami lodziarni La Scala, topiącymi się prawie od słońca, temperatura była wyższa o kilka stopni. Kelnerka Patrycja Wójciak obserwowała dziecko chłodzące się pod prowizorycznym prysznicem i wycierała w fartuszek spocone dłonie. Wydawało się jej, że stojący na środku placu spiczasty monument kołysze się w wodnej mgle rozpylanej przez gumowy wąż.

Patrycja wiele by dała, aby móc oderwać się od drzwi cukierni, w których stała dla ochrony klientów przed natrętnymi żebrakami. Wiele by dała, aby zdjąć z siebie kelnerskie ciuchy i rzucić się na ruchliwą zasłonę wody. Chciała zmyć z siebie woń klubu muzycznego, która nie dała się usunąć porannym natryskiem, chciała poczuć krople na

zmęczonych od tańca łydkach i udach oraz na piersiach, tak namiętnie wczoraj ugniatanych i pieszczonych. Popatrzyła na aluminiowe błyszczące stoliki i dotkliwie odczuła cały absurd swej przedpołudniowej bezużyteczności. W La Scali nie był o tej porze potrzebny ani strażnik, ani kelner. Przy stoliku nie siedział bowiem żaden klient, a żebracy pochowali się przed spiekotą w swych norach.

Pięćdziesięcioletnia kobieta, która weszła w duchotę cukiernianego ogródka, przypomniała Patrycji Wójciak o jej podstawowych obowiązkach. Klientka usiadła i zaczęła nerwowo przerzucać rzeczy w torebce. Dobyła z niej papierosy i srebrzystą małą zapalniczkę. Patrycja ze służbowym uśmiechem stanęła na baczność przy stoliku. Klientka zmierzyła ją wzrokiem i wysokim, zgrzytającym głosem zażądała cappuccino i wody mineralnej gazowanej, dodając przy tym, że woda ma mieć rozsądną cenę, bo za żadne wstrętne perrier nie zapłaci ani złotówki. Patrycja odeszła od stolika i rugała w myślach impertynencką klientkę. Ty stara ruro, myślała dziewczyna, ty spieczona solaro, na jakim bazarze kupiłaś sobie te tandetne posrebrzane bransoletki i te chińskie klapki? Myślisz, że jesteś ładna w tej mini i tej spranej, rozciągniętej bluzce? Jakiemu facetowi się spodoba twój spieczony i kościsty dekolt? Oj, babciu, myślisz, że ciemne okulary ukryją twoje wory? Trzeba było wczoraj tyle nie chlać, stara lampucero, to byś tak nie wyglądała!

Po chwili stawiała przed klientką kawę i wodę mineralną. Dłonie kobiety drżały, gdy przykładała do papierosa płomień zapalniczki. Nie raczyła podziękować za napoje. Patrzyła rozbieganym wzrokiem w stronę przejścia do Biblioteki Uniwersyteckiej, skąd miał nadejść człowiek, z którym zgodziła się dziś spotkać. Zaciągając się mocno, zrozumiała, że jej decyzja była pochopna. Że najchętniej zapomniałaby o tym człowieku.

Nadszedł po kilku minutach, lecz z przeciwnej strony - spod pubu John Bull. Dłoń kobiety drgnęła, a puszysta pianka cappuccino spłynęła po filiżance na błyszczący blat, kiedy mężczyzna stanął obok. Dotknął jej dłoni i uśmiechnął się przyjaźnie. Kobieta zacisnęła usta i cofnęła rękę, jakby ją poparzył. Stolik zachwiał się niebezpiecznie.

Patrycja podeszła do mężczyzny i zanim ten otworzył usta, aby złożyć niezwykłe zamówienie - potrójny wyciskany sok pomarańczowy z sosem tabasco - jeden rzut oka wystarczył tej spostrzegawczej kelnerce, by go bezbłędnie ocenić. Uznała klienta za świetnie utrzymanego pana pod siedemdziesiątkę. Gładka skóra twarzy i szyi, najwidoczniej często poddawana zabiegom kosmetycznym, miała nieliczne brązowe przebarwienia i wydzielała przyjemny zapach drogiej wody kolońskiej, na nos Patrycji - Joop lub Hugo Bossa. Jeden przegub mężczyzny opinała bransoleta, drugi zaś - duży, elegancki zegarek. Oba przedmioty były koloru srebra, lecz ich blask szybko utwierdził Patrycję w przekonaniu, iż budulcem biżuterii jest białe złoto. Klient zdjął lniany kaszkiet i otarł z potu łysą głowę. Jego towarzyszka, drżąc mimo spiekoty, przyglądała mu się uważnie i prawie połykała cienkiego papierosa.

Oż kurde, ale dzisiaj wszyscy mają kaca, pomyślała kelnerka, stawiając przed mężczyzną ogromny puchar mętnego soku.

Myliła się. Z ich trójki skacowana była tylko ona sama, choć na to nie wyglądała, nie zaś klientka, choć tej akurat - wnioskując z jej wyglądu - można by śmiało przypisać ten stan. Jej niemile widziany towarzysz natomiast ani nie był przepity, ani w niczym

przepitego nie przypominał, choć większość dorosłego życia zeszła mu właśnie na leczeniu kaca.

Patrycji zdawało się, że pod rozpalonymi markizami zaczynają się kłębić jakieś chemiczne wyziewy. Zamknęła usta, a palcami ścisnęła zaczerwienione nozdrza. Wbrew zasadom kelnerskiego zachowania usiadła przy wolnym stoliku. Po chwili nabrała powietrza i odetchnęła z ulgą. Wciąż działał biały proszek, zamknięty w przezroczystej kapsułce, którą łyknęła nad ranem. Nie chciało się jej spać, nie chciało się jeść, a wyostrzone zmysły jak niezawodne receptory wyłapywały najcichsze dźwięki i najlżejsze zapachy. Żadne słowo z rozmowy pomiędzy jedynymi klientami cukierni nie uszło uwadze Patrycji.

- Dobrze wyglądasz - powiedział mężczyzna do swej towarzyszki.

- Daruj sobie - prychnęła kobieta - te kiepskie komplementy. Może robią one wrażenie na twojej kolejnej żonie.

- Nie robią. - Mężczyzna z rozdrażnieniem odsunął popielniczkę. - Tym bardziej że twoja następczyni nasłuchała się już tylu komplementów, że nie robią na niej wrażenia nawet te… Najbardziej wyszukane.

- Po co mnie tu zaprosiłeś? - Kobieta wypiła resztkę cappuccino. - Żeby mnie zdołować? Żeby mi pokazać, że jestem stara i brzydka? Spójrz na siebie, dziadu. Gdyby nie kasa, żadna nie zbliżyłaby się do ciebie na odległość metra. Czuć od ciebie rozkładem spod tego Gucciego.

- Tak, masz rację. - Głos mężczyzny zadrżał. - Moja choroba sięga bardzo głęboko, prawie grobu. Masz rację, śmierdzę jak trup.

Patrycja aż się wzdrygnęła. Nie chciała słyszeć takiej rozmowy. Tego lipcowego poranka zniosłaby wszystko, byleby nie być świadkiem żadnego ludzkiego dramatu, byleby nie słyszeć jęczenia jakiejś starej rury i jej eks-męża, który usiłuje swój uwiąd ukryć pod dobrymi kosmetykami i biżuterią z białego złota. Dziewczyna nie miała jednak wyboru i musiała tkwić w swym ogródku. Oto spod kamienicy Pod Murzynem szedł znany jej dobrze mały ulicznik z kilkoma ukradzionymi różami, który często niepokoił klientów cukierni, zachęcając panów do kupienia kwiatka towarzyszącym im paniom. Patrycja musiała zatem pozostać na swym posterunku, odpędzić chłopaka i tym samym wysłuchiwać tych starych ludzi, którzy w sierpniowym upale nie mieli nic lepszego do roboty niż rozdrapywać swe strupy.

- Wiem, że nie chciałaś się ze mną spotkać. - Głos mężczyzny był już spokojny. - Wiem, co ci przypominam. Bezsenne noce, kiedy czekałaś na mnie, a ja wracałem nad ranem, śmierdząc dziwkami i nieprzetrawioną wódą. Przypominam ci chwile, kiedy budziłem cię o trzeciej w nocy i w jakiejś chorej ekspiacji podstawiałem ci pod nos jajecznicę. Ty jej nie chciałaś jeść, a ja, urażony, dotknięty do żywego, zraniony w swym dobrym, szczerym i płaczącym sercu, wylewałem ci na twarz gorące jaja na pomidorach.

Patrycja wstała gwałtownie i ruszyła w stronę ulicznika z kwiatami, który już-już zbliżał się do cukierni. Chłopak natychmiast obszedł stoliki szerokim łukiem, pokazując kelnerce wyciągnięty środkowy palec.

- Muszę ci o tym mówić. - Mężczyzna chwycił swoją towarzyszkę za nadgarstek -

Tak zalecił mój terapeuta. Jeśli mnie nie wysłuchasz, wrócę do Warszawy i będę dalej chlał.

- Szantaż, co? - Jej szyja oblana była purpurowym rumieńcem. - Skąd ja wiem, czy mówisz prawdę o swojej terapii? A nawet jeśli nie kłamiesz, to która to już terapia? Siódma, ósma? Straciłam rachubę. W czasie naszego małżeństwa byłeś chyba na dwóch! A poza tym, co ty sobie, kurwa, myślisz? Że będę znosiła twoje chore wspomnienia, których nie chcę słuchać? Jakieś jaja na pomidorach? Tylko dlatego, że tak zalecił ci jakiś terapeuta? Jakiś porąbany psychiatra?

Patrycja zaczęła się zastanawiać, jak zwrócić uwagę kobiecie, aby nie przeklinała. Usiadła kilka stolików dalej, lecz jej słuch, wyostrzony przez koks, wyłapywał teraz nawet szept, do którego mężczyzna zniżył swój głos.

- Nie krzycz, proszę. Po tobie nie miałem żadnej innej żony. Mówiąc o twojej następczyni, myślałem o flaszce. O gorzale. To właśnie tej pani prawi komplementy cały ród alkoholików. To właśnie o niej myślałem. Ale i z nią nie mam stosunków od miesięcy. - Kobieta milczała. - Wiem, że śmierdzę trupem. - Wypił ostatni łyk ostro doprawionego soku. - Ale zanim prześmierdnę na amen, to… Posłuchaj mnie.

- Mów, słucham. - Spojrzała na zegarek. - Mam jeszcze godzinę. Tyle, ile prosiłeś. Potem muszę wracać do redakcji.

- Mój terapeuta jest psychologiem, nie zaś byłym alkoholikiem. On leczy przyczyny alkoholizmu, nie jego skutki. Nie mamy czasu. Muszę gdzieś z tobą pojechać. Zaufaj mi. To nam niewiele zajmie. Opowiem ci wszystko po drodze. Chodź, tu mam auto, niedaleko, w hotelu Dorint. Musimy tam jechać. Mogę panią prosić? - Zwrócił się do Patrycji, nie czekając na odpowiedź swojej byłej żony.

- Następnym razem, kiedy się zobaczymy - wysyczała kobieta - to na twoim pogrzebie. Przyjdę zobaczyć, jak cię ubrali do trumny. Czy krawat pasuje do marynarki. A teraz jest przedostatni raz.

- Reszta dla pani. - Uśmiechnął się do Patrycji, ukazując lśniącą biel zębów.

- A teraz mów, dokąd jedziemy? - Kobieta schowała papierosy do torebki.

- Mówiłaś coś o pogrzebie? Zawsze podziwiałem twoją intuicję. Otóż jedziemy na cmentarz. Ty i ja.

- Nie jadę na żaden cmentarz.

- Proszę cię, abyś pomogła mi wyjść z choroby alkoholowej.

- Nigdzie nie jadę - powtórzyła uparcie, zaciskając dłoń na torebce.

- Coś za coś. - Uśmiechnął się przebiegle. - Ty pojedziesz ze mną, a ja opowiem ci historię, którą będziesz mogła opisać albo sfilmować. To będzie świetna rzecz i nie będziesz już dłużej pisać o dziurach w moście!

- Mów dalej, jeszcze się nie zgodziłam. - W oczach kobiety pojawił się nikły błysk zainteresowania.

- Pamiętasz, nakręciłem kilka lat temu taki cykl dokumentalny o ludziach, którzy po latach odkryli swoją prawdziwą tożsamość?

- Pamiętam - odpowiedziała niechętnie. - Mój naczelny kazał mi nawet go zrecenzować, ale odmówiłam.

- Kręcę dalszą część tego cyklu… Opowiem ci o bohaterze pierwszego filmu… Tobie mogę powierzyć jego reżyserię!

- Coś musisz jednak dodać, żebym się zainteresowała. - Demonstracyjnie na powrót wyjęła z torebki zapalniczkę i papierosy.

- Słyszałaś o takiej sprawie z połowy lat sześćdziesiątych, kiedy w jednej z piwnic we Wrocławiu znaleziono tajny schron, a w nim kości mężczyzny?

- Nie, nie słyszałam.

- Wyobraź sobie, że obok trupa było około trzech tysięcy zdjęć.

- Jakich zdjęć?

- Każde z nich przedstawiało roczne, może dwuletnie dziecko. Rozumiesz, obok trupa były trzy tysiące tych samych zdjęć! Tego samego dziecka!

Kobieta milczała. Bez zmrużenia oczu wpatrywała się w mężczyznę i nerwowo stukała po stole czerwonymi, tu i ówdzie obgryzionymi paznokciami.

- Mów dalej! - Nie wytrzymała naporu ciekawości.

- Sprawa była bardzo tajemnicza. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Nikt nic nie wiedział o istnieniu tego schronu, nie miała o nim pojęcia nawet obrona cywilna. Nie wiadomo, kto do niego wchodził, a nade wszystko nie wiadomo było, kim jest trup. Kluczem do zagadki było to powielone trzy tysiące razy zdjęcie dziecka. Pojawiło się ono w gazetach, a nawet w telewizji. Nikt nie został zidentyfikowany.

- No i co?

- Ale ja już wiem, kim było to dziecko. To co, jedziesz ze mną? Coś za coś?

- No dobra, Andrzej, jedziemy. - Kobieta po raz pierwszy wymówiła jego imię.

Schowała z powrotem swe nikotynowe utensylia, wstała i kiwnęła głową. Po chwili nikogo już nie było pod rozpaloną markizą.

Patrycja schowała dwadzieścia złotych do portfela i z ulgą weszła do lokalu. Andżelika, jej koleżanka stojąca za ladą, przypatrywała się odchodzącej parze.

- Wiesz, ten starszy facet, to chyba jakiś gość z telewizji - powiedziała Andżelika w zamyśleniu. - Ja go gdzieś widziałam…

- To chyba jakiś filmowiec - odparła Patrycja. - Mówił o kręceniu filmów dokumentalnych, a na smyczy miał identyfikator z napisem „Era Nowe Horyzonty”. Andrzej Jakiśtam. Nie popatrzyłam na nazwisko.

- Coś ty, Pati! Nie spojrzałaś na nazwisko?! - Brwi Andżeliki podjechały w górę i prawie się schowały pod nierówną, modnie przyciętą grzywką. - Nie chciałabyś być w telewizji? Taka laska jak ty? A podczas tego festiwalu pełno jest facetów, którzy mogą pomóc. I wcale nie trzeba od razu iść z nimi do łóżka! Wiesz, opowiadała mi Anka, no ta, wiesz, z Daytony…

Patrycja spojrzała z uśmiechem w wielkie naiwne oczy koleżanki, która - sama otyła i ubrana, jak zawsze, w dziwne falbanki - nigdy nie skąpiła jej komplementów.

- Dziewczyno - powiedziała z naciskiem, a jej uśmiech zgasł. - Niechcący słyszałam, o czym ten łysy gościu rozmawiał. I wiesz, co ci powiem? Takich skurwysynów jak ten facet trzeba omijać szerokim łukiem.

WROCŁAW, 1949

Po śniadaniu w więzieniu na Kleczkowskiej panował taki smród, że rozprzestrzeniał się na okoliczne ulice. Wtedy to bowiem więźniowie opróżniali wiadra z nieczystościami. Mieszkańcy okolicznych kamienic nie przeklinali ani nie zatykali nosów. Ci twardzi ludzie z polskich Kresów, którzy niedawno przybyli nad Odrę i zajęli kleczkowskie kamienice, byli przyzwyczajeni nie do takich niedogodności.

Jeden z nich włożył kaszkiet na głowę, pocałował żonę, która karmiła kaszką roczne dziecko, a potem schował do kieszeni dwie kromki chleba ze smalcem, owinięte szarym przetłuszczonym papierem używanym od wielu tygodni. Pogwizdując jakąś melodię, ruszył do pracy.

Szedł ulicą Kleczkowską w stronę Reymonta. Przeszedł obok ponurej bramy z judaszem, obok ceglanego muru zwieńczonego budkami strażników, skręcił w lewo i zatrzymał się na przystanku tramwajowym. Obejrzał się do tyłu. Z bramy więziennej wyjechała ciężarówka. Po kilkunastu sekundach zatrzymała się na skrzyżowaniu. Kierowca uchylił okienko i wyrzucił papierosa na bruk ulicy.

Mężczyzna podniósł papierosa i pociągnął. Jakaś jejmość spojrzała z pogardą na palącego.

- Ta joj, paniuńciu. - Uśmiechnął się szeroko. - Ta bieda, grajcarów ni ma, a palić się chce!

Kobieta odwróciła się bez słowa i rzuciła się, by wraz z innymi forsować drzwi tramwaju, który właśnie nadjechał, dzwoniąc przeraźliwie. Palacz wszedł do pobliskiej bramy i wykruszył tytoń z papierosa. Oprócz tytoniu w bibułce znajdował się gryps. Mężczyzna rozpostarł go i przeczytał: ***„Dziękuję za cebulę, jestem zdrów. Kim jest Ber Hoch?”***

Wiedział, że na ten gryps czeka pewna dystyngowana starsza pani z jego rodzinnego Lwowa.

Alekto

(…) Określał ich jako Aniołów zemsty. Wiedział z doświadczenia, że owi Aniołowie są doskonałymi policjantami. Przypuszczał również, że znajdują się najbliżej niewidocznego skraju przepaści.

Michael Connelly, Ciemność mroczniejsza niż noc

Nad lwowskim starym rynkiem wstawał świt. Różowy blask wdzierał się pomiędzy nędzne budy, w których baby zaczęły ustawiać swe kociołki z barszczem i pierogami, osiadał na bańkach z mlekiem, które żydowski handlarz targał na dwukołowym wózku z mleczarni Estery Fisch, i załamywał się na daszkach kaszkietów baciarów, którzy stali w bramach i nie mogli się zdecydować, czy pójść spać czy czekać na otwarcie pobliskiego szynku na rogu, gdzie mogliby zaspokoić bombą piwa palące poalkoholowe pragnienie. Poblask jutrzenki układał się na sukienkach dwóch dziewczyn, które nie doczekawszy się tej nocy żadnego klienta milcząc, wracały ze swoich stanowisk na Mostkach i znikały w bramach przy Mikołajskiej i Smerekowej, gdzie w ubogich izbach wynajmowały łóżko z parawanem. Mężczyzn, zmierzających w pośpiechu przez Wysoki Zamek do fabryki wódek Baczewskiego, różowe światło raziło prosto w oczy, lecz oni je ignorowali, wbijali wzrok w brukowaną jezdnię i przyśpieszali kroku, a od ich szybkich ruchów szeleścił papier, w który żony owinęły im chleb i cebulę. Nikt z lwowskich uliczników i robotników nie podziwiał różanopalcej Eos, która rzeźbiła trójkątne dachy szpitala Sióstr Miłosierdzia, nikt się nie zastanawiał nad cyklicznością zjawisk natury, nikt nie analizował zmian subtelnych barwnych niuansów.

Podkomisarz Franciszek Pirożek, podobnie jak jego krajanie, daleki był od homeryckich zachwytów. Jadąc ulicą Kazimierzowską nowiutkim policyjnym chevroletem, patrzył z wytężoną uwagą na swoich współmieszkańców. Szukał u nich jakichś oznak szczególnego niepokoju, wypatrywał grupek ludzi żywo dyskutujących, a nawet zbitych w niebezpieczne kupy i uzbrojonych w prowizoryczne narzędzia. Takich, którzy chcą zlinczować zbrodniarza. Nikogo takiego nie widział wcześniej - ani na ulicy Kopernika, ani na Legionów. Nie widział i teraz. Stopniowo się uspokajał, a jego wydech ulgi stawał się coraz głośniejszy. Nie było zwiastunów żadnych rozruchów. Jakież to szczęście, pomyślał, mijając Teatr Wielki i parkując przed apteką na Żółkiewskiej 4, że tę potworność odkrył aptekarz, rozsądny racjonalista, który nie miota się po podwórku i nie wrzeszczy, budząc wszystkich dokoła!

Pirożek wysiadł z automobilu, rozejrzał się dokoła i poczuł ścisk w gardle. Widok posterunkowego przed apteką nie uszedł uwagi okolicznych mieszkańców, którzy stali wokół i głośno, a nawet dość zuchwale i obcesowo zastanawiali się nad poranną obecnością w tym miejscu stróża prawa. Ten zaś spozierał na nich surowo spod daszka czapki i raz na jakiś czas robił srogą minę, uderzając pałką o dłoń. W tej dzielnicy policjanci nie wzbudzali respektu. Bywały czasy, że musieli chodzić środkiem ulicy, aby uniknąć wciągnięcia do bramy i pobicia. Toteż posterunkowy z komisariatu III ucieszył się, widząc Pirożka, zasalutował mu i przepuścił go do apteki. Ten wiedział, dokąd ma iść. Skierował się za ladę z przestarzałym telefonem, przeszedł przez ciemną sień, potknął się

o skrzynkę, w której leżała zardzewiała waga apteczna, i wszedł do kuchni mieszkania zajmowanego przez aptekarza i jego rodzinę na tyłach.

O ile aptekarz, pan Adolf Aschkenazy, zachowywał się - zgodnie z przewidywaniami Pirożka - bardzo spokojnie, o tyle jego żona nie miała w sobie nawet kropli jego zimnej krwi. Siedziała przy stole, szczupłe palce wciskała w papiloty, otaczające jej czaszkę jak czapka narciarska, i głośno zawodziła, potrząsając głową. Jej mąż otaczał ją ramieniem i podsuwał pod usta szklankę - jak można było poznać po zapachu - z naparem waleriany. Na ogniu podskakiwał czajnik. Para zasnuwała okna, co uniemożliwiało podglądanie gapiowi, któremu udało się umknąć uwadze posterunkowego na zewnątrz. Zaduch był dławiący. Pirożek zdjął kapelusz i otarł czoło. Pani Aschkenazy wpatrywała się w niego z takim przerażeniem, jakby oto ujrzała diabła, nie zaś rumianego, zażywnego i wzbudzającego na ogół zaufanie funkcjonariusza. Pirożek mruknął słowa powitania i odtworzył w pamięci rozmowę telefoniczną, jaką przeprowadził z panem Aschkenazym pół godziny temu. Aptekarz opowiedział wtedy wszystko bardzo spokojnie i szczegółowo. Pirożek nie musiał go zatem pytać teraz o to samo i to w dodatku w obecności wystraszonej żony i ciekawskiego przyklejonego do szyby.

- Gdzie jest wyjście na podwórko? - zapytał Pirożek.

- Przez sień i do końca, panie policmajster - nieoczekiwanie odpowiedziała pani Aschkenazy.

Pirożek, nie zadając sobie pytania o nagłą aktywność aptekarzowej, wszedł z powrotem do ciemnej sieni. Przez drzwi obok słyszał głośne pochrapywanie. Pewnie małe, zakatarzone dzieci, pomyślał, one zawsze mają mocny sen, którego nie wzburzy nawet panosząca się wokół śmierć.

Błotniste podwórko zabudowane było z trzech stron. Od ulicy oddzielał je żelazny parkan, do którego dostępu bronili posterunkowi. Dokoła stały dwupiętrowe odrapane budynki z galeryjkami. Na szczęście większość mieszkańców spała. Jedynie na pierwszym piętrze siedziała siwa kobieta na stołeczku i nie spuszczała oczu z przodownika Józefa Dułapy, który stał nieopodal wychodka i palił papierosa. „Wyszedłem za potrzebą - Pirożek odtwarzał w myślach telefoniczną relację Aschkenazego - i znalazłem w ustępie coś strasznego”.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedział Dułapa i zdeptał butem niedopałek papierosa.

- Co wy robicie, Dułapa! - krzyknął Pirożek, aż staruszka podskoczyła na galeryjce. - Tu jest miejsce zbrodni! Naplujcie na peta i do kieszeni! Nie zamazujcie mi tu śladów, do jasnej cholery! Co, wy przodownik jesteście czy jakiś gówniarz kontraktowy?!

- Tak jest! - odpowiedział Dułapa i zaczął szukać niedopałka pod butem.

- Gdzie to jest? - Pirożek, jak tylko wypowiedział te słowa, poczuł niesmak. Nie powinien mówić o zmarłym człowieku „to”. - No gdzie jest to ciało? - poprawił się. - Nie ruszaliście go przypadkiem? Pokazać palcem i dawać mi latarkę!

- W ustępie, niech pan komisarz uważa. Leżą tam bebechi - szepnął przodownik zaniepokojony i dodał jeszcze ciszej, wręczając mu latarkę: - Panie komisarzu, bez urazy, ali to straszna sprawa. Sprawa dla komisarza Popielskiego.

Pirożek nie obraził się. Uważnie zlustrował wilgotną czarną ziemię, aby nie zadeptać jakichś śladów. Potem podszedł do ustępu i otworzył drzwi. Smród odebrał mu oddech. Widok, jaki ujrzał w różowym świetle świtu, zaburzył mu jasność widzenia. Kątem oka dojrzał, jak staruszka wychyla się mocno za barierkę, chcąc zajrzeć w głąb wychodka. Zatrzasnął drzwi.

- Dułapa - powiedział, wciągając do płuc zepsute powietrze - usuńcie z galerii tę starą.

Przodownik poprawił kołnierz z błękitnym paskiem i ruszył z groźną miną w stronę schodów.

- No, ciocia drypcia - krzyknął do kobiety - na chawiry, ali już!

- Człowiek za potrzebą wyjść ni może! - wrzasnęła kobieta, ale posłusznie schowała się do mieszkania, przezornie zostawiając jednak stołek na galerii.

Pirożek otworzył jeszcze raz drzwi i oświetlił bladą bryłę leżącą w ustępie. Ciałko dziecka było tak przekrzywione, jakby ktoś próbował wcisnąć jego główkę pod kolano. Włosy na głowie były rzadkie i poskręcane. Skóra policzków wzdymała się pod naporem opuchlizny. Na progu leżały jelita, których śliską powierzchnię pokrywały nieregularne strumyki krwi. Całe ciało pokryte było strupami. Podkomisarz miał uczucie, jakby jego krtań stała się czopem blokującym oddech. Oparł się o otwarte drzwi. Nigdy czegoś takiego nie widział. Chore, kostropate, połamane dziecko. Ma na oko nie więcej niż trzy lata. Wyprostował się, splunął i jeszcze raz spojrzał na ciało. To nie były strupy. To były rany kłute.

Pirożek zatrzasnął drzwi wychodka. Dułapa patrzył na niego z niepokojem i zaciekawieniem. Z oddali, od strony ulicy Gródeckiej zadzwonił pierwszy tramwaj. Nad Lwowem wstawał kolejny piękny majowy dzień.

- Macie rację, Dułapa - podkomisarz Pirożek powiedział to bardzo powoli - to jest sprawa jak raz dla Popielskiego.

***

- Laudetur Iesus Christus - powiedział nieco drżącym głosem ksiądz Ignacy Fedusiewicz.

Kiedy zegar na ratuszu uderzył po raz ósmy, arcybiskup Bolesław Twardowski zamknął okno w swej rezydencji na ulicy Czarnieckiego i dwa ostatnie dźwięki dzwonu zostały wytłumione. Spojrzał na kopułę Dominikanów i drzewa skweru przy budynku Straży Pożarnej. Następnie odwrócił się do stojącego za biurkiem młodego księdza i wyciągając pierścień do pocałowania, odpowiedział:

- In saecula saeculorum. Siadaj, chłopcze.

Metropolita lwowski sam również usiadł za potężnym orzechowym biurkiem i otworzył srebrne pudełko na papierosy. Wyjął papierosa Egipskiego i przypalając go, po raz setny zapytał w duszy sam siebie, czy nałóg nikotynowy jest rzeczywiście dostatecznie usprawiedliwiony poprzez wspieranie hurtowni tytoniowej należącej do kościelnego charytatywnego dzieła „Rodzina Sieroca”, gdzie - zgodnie z jego zaleceniem - paląca część kleru zaopatrywała się w tytoń. Niespecjalnie podobał mu się czujny i uważny

wzrok młodego księdza. Jego oczy za drucianymi okrągłymi okularami pytały: czy to przystoi metropolicie palić w towarzystwie jakiegoś podrzędnego kapłana? Arcybiskup uznał w duchu, że ma nadzwyczajne powody do tego, aby uspokajać swe nerwy wonnym dymem, i przesunął gazetę po blacie biurka w stronę księdza Fedusiewicza.

- Czytałeś dzisiejszy dodatek nadzwyczajny „Słowa”? - zapytał arcybiskup Twardowski.

- Wasza Ekscelencjo, całe miasto już mówi o zabójstwie małego Henia Pytki. - Ksiądz Fedusiewicz nie odpowiedział wprost na zadane pytanie.

- A co wie całe miasto o człowieku, który odnalazł zwłoki tego nieszczęsnego chłopca? - zapytał hierarcha, odkładając papierosa na brzeg kryształowej popielnicy.

- Mówiąc całe miasto, Wasza Ekscelencjo - ksiądz poruszył się niespokojnie, jak uczniak nieprzygotowany do odpowiedzi - miałem na myśli moich chłopców z bursy. Na dzisiejsze śniadanie niektórzy z nich się spóźnili. Przyszli z dodatkiem nadzwyczajnym „Słowa” i cały czas dyskutowali o morderstwie Henia Pytki.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Gazety pisały tylko tyle, że ciało chłopca odnalazł w wychodku na swoim podwórku jakiś aptekarz i zawiadomił policję.

- Podano nazwisko tego aptekarza?

- Nie. Chłopcy mieli trzy różne gazety. Ale o ile wiem, nikt inny nie napisał o tej potworności. Pewnie tylko „Słowo” ma informatorów na policji. Moi chłopcy nie wyczytali tam żadnego nazwiska.

Arcybiskup zdusił papierosa i podszedł do wspaniałej szafy gdańskiej. Otworzył ją i z górnej półki wyjął szarą kartonową teczkę zawiązywaną na tasiemki.

- Nie tylko „Słowo” ma swoich informatorów, chłopcze. My mamy lepszych. Wiemy, jak się nazywa ten aptekarz - powiedział, otworzył teczkę i poprawił okulary na nosie. - Adolf Aschkenazy. Tak się właśnie nazywa. I mimo że wszystkie gazety były posłuszne nakazowi policji i żadna nie podała nazwiska tego człowieka, jutro będzie je znał cały Lwów, jeśli nie cała Polska. Otóż jutro wszyscy będą wiedzieć, że Izraelita Adolf Aschkenazy znalazł w swym ustępie chrześcijańskie dziecko z wieloma ranami od noża. Wiesz, co to znaczy?

Młody duchowny aż powstał z krzesła.

- Tak… Nie, to nie może być. - Ksiądz Fedusiewicz nie mógł opanować drżenia rąk i nerwowych ruchów ramionami. - Przecież nikt nie uwierzy, że żydowski aptekarz popełnił mord rytualny na katolickim dziecku, a potem zawiadomił policję! To niemożebne!

- Ludzie nie w takie rzeczy uwierzyli. - Arcybiskup podszedł do młodego człowieka i położył mu rękę na ramieniu. - Wiesz, chłopcze, jak bardzo cenimy twoją pracę z młodzieżą pro publico bono?

- Dziękuję, Ekscelencjo - wyszeptał ksiądz Fedusiewicz.

- Twój ciężki codzienny znój z tymi młodymi, poszukującymi prawdy i żarliwymi duchami - ciągnął arcybiskup. - Z tymi radykalnymi akademikami, którzy są czasami tak

zapalczywi, tak owładnięci szlachetnymi ideami narodowymi, że sięgają po metody gwałtowne, których my nie pochwalamy. Ty, jako duszpasterz mający najbliższy kontakt z tymi młodzieńcami, potrafisz ich poskromić, potrafisz skierować ich entuzjazm na właściwe tory. Wiesz, dlaczego cię zaprosiliśmy? - Podszedł do biurka i stuknął palcem w gazetę. - Dlatego. Zrób wszystko, aby zapobiec radykalizacji nastrojów wśród akademików. Zdradź im nazwisko aptekarza i przemów do rozsądku - skrzywił się, jakby rozbolał go ząb - zanim niektórzy księża w najbliższą niedzielę oskarżą Żydów o mord rytualny na chrześcijańskim dziecku. To wszystko.

- Dziękuję za zaufanie, Wasza Ekscelencjo - ksiądz Fedusiewicz z pokorą pochylił głowę - ale pragnę Ekscelencję uspokoić. Do niedzieli prawdziwy morderca będzie siedział u Brygidek.

- Skąd jesteś tego taki pewien?

- Bo tę sprawę na pewno poprowadzi komisarz Popielski - powiedział młody kapłan pewnym głosem.

- Oby ją skończył jak najszybciej. - Hierarcha westchnął z pewną ulgą i wyciągnął w stronę rozmówcy dłoń z pierścieniem. - Oby. Vale, carissime!

***

Komisarz Edward Popielski, o którym mówiło całe miasto, wcale nie sprawiał wrażenia, jakby pochłaniała go sprawa elektryzująca lwowską ulicę. W ów feralny dzień, kiedy znaleziono nieszczęsnego chłopca, nie był uchwytny ani w pracy, ani w domu, a wieczór spędził w pewnym tajnym pomieszczeniu, gdzie się oddawał tajemniczym praktykom. Położył się spać nad ranem, lecz nie spał dobrze i budził się kilkakrotnie. O godzinie pierwszej po południu przebudził się na dobre, ziewnął i spowity w bordową bonżurkę z aksamitnymi wyłogami udał się do łazienki. Po drodze przywitał się - już po raz drugi tego dnia - ze swoją kuzynką Leokadią Tchorznicką, z którą mieszkał od lat dwudziestu z okładem. Po uwolnieniu swojego organizmu od nadmiaru płynów, po ochlapaniu wodą twarzy i łysiny, Popielski ogolił się, wtarł w policzki krem Nivea, a potem rozpylił gumową gruszką perfumy Sapodor, których zapach - mieszanina goryczy piżma i żywicy - przypominał mu woń rozgrzanych syberyjskich sosen. Wrócił do swojej sypialni, udając, że nie widzi pytających spojrzeń Leokadii oraz okrągłych z ciekawości oczu poczciwej Hanny Półtoranos, ich długoletniej służącej. Wyczuwał, o co chcą go zapytać obie kobiety - o to, co pragnie dziś wiedzieć cały Lwów: kiedy ujmie bestię, która wyryła w ciele Henia Pytki hieroglify bólu.

Teraz Popielskiego interesowało jednak bardziej to, czy brązowy krawat w białe grochy harmonizuje z garniturem, który dzisiaj miał zamiar włożyć po raz pierwszy. Chciał być dobrze odziany w ten szczególny dla siebie dzień.

Przyłożył koszulę z krawatem do marynarki. Harmonia barw była oczywista. Beżowy garnitur w cienkie niebieskie prążki pasował idealnie do krawata i do koszuli z odpinanym, lśniąco białym ceratowym kołnierzykiem. Popielski, zadowolony z efektu, włożył bieliznę i cienkie jak pajęczyna czarne skarpetki. Na stopy nasunął jasne dziurkowane trzewiki, a mankiety koszuli przebił złotymi spinkami. Włożywszy na głowę kapelusz, a na oczy czarne przeciwsłoneczne okulary, zapalił papierosa przed lustrem w przedpokoju. Potem, przeprosiwszy za niezjedzenie śniadania, pożegnał się z obiema

niewiastami i zszedł po schodach. Ruszył przez podwórko. Wiedział, że na balkonie prowadzącym do klatki schodowej dla służby stoi poczciwa Hanna i zadaje sobie to samo pytanie co całe miasto.

Przeszedł przez podwórko i znalazł się na ruchliwej ulicy Obrony Lwowa. Nie poszedł jednak drogą, którą popołudniami przemierzał przez lat bez mała dwadzieścia. Nie skierował się w górę ulicy, w stronę narożnego gmachu policji, lecz przebiegł ulicę na skos i poszedł prosto w stronę widocznej ponad drzewami kopuły Ossolineum.

Nasunął kapelusz głęboko na czoło, aby jeszcze lepiej zabezpieczyć swe oczy epileptyka przed światłem słońca, rozrzedzanym przez gałęzie i liście drzew. Epileptyczny impuls, jaki wytwarzało słońce iskrzące się na wodzie lub przebijające przez poruszane wiatrem gałęzie, poznał jako student Uniwersytetu Wiedeńskiego, krótko przed wielką wojną. Pewnego letniego dnia podczas gry w szachy w parku Prater Popielski spojrzał na gałęzie drzew, jakby tam szukał natchnienia do trudnego kombinacyjnego posunięcia. Spojrzawszy w niebo, poczuł ból głowy i nieopanowaną senność. Upadł na ziemię, trząsł się kilka minut i oddał bezwiednie mocz, ku zgrozie swojego przeciwnika i licznych kibiców. Tegoż dnia wieczorem odwiedził jego stancję sędziwy medyk. Wysłuchał uważnie opowieści chorego. Zanotował, iż ten już w dzieciństwie miał kilka ataków choroby, która jednak ustąpiła w okresie dojrzewania. Jak się okazało, była uśpiona i czekała na swój świetlny impuls. Doktor zdiagnozował ją jako epilepsia photogenica, przepisał Popielskiemu veronal i zalecił unikanie rozproszonego światła dziennego poprzez użycie ciemnych okularów, parasola et cetera. Popielski, pamiętając o swym upokorzeniu, potraktował wskazówki doktora nader poważnie. Nie chcąc już nigdy w życiu dopuścić do palącego wstydu, jaki odczuwał po swoim wiedeńskim ataku, zaczął radykalnie unikać światła słonecznego i po prostu przeszedł na wieczorno-nocny tryb życia. Musiał przez to porzucić studia matematyczne na rzecz filologicznych, na których wykłady odbywały się zwykle wieczorami. Potem wszystkie swoje zajęcia i zawody starał się wykonywać o zmroku, co czasami było łatwe - w czasie uprawiania szachowego i karcianego hazardu - a czasami nie. Temu trybowi życia nie sprzyjały zwłaszcza obowiązki policyjne. Jego kariera rozwijała się jednak tak pomyślnie, że już od trzynastu lat kolejni komendanci lwowskiej policji rozkładali jego ośmiogodzinny dzień pracy pomiędzy drugą po południu a dziesiątą wieczór, letnią zaś porą pomiędzy szóstą po południu a drugą w nocy. Taki właśnie dzień pracy miał przed sobą komisarz Popielski i dzisiaj.

Tym dziwniejsze było to, iż zamiast do „gmachu na Łąckiego”, jak nazywano komendę policji, zmierzał w kierunku zupełnie odwrotnym - w dół, ulicą Chorążczyzny.

Doszedł nią do przepięknej kamienicy Segala przy Akademickiej. Skręcił w prawo i poczuł na sobie kamienny wzrok Aleksandra hrabiego Fredry, który patrzył ze swojego postumentu na kawiarnię Szkocką. W tymże właśnie lokalu siedział po chwili komisarz i przyjmował w ciemnym kącie od kelnera, pana Hirka, kawę, grube pachnące plastry szynki i sztangielki obsypane kminkiem i solą.

W oczach kelnera Popielski dostrzegł to samo pytanie, które widział u Leokadii, u służącej i u kilku woziwodów przy niedalekiej studni, którzy najwyraźniej go rozpoznali.

Wcisnął róg serwety pomiędzy grdykę a ceratowy kołnierzyk. Nabił na widelec

różowy płat szynki. Z obu stron pokrył go białym, gęstym majonezem. Sól, kminek i chrupiąca skórka sztangli były jedynie dodatkami do wędliny ze sklepu Kotowicza, pachnącej, jak ją reklamowano, leśną wędzarnią znad Wereszycy.

Popielski rozparł się wygodnie w miękkim, obitym pluszem fotelu i zagłębił się w lekturze prenumerowanej tutaj „Deutsche Schachzeitung". Po kilku minutach, kiedy pan Hirek starannie posprzątał ze stołu, komisarz wyjął z teczki czysty arkusz papieru i wieczne pióro marki Waldmann. Sprawdził, czy szklany nabój ma wystarczająco dużo atramentu, i zaczął pisać. Z prawej strony wykaligrafował ***„Lwów, dnia 5 maja, 1939 r.",*** a zaadresował ***„Do Wydziału III Personalnego Komendy Głównej Policji Państwowej w Warszawie".*** Kilka linii poniżej, mniej więcej na środku kartki wypisał wielkimi literami: ***„PODANIE O PRZENIESIENIE w STAN SPOCZYNKU".*** A jeszcze niżej: ***„Uniżenie proszę o zgodę na moje odejście na emeryturę z dniem dzisiejszym. Prośba ma jest umotywowana uzyskaniem praw i przywilejów wieku emerytalnego oraz wiadomą moją trudną sytuacją rodzinną. Z poważaniem",*** i tu Popielski postawił zamaszysty podpis. Na samym dole dopisał ***„via Referat III Personalny Komendy Wojewódzkiej P.P. we Lwowie".*** Potem zapalił papierosa i strzelił palcami na pana Hirka.

- Jedna wódka dla pana i jedna dla mnie. - Złożył zamówienie i przypatrywał się przez chwilę zdumionemu obliczu kelnera. - Niech się pan nie dziwi, człowiek chce się napić, kiedy odchodzi na emeryturę. Zrobi mi pan ten zaszczyt?

W głosie komisarza nie było słychać ironii ani kpiny. Pamiętał on dobrze swojego ojca, Paulina Popielskiego, inżyniera naftowego, który pierwszy się kłaniał robotnikom. Pamiętał piekący policzek, jaki otrzymał od ojca, gdy kiedyś z pogardą wyraził się o pewnym majstrze z borysławskiej rafinerii. Pamiętał też, iż jego ojciec, kiedy przenosił się stamtąd do Baku, pożegnał się osobiście z umorusanymi nafciarzami. Kieliszek wódki z panem Hirkiem miał dla Edwarda Popielskiego duże znaczenie.

- Przepraszam - odpowiedział zimno kelner - ale nie mogę pić w godzinach pracy. Czy jeszcze mogę czymś służyć?

Popielski pokręcił odmownie głową. Palił papierosa i przyglądał się kelnerowi. Jego szeroka twarz i jasne spojrzenie wyrażały całkowitą obojętność. Popielski jednak wiedział, że mówi ono coś innego. To miasto, uosobione w obliczu pana Hirka, mówiło: „Gardzę tobą, tchórzu".

***

Miasto rzeczywiście już wiedziało o dymisji komisarza. Pierwszym dziennikarzem, który się zjawił przed obliczem Popielskiego, był Konstanty Mrazek ze „Słowa Polskiego". Zawiadomiony telefonicznie przez pana Hirka, przybiegł tu w towarzystwie fotografa ze swej niedalekiej redakcji na Zimorowicza. Wpadł do Szkockiej w momencie, kiedy Popielski unosił do ust drugi kieliszek wódki. Fotograf wymierzył w niego obiektyw, a Mrazek już widział oczyma wyobraźni tytuł w gazecie: „Co robi pan komisarz, zamiast tropić mordercę Henia Pytki? Pije w najlepsze!". A poniżej zdjęcie policjanta z kieliszkiem przy ustach. Marzenie redaktora jednak się nie ziściło. Popielski uniósł kieliszek i chlusnął jego zawartością wprost w aparat i w oblicze fotografa. Potem zerwał się z miejsca, wcisnął kapelusz na głowę i pobiegł ku drzwiom lokalu.

Kiedy tam się znalazł, jego twarz została oświetlona jednocześnie kilkoma fleszami. Zobaczył oblicza dziennikarzy, których znał od dawna jako grzecznych i uniżonych

rozmówców. Tym razem nie wykazywali się żadną z tych cech - byli natarczywi, nieustępliwi i agresywni. To miasto zaczynało naprawdę nienawidzić Popielskiego.

- Proszę nam podać prawdziwe powody swej dymisji! - żądał ostrym głosem redaktor Matusz z „Dziennika Ludowego”.

- Cały Lwów na pana liczy! Jak pan usprawiedliwi swoją dezercję? - drążył Szarota z „Gazety Wieczornej”.

- Boi się pan rozruchów na tle narodowościowym? - Czubatyj z „Diła” poruszył czułą strunę.

- Czyżby pan stchórzył? Strach pana obleciał? - przekrzykiwał go Krzyżanowski z „Chwili”.

- Kto złapie mordercę, jeśli nie pogromca Minotaura?! - wrzeszczał Fajerman z „Das Naje Tugblat”.

W błyskach fleszy twarz Popielskiego stawała się coraz bledsza. Komisarz zdjął kapelusz i otarł pot z czoła. Blask lamp wycinał dziesiątki jego portretów z profilu i en face. Gapie zgromadzeni na trotuarze przed Szkocką odnosili wrażenie, jakoby łysa głowa Popielskiego zwielokrotniała się i odrywała od jego tułowia.

- Łyssy, ty skurwysynu! - wrzasnął nagle jakiś batiar z tłumu. - Lwów ci tegu nie daruji!

Popielski, słysząc przezwisko nadane mu przez chojraków z Kleparowa i z Łyczakowa, poczuł, że skóra mu cierpnie. Zawsze budziło ono w komisarzu swoistą dumę, ponieważ bandyci wypowiadali je z nienawiścią, ale i z szacunkiem. Jego łysina była obiektem żartów, z których najbardziej znany brzmiał: „Kiedy pulicaj Popielski ma grzywki na czoli? Kiedy na głów siądzi mu jakaś dziunia”. Przez całe lata jego głowę porównywano do jaja, do tarana i do penisa. We wszystkich tych żartach i zestawieniach było swoiste bandyckie uznanie. Ale nie teraz. Ale nie dzisiaj. Teraz było w nim tyle odrazy, ile w wyrazie „karakon”. Wcześniej to przezwisko atakowało go swym nienawistnym sykiem z ukrycia, ale nikt nigdy nie ośmielił się rzucić go prosto w oczy. Było czymś w rodzaju językowego tabu - nie wypowiadaj tego przezwiska przy człowieku, który je nosi, bo pożałujesz! Zrób to raczej z ukrycia, bo inaczej stracisz zęby! Ale tak było do dzisiaj. Teraz jakiś brudny ulicznik patrzył drwiąco na Popielskiego, a jego groźby były głośniejsze niż wszystkie zuchwałe pytania lwowskich pismaków.

- Kindry z Kliparowa ni zapomnu ci tegu, Łyssy!

Wzrok ulicznika pokonał komisarza. Popielski odwrócił się na pięcie i ruszył znów w głąb lokalu, w stronę kawiarnianej ubikacji. Wiedział, że za jej oknem jest mały wewnętrzny dziedziniec, który bezpiecznie przeprowadzi go do bramy na ulicy Łozińskiego, skąd zaraz, wąską i wysoko zabudowaną ulicą Senatorską, przedostanie się do „starego uniwerku”. Tam w ciszy czytelni matematycznej, którą dobrze był poznał w związku ze swoją ostatnią sprawą, spokojnie zbierze myśli. Odepchnął fotografa, wciąż oślepionego wódką, który zmierzał w kierunku waterklozetu, wpadł tam, zamknął drzwi na haczyk i otworzył okno zamalowane białą farbą. Frunął wokół gołębi puch. Popielski wspiął się na brudny parapet i zeskoczył z niego, wypełniając hukiem skoku wewnętrzny dziedziniec. Wysokość była znaczna, toteż nie zachował równowagi i upadł. Patrzył z

odrazą na wypchane kolana swoich nowiutkich spodni pokrytych warstwą guana. Spojrzał w bok i zauważył buty z getrami. Wiedział, do kogo należy to obuwie. Getry były już niemodne od kilku dobrych lat, ale naczelnik Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji, podinspektor Marian Zubik, nigdy nie przejmował się modą.

Szef Popielskiego stał w szerokim rozkroku, w dłoni trzymał jego podanie o dymisję. Potężny brzuch prawie rozsadzał mu kamizelkę, a napęczniały czerwony kark omal się nie mieścił w obręczy kołnierzyka. Zdjął kapelusz i otarł czoło. Jego rzadkie włosy były misternie zaczesane i przyklejone do czaszki.

- Boj ze Szkockiej jest bardzo szybki. - Popielski uśmiechnął się, zanim Zubik otworzył usta. - Szybko dotarł do pana naczelnika. Zasłużył chłopak na swoją złotówkę.

- Ja też zasłużyłem na uznanie - syknął naczelnik, co nie wróżyło niczego dobrego, gdyż ten apoplektyk zwykle wypełniał swym ogromnym krzykiem cały Urząd Śledczy. - Znam rozkład tych kamienic tak dobrze, jakbym je sam budował.

- Nigdy nie pobrudziłem się odchodami gołębi. - Popielski patrzył z troską na spodnie. - Nie wie pan naczelnik, czym można by to wyczyścić? To garnitur od Jabłkowskich!

- Co wy mi tu pierdolicie, Popielski?! - Zubik wrócił do znanej swemu podwładnemu roli choleryka. - Wiesz pan, co ja teraz zrobię z pańskim podaniem o emeryturę? Oto, co ja z nim robię. - I tu podinspektor chwycił arkusz papieru tak, jakby miał go zaraz podrzeć.

- No, podrzyj pan! - Popielski nigdy tak zuchwale nie zwracał się do swojego szefa. - No, drzyj pan, do jasnej cholery, a ja napiszę następne podanie! Ja będę pisał, a pan będzie darł. I to będzie trwało całymi dniami… A tymczasem Żydzi…

- Człowieku - Zubik zbliżył się do Popielskiego i prychał mu prosto w twarz. - Myślisz, że nie dam sobie rady bez ciebie? Myślisz, że potrzebny mi dandys pod sześćdziesiątkę w ciemnych binoklach, który pracuje, kiedy ma na to ochotę? Myślisz, że nie wiem o twoich kolejowych eskapadach z najgorszymi dziwkami? Myślisz, że przejmuję się twoją dymisją? Mogę ją podrzeć lub poprzeć, jak zechcę, wedle mej woli - tak lub siak - rozumiesz? Jest mi ona obojętna!

- No to proszę ją poprzeć. - Popielski, nie odwracając się, wskazał kciukiem na okno do ustępu. - A potem niech pan to im ogłosi! Powiedz im pan, że Łyssy odchodzi i że zgadzasz się pan na to!

Dziennikarze dobijali się do drzwi toalety. Słychać było jakieś nikłe protesty obsługi lokalu i rozwścieczone okrzyki szturmujących. Popielskiemu zrobiło się zimno. Znów usłyszał nienawistny głos batiara i swoje przezwisko.

- Czego ode mnie chcesz? Co mogę zrobić, abyś został? - Zubik zdjął kapelusz i wachlował się nim. Wydawało się, że białka jego oczu stają się coraz czerwieńsze.

- Muszę z kimś porozmawiać, tego właśnie chcę. - Popielski nachylił się z odrazą do zarośniętego rudawym włosem ucha swego szefa i szeptał mu coś przez pół minuty.

Zubik zamknął oczy. Ktoś kopnął w drzwi tak mocno, że omal nie urwał haczyka. Zubik otworzył oczy.

- Zgadzam się - powiedział powoli. - Porozmawiaj pan z nim. I tak, jak pan chce, dam panu zgodę na piśmie.

- A jeszcze gwoli ścisłości, panie naczelniku - mam lat pięćdziesiąt trzy, a dziewczynki, z którymi jeżdżę do Krakowa, są najlepszego sortu. No dobrze… Ale co my tu jeszcze robimy? Idziemy stąd!

- Niby dokąd? - zapytał Zubik, pocierając palcami powieki.

- Tu chce pan odbyć konferencję prasową? Na podwórku za kiblem?

Wyszli przez bramę na ulicę Łozińskiego. Zerwał się wtedy lekki przeciąg, który dmuchnął kawałkami podartego arkusza kancelaryjnego z podaniem o dymisję. Po chwili walały się one w gołębim gównie.

***

Zegar na ratuszu uderzył jedenasty raz, kiedy Popielski wyszedł z restauracji Atlas. Szedł wolnym krokiem w kierunku fontanny Diany. Była przepiękna majowa noc. Wokół fontanny kłębili się młodzi ludzie, którzy przekrzykiwali się i przeklinali srogo. Jeden z nich wszedł na postument i ściskał za pierś rzymską boginię. Z buńczucznych min młodzieńców i z ich nie najlepiej dopasowanych ubrań Popielski wywnioskował, iż są to maturzyści, którzy pierwszy raz w swym dorosłym życiu nadużyli alkoholu. Przypomniał sobie swoją własną maturę w gimnazjum klasycznym w Stanisławowie - tekst Liwiusza o Horacjuszu Koklesie, fragment dialogu Ijon Platona, uduchowioną minę księdza, który był jednocześnie nauczycielem matematyki i twierdził, że Bóg jest kulą, a każdy byt - punktem kuli, oraz wściekły wzrok nauczyciela znienawidzonej biologii, który domagał się jakichś subtelnych rozróżnień pomiędzy cytoplazmatycznymi a niecytoplazmatycznymi częściami komórki. Pamiętał też pomaturalny alkohol oraz zdobycie męskich szlifów w żydowskim burdelu. To ostatnie wspomnienie nie było zresztą bezsprzecznie miłe, ponieważ owe szlify zdobył nie od razu, lecz po dwóch wstydliwych falstartach. Jednak dama, która mu towarzyszyła tego wieczoru, była bardzo wyrozumiała dla jego nieudanych i bezradnych prób, przeprowadziła go na męski brzeg łagodnie i rozkosznie, wpisując się w jego pamięć tak mocno, iż odtąd miał stałą słabość do kobiet o żydowskim typie urody.

Popielski potrząsnął głową i odrzucił stanisławowskie wspomnienia, które mocno kontrastowały z jego obecnym, ponurym stanem ducha. Coraz bardziej się obawiał, iż staje się komicznym satyrem, nieuleczalnym, tępym sybarytą. To uczucie zawsze go dopadało, gdy przeżywał jakąś pełnię rozkoszy, gdy budził się w łóżkach coraz to innych ladacznic, gdy nie mógł odtworzyć w pamięci wydarzeń poprzedniego wieczoru, gdy gardło charczało dziesiątkami wypalonych papierosów. Wtedy widział coraz bardziej zatroskane oczy swej kuzynki Leokadii i dziewiętnastoletniej córki Rity. Jedno jej spojrzenie było jak palący wstyd, jak wycie wyrzutów sumienia w bezsenną noc. Pod wpływem tego spojrzenia Popielski z sybaryty zamieniał się w ascetę. Pościł, resztki alkoholu wylewał do zlewu, a domy rozpusty omijał szerokim łukiem. Teraz właśnie ten czas się zbliżał. Sinusoida hedonizmu zmierzała w stronę minimum, ale go jeszcze nie osiągnęła. Do tego potrzebny był mu jeden impuls. Choćby spojrzenie Rity. Nie widział jej jednak od dwóch tygodni i wcale nie był pewien, czy córka w ogóle chce go widzieć. Pomyślał ze wstrętem o sutej kolacji w Atlasie, zaprawionej kilku stopkami wódki, o

szerokich biodrach niejakiej panny Władzi, z którą się wcześniej znalazł w hotelowym pied-a-terre, o swej wątrobie, która ciążyła mu jak kamień, i o brzuchu, który go wciąż bolał po skoku w głąb dziedzińca za kiblem Szkockiej. Tak, Popielski potrzebował zachęty do ascezy.

Poczuł lekkie dotknięcie. Przed nim stała młoda, chyba jeszcze nastoletnia dziewczyna i położywszy ręce na biodrach, uśmiechnęła się szeroko. Popielski momentalnie poczuł, że gniew na sybarytyzm wypełnia mu usta jak gorzka treść żołądkowa. Najchętniej by womitował - tu, teraz, pod ratuszem.

- Cium, serduszku. - Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Na Ormiańskij pud Czterema Porami Roku jest auto i szwytko zabierzy szanuwnegu paniagi…

Zanim zdążył zareagować, dziewczyna uciekła. Nawet nie próbował jej gonić ze swym ciężkim brzuchem, w którym coś naderwał podczas skoku na dziedziniec Szkockiej.

Rzeczywiście, na Ormiańskiej, pod kamienicą Cztery Pory Roku, stała nowa lancia. Popielski otworzył drzwi i bez słowa powitania wsiadł do auta. Był pewien, że szofer nie otrzymał ani jednej lekcji savoir-vivre'u i że jego „dobry wieczór" pozostanie bez odpowiedzi. Wolał zatem nic nie mówić.

Minęli cerkiew Uspieńską, Arsenał i namiestnikostwo Galicji, a potem skręcili w Łyczakowską. Popielski znalazł się w znajomym otoczeniu, wśród dwu-lub trzypiętrowych kamienic. Na ich podwórkach nie raz i nie dwa przebywał późną nocą i słyszał tam często syczenie swojego przezwiska, gdy wystawieni na czujki chłopcy ostrzegali podwórkowych mocodawców ukrytych w norach i melinach. Za Cmentarzem Łyczakowskim szofer przyśpieszył i po chwili opuścili Lwów. Z lewej strony stała gęsta ściana lasu. Po kwadransie się rozrzedziła i znaleźli się w Winnikach. Lancia skręciła w lewo i zatrzymała się przed starym, dużym, drewnianym domem, za którym wznosiła się gęstwina sosen.

Mosze Kiczałes siedział na dwuosobowej huśtawce, wiszącej na werandzie, i palił cygaro. Stojące na stole resztki kawioru, śledzie i słodycze świadczyły, że wytworne cygaro było uwieńczeniem równie wytwornej kolacji. Do Kiczałesa przytulała się czule młoda blondynka - tak piękna, że Popielski natychmiast zapomniał o postanowieniu ascezy. Przed chłodem majowej nocy dziewczynę chronił pled z tygrysiej skóry. Jej towarzyszowi było najwidoczniej ciepło, bo nie miał na sobie marynarki, a szeroko rozrzucone nogi, przekrzywiony kapelusz, rozchełstany krawat i rozpięta koszula upodabniały go do batiara odpoczywającego po pijackiej nocy. Szeroka, połyskliwa szrama, biegnąca przez policzek, mogła pochodzić od ciosu nożem podczas pijackiej burdy. Te podobieństwa były jednak pozorne. Król lwowskiego podziemia prawie nigdy nie pił alkoholu, a blizna była pamiątką po bójce w rosyjskim więzieniu.

Pocałował dziewczynę w policzek i szepnął jej kilka słów na ucho. Ta wstała, powiedziała „dobranoc" Popielskiemu i weszła do domu. Komisarz nie odpowiedział jej i nawet na nią nie spojrzał. Jedynie kącikiem oka zarejestrował obecność jej szczupłej sylwetki w nieoświetlonym oknie. Wiedział doskonale, że będzie się przysłuchiwała ich rozmowie, może nawet na polecenie swojego kochanka. Nie reagując na kurtuazję dziewczyny, popełnił świadome faux pas. Ale wszyscy wiedzieli, że Kiczałes jest

chorobliwie zazdrosny o swój liczny harem i że lepiej nawet nie patrzeć na żadną z jego niewolnic, jeśli się nie chce zniechęcić go do siebie. Wiedział też, że w ciemnościach majowej nocy herszt półświatka może by i nawet nie dostrzegł jego pożądliwego spojrzenia, lecz na pewno zapyta o zachowanie przybyłego swych licznych cerberów, którzy stali dookoła posesji, ukryci pod drzewami, i przyglądali się uważnie gościowi pryncypała. Wolał zatem zaryzykować opinię gbura niż lowelasa, który się ślini do cudzej kochanki.

Komisarz nie pomylił się w swojej szybkiej rachubie. Gospodarz uznał najwidoczniej zachowanie Popielskiego za przyzwoite, bo uśmiechnął się do niego dość przyjaźnie i wskazał mu wiklinowy fotel obok stołu.

- Pan siada, panie kumisarz, pan mówi, z czym przychodzi w moji skromny progi, a ja słucham, słucham. - Kiczałes wydmuchnął chmurę dymu.

- Przyjął mnie pan we własnym domu. - Popielski uderzył papierosem o wierzch papierośnicy. - To świadczy o zaufaniu do mnie. Dziękuję za nie.

- Bez pięknych słówek. - Gospodarz znów się uśmiechnął pod cienkim wąsikiem amanta. - Gdyby to była moja chawira, znaczy, że pan szac facet. A w tej landarze mogę przyjąć nawet byli pachciarza.

Popielski zamyślił się. Kiczałes nie zaproponował mu ani poczęstunku, ani cygara, ani alkoholu. To świadczyło o dystansie. Potem porównał go do pachciarza. To świadczyło o wrogim dystansie. Policjant wstał, wyjął z kieszeni „Gazetę Wieczorną” i rzucił ją na stół przed swoim rozmówcą. Gałęzie i krzaki wokół domu poruszyły się gwałtownie. Kiczałes uniósł dłoń i znów zapadła cisza, przerywana cykaniem świerszczy.

- Niech pan znajdzie mordercę tego dziecka i odda go mnie - powiedział Popielski cichym głosem, wskazując na gazetę, na której pierwszej stronie umieszczone było jego zdjęcie.

- Myśli pan tak jak wszyscy, nu nie? Że to Żyd zabił chrześcijańskie bambulko na macy, nu nie? I dlatego ja, Żyd, mam go szukać wśród niby swoich, co? Chcesz mnie pan wziąć pod włos, co? Boisz się pan rozruchów, pogromu Żydów?

- Nie obchodzi mnie, jaka jest narodowość mordercy, rozumie pan, Kiczałes - odpowiedział zimno Popielski. - Zwracam się do pana nie jako do Żyda, lecz jako do gubernatora, rozumie pan? Do gubernatora!

- Że co? Że jak? - Król podziemia był skonfundowany. Nie kryjąc zdumienia, wpatrywał się w gościa.

- Świat podziemny, świat złodziei i bandytów, jest pańską gubernią, a pan jej gubernatorem. W tej guberni rządzi tylko pan. Pańscy poddani są ludźmi honoru! Żaden kieszonkowiec nie okradnie kobiety w ciąży, żaden bandyta nie napadnie na dziecko, żaden urka nie poharata ani staruszki, ani wariata. Takie są zasady w pańskiej guberni, zgadza się?

- Nu tak. - Z oblicza Kiczałesa nie schodził wyraz zdziwienia.

- A ten skurwysyn - Popielski trzasnął dłonią w gazetę - morderca trzyletniego dziecka złamał wszelkie zasady pańskiego świata. Czy pan dopuści, aby w pańskiej

guberni działał taki zwyrodnialec, czy jest to panu obojętne? Przecież ma pan swoją policję, swojego ministra spraw wewnętrznych, który zna każdą norę, gdzie ten bydlak mógłby się ukryć! Nie uruchomi pan swojego aparatu przymusu?

Kiczałes zastanawiał się przez chwilę, czy pytanie Popielskiego nie jest przejawem niedopuszczalnego zuchwalstwa. Oto Łyssy stawia go jak pod ścianą i każe mu coś robić! Jak śmie ten tchórzliwy glina, który jeszcze dzisiaj chciał podać się do dymisji, zmuszać go do wyjawiania swoich planów czy wręcz do współdziałania?! W zamyśleniu otworzył papierośnicę Popielskiego i wyjął z niej papierosa. Zapalił i przyjrzał się łysej głowie komisarza, ledwo już widocznej w słabym blasku lampy naftowej wiszącej na ganku. Ten glina jest za sprytny na to, myślał zaciągając się wonnym dymem egipskiego, żeby tu przyjść i po prostu ode mnie czegoś żądać. On chce mi coś dać w zamian.

- Pan mówi dalij, panie kumisarz, ja słucham, słucham - powiedział, odchyliwszy się na huśtawce.

- Chcę połączyć nasze siły, aby znaleźć mordercę Henia Pytki.

- Pan mówi, pan mówi! To bardzo hecny! Tylku po cu tu wszystku? Czy ja jestem sąd? Czy ja jestem policja? Co to dla mnie za interes?

- Jeśli pan znajdzie dzięki swoim informatorom tego zbrodniarza i dostarczy mi go żywego, zapominam przez rok o istnieniu pańskiej guberni. Każdy urka, który mi powie „jestem od Kiczałesa”, będzie mógł spać spokojnie, każdego natychmiast wypuszczę. Chyba że jakiś zrobi coś podobnego do mordu na Żółkiewskiej. Wtedy go zabiję. - Popielski zgasił papierosa. - Taka jest moja propozycja. Przez rok zapominam o panu i o pańskich interesach. A w zamian otrzymuję mordercę dziecka. Żywego!

- A cu będzi - król podziemia znów się uśmiechnął - jeśli ni ja, ali pan go złapi? Ja stracę czasu, zapłacę ludziom, moi szpicli ruszą do ruboty, a tu co? Pan go łapie, a ni ja! I ja nic z tego ni mam!

- Tak - fotel wiklinowy zatrzeszczał pod Popielskim - wtedy pan nic z tego nie ma. Ta umowa jest bardzo prosta i nie zawiera żadnych aneksów, tak jak proste jest pojęcie honoru i hańby. Albo pan go łapie i ma pan rok wytchnienia ode mnie, albo pan go nie łapie i dalej jesteśmy przeciwnikami. Ale przeciwnikami honorowymi - jak zawsze, jak do tej pory i jak do końca świata! Co pan na to?

Kiczałes wstał i począł spacerować po werandzie. Jego podkute buty stukały po deskach. Popielski odetchnął. Powiedział już wszystko. Spojrzał na las Winnicki. Sprawa Henia Pytki będzie jego ostatnią. Naprawdę ostatnią. Potem odejdzie na emeryturę i zamieszka w takim właśnie lesie jak ten pod Winnikami. Wieczorami będzie czytał poetów starożytnych lub rozwiązywał zadania z algebry liniowej. Tylko jeszcze to śledztwo. Jeszcze jeden impuls do działania. Jeszcze jedna asceza, w czasie której będzie tropił mordercę w zaułkach miasta. Czuł teraz dotkliwie swoją nadchodzącą starość - soki żołądkowe fermentowały pod grubą warstwą jedzenia, żyły zarastały tłuszczem, płuca wapniały od nikotyny. Zamknął oczy i - o dziwo, wbrew wieczornej porze - poczuł senność. Stukot podkutych butów zatrzymał się przed nim. Otworzył oczy. Kiczałes wyciągał do niego dłoń. Popielski ją uścisnął. Tym samym otrzymał swój impuls.

Kwadrans później król wszedł do swojej sypialni. Jego kochanka ubrana była w

pończochy, podwiązki i przejrzysty peniuar. Rozpięła mu spodnie.

- Mój ty gubernatorze - powiedziała.

Po chwili już nic nie mówiła.

***

Uniwersytecki medyk sądowy, doktor Iwan Pidhirny, nie znosił nieregularnego trybu życia i żadnych niespodzianek. Dzielił swoją dobę na trzy części, po czterysta pięćdziesiąt minut każda. Nazywał je tercjami. Pierwsze siedem i pół godziny spędzał na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza przy Piekarskiej, a dwie następne w swym domu - odpowiednio - tercję rodzinną i tercję nocną. Zajęcia rodzinne stały się z czasem coraz mniej absorbujące, ponieważ trzej synowie Pidhirnego poszli swoimi drogami, nieakceptowanymi zresztą przez ojca. Półtorej godziny, które pozostawało do wypełnienia dwudziestoczterogodzinnej doby, Pidhirny spędzał na dojściu na piechotę z ulicy Tarnowskiego, gdzie jego willa sąsiadowała z domem profesora Leona Chwistka, do prosektorium i z powrotem. Był dumny ze swojego uregulowanego trybu życia. Dumę tę głosił zresztą wszem i wobec z równym uporem jak swoje poglądy o dyskryminacji Rusinów na stanowiskach państwowych, której sam był żywym i jaskrawym zaprzeczeniem.

W skrytości ducha dzielił on również na tercje swoje życie. Arbitralnie przydzielił każdej z nich dwadzieścia pięć lat. Pierwszy odcinek spędził na nauce. Urodził się w roku 1875 we wsi Ostrożec pomiędzy Mościskami a Lwowem. Tam małego Iwana, nadzwyczaj bystrego syna ubogiego chłopa, wypatrzył greko-katolicki ksiądz i po ukończeniu przez chłopca szkoły wiejskiej polecił go łasce pana Onufrego Sosenki, ukraińskiego adwokata i działacza oświatowego Ruskiej Besidy. Ten zaś postanowił samodzielnie finansować naukę chłopca w gimnazjum Franciszka Józefa, a potem znaleźć dla niego poważniejszego dobrodzieja. Nadzwyczajne zdolności Iwana Pidhirnego, zwłaszcza w zakresie nauk przyrodniczych i języków klasycznych, sprawiły, iż - za podszeptem Sosenki - na zdolnego gimnazjalistę zwrócił uwagę sam metropolita greko-katolicki, Sylwester Sembratowicz. Ten dobrodziej biednej i uzdolnionej ukraińskiej młodzieży sfinansował ostatnie lata gimnazjalne Pidhirnego, a potem ufundował mu stypendium, dzięki któremu maturzysta podjął studia medyczne najpierw we Lwowie, a potem - za nakazem metropolity - w Czerniowcach. W roku 1900 na tamtejszym uniwersytecie wręczono mu dyplom medyka opatrzony piękną adnotacją - summa cum laude.

I tu rozpoczął się nowy etap żywotu doktora - lwowska tercja zawodowa i rodzinna. Jej słupami milowymi były małżeństwo, kariera najpierw lekarza, a potem akademika i narodziny trzech synów, z których każdy po kolei zawiódł nadzieje ojca. Pierwszy z nich, Wasyl, zginął, walcząc pod Petlurą o samostijną Ukrainę. Drugi, Serhij, zamiast o niepodległości marzył o dyktaturze proletariatu i jako członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy trafił do więzienia w Równem, a potem w wyniku wymiany więźniów znalazł się w Rosji sowieckiej. W tej krainie niegdysiejszych swoich marzeń wnet został zamordowany przez NKWD. Trzeci zaś, najmłodszy syn Iwan junior, zawiódł ojca najdotkliwiej. Wynarodowił się bowiem i po studiach prawniczych we Lwowie zmienił nazwisko na „Jan Podgórny”, po czym udał się do Warszawy, gdzie rozpoczął

błyskotliwą karierę adwokacką i polityczną w kręgach sanacyjnych. Doktor Iwan Pidhirny w bilansie swojego życia zaliczał drugą tercję do nieudanych i w jej połowie - w ramach swoistej rekompensaty - pozwolił sobie na szaleństwo, które trzymał w głębokim sekrecie. Ono zresztą szybko się skończyło i teraz medyk sądowy był takim jak zwykle zrzędliwym, irytującym, przenikliwie inteligentnym człowiekiem i genialnym specjalistą w swej dziedzinie.

Popielski znał go od wielu lat, był zatem bardzo zaskoczony, kiedy ów zgodził się na sprzeniewierzenie swojemu trychotomicznemu systemowi i na późne, nocne spotkanie w prosektorium.

Komisarz uznał, że jest to zasługa Zubika, który - kiedy tylko chce - potrafi być na tyle uczynny i skuteczny, by złamać nawet Pidhirnego świętą zasadę trzech wykluczających się tercyj.

Popielski kazał kierowcy Kiczałesa wieźć się na Piekarską, na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jana Kazimierza. Było przed północą, kiedy znalazł się na dziedzińcu otoczonym z trzech stron dwupiętrowymi neoklasycystycznymi gmachami, których naukowy charakter określały łacińskie napisy: chimia - medica - hygiena – pharmacologia - physiologia - anatomia - histologia oraz pathologia - anatomia pathologica - medicina forensis. Gmach opatrzony tym ostatnim napisem znajdował się po lewej ręce Popielskiego.

Postać samotnego mężczyzny, zmierzającego szybkim krokiem przez medyczny kampus, nie uszła uwagi pedla, który - trzymając krótko na smyczy dużego wilczura - zaszedł drogę nocnemu gościowi. Rozpoznał natychmiast częstego bywalca prosektorium i ukłonił mu się kurtuazyjnie. Popielski uchylił kapelusza, minął slalomem klomby kwitnących tulipanów i bratków, skręcił w lewo za skrzydło owego gmachu i wszedł doń bocznym wejściem. Po chwili szedł pustymi i ciemnymi korytarzami, w których ściany wrosła rozpaczliwa woń śmierci i rozkładu. Potknął się o jakieś blaszane naczynie. Rozdzwoniło się wokół. W oddali wybiła północ. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szmery i śmiechy. Nie był zaskoczony - czegóż innego mógł się spodziewać w prosektorium w godzinę duchów?

Doktor Pidhirny w szczelnie otulającym go fartuchu stał pochylony nad stołem sekcyjnym oświetlonym jaskrawym światłem lampy operacyjnej. Obie dłonie oparł obok małych skurczonych zwłok dziecka. W ustach medyka dymił papieros, drażniąc jego oczy i wywołując łzy.

- Dobry wieczór, panie doktorze. - Popielski zdjął melonik. - Dziękuję, że zgodził się pan spotkać o porze tak nietypowej dla pana doktora.

- Dobry wieczór, panie komisarzu. - Medyk wypluł papierosa do pustego kartonowego pudełka, wszystko rzucił na podłogę i roztarł butem. Spojrzał na Popielskiego załzawionymi oczyma. - Jest pan bardzo miły, ale proszę nie przeinaczać faktów. Ja się wcale nie zgodziłem na żadną propozycję spotkania, ja sam wysunąłem tę propozycję, wiedząc, że pan pracuje po nocach.

- Nie wiedziałem. - Popielski nagle zrozumiał, że sprawa jest bardzo poważna i zganił się w myślach za ciągłe dziękowanie każdemu. Jego kurtuazją wzgardzili dziś i Pidhirny, i Kiczałes. - Myślałem, że przekonał pana do tego nocnego spotkania inspektor

Zubik, ale…

- Nie mamy czasu na takie dochodzenia - przerwał mu Pidhirny. - Proszę mnie posłuchać uważnie. Dokonałem sekcji zwłok tego dzieciątka dzisiaj po południu bez żadnej asysty. Nikt nie wie tego co ja. A drugą osobą będzie pan. Dlatego chciałem, abyśmy się w sekrecie spotkali - późną nocą.

Popielski patrzył na pozszywane zwłoki dziecka. Nie koncentrował się jednak ani na jego opuchniętych policzkach, przy tym twardych, jakby pokrytych cienką warstwą brązowego karmelu, ani na czerwonawych łezkowatych ranach i śladach prostych cięć widocznych na całym ciele, ani nawet na kończynach, wykręconych i bezwładnych jak utrącone skrzydła ptaka. Komisarza wciąż dziwiło, dlaczego Pidhirny, który o zwłokach na swym sekcyjnym stole mówił zwykle bezosobowo i beznamiętnie, teraz używa zdrobnienia „dzieciątko”.

- Temu chłopcu metodycznie zadano trzydzieści nakłuć i cięć nożem. - Doktor dotknął jednego z nich na ramieniu. - Ale nie były głębokie i żadne nie było śmiertelne. Lecz w momencie znalezienia ciałko powinno było być zakrwawione. Powinno być brunatno-czerwone albo pokryte połyskliwymi skrzepami. Ale wiemy, że takie nie było. Było tak czyste, jakby je umyto…

- Tak, umyto. - Popielski powtórzył mechanicznie i patrzył na szwy na brzuchu, które w wykonaniu Pidhirnego jeszcze nigdy nie były tak staranne. - Umyto, wytoczywszy pierwej krew. Jakiś szaleniec nakłuł to dziecko, poczekał, aż ujdzie z niego krew, i umył je.

- A ono cały czas żyło - powiedział głucho medyk.

- Wie pan, doktorze, jak bardzo cenię pański kunszt. - Popielski poluzował kołnierzyk pod krawatem. - Pańska ekspertyza jest warta każdego spotkania - w dowolnym miejscu i o dowolnej porze, choćby głuchą nocą na cmentarzu. Proszę jednak o uzasadnienie, skąd pan wie, że malec przy skrwawianiu jeszcze żył?

- Kłuł go żelazem, stąd te obrzęki i brunatne stwardnienia na policzkach. - Pidhirny dotknął twarzy chłopca.

- Nie odpowiedział mi pan na pytanie!

- To dziecko umarło w wyniku złamania kręgosłupa szyjnego! - Medyk jakby nie słyszał napomnienia swego rozmówcy.

- Skąd pan wie, że jeszcze żyło?

- Rany i oparzenia są wcześniejsze może o dobę niż wewnętrzny wylew krwawy w szyi, jaki powstał po złamaniu chłopcu karku! Dzieciątko to żyło wiele godzin, zanim skręcono mu kark. Rozumiesz to?!

Pidhirny rzucił się na Popielskiego i chwycił go za klapy marynarki.

- Rozumiesz pan, ten chłopczyk był torturowany!

Komisarz odsunął się od doktora delikatnie - tak daleko, aż ten puścił jego marynarkę. Podszedł do zlewu i dokładnie umył ręce, choć w prosektorium nie dotykał niczego poza klamkami.

- Żydzi zamykają się w swych domostwach - powiedział, jakby do siebie, wycierając mokre dłonie o spodnie. - W komisariacie na Kurkowej zamknięto bezrobotnego z bańką nafty. Złapano go przy synagodze Złota Róża. Czas nas goni, doktorze. Nie mógł pan wyznaczyć lepszej godziny na nasze spotkanie. Nikt z nas nie ma czasu na sen.

- Myśli pan, że wyznaczyłem to spotkanie, kierując się obywatelską troską o Żydów? - Pidhirny stał bez ruchu i patrzył w podłogę.

Popielski wyjął papierośnicę i policzył, ile mu zostało papierosów. Tylko dwa. A do rana było daleko.

- Nie mam czasu na sen - powtórzył w zamyśleniu, przekładając machinalnie papierosy w papierośnicy. - Kiedy po Lwowie grasuje morderca dzieci. Mam półtorarocznego wnuczka…

- A ja… Mam dwuletniego syna. - Pidhirny nie podniósł wzroku, nawet kiedy to powiedział. - Jest pan trzecią osobą, która o tym wie. Oprócz mnie i jego matki.

Popielski wyjął dwa ostatnie papierosy. Jednego z nich włożył Pidhirnemu do ust i podał medykowi ogień. Drugiego zapalił sam. Potem odwrócił się i opuścił prosektorium.

***

Głośne pukanie w drzwi obudziło stolarza Walerego Pytkę. W izbie obok poruszyło się i zapłakało przez sen dziecko. Oprócz pięciorga dzieci nocowali tam zawsze ich rodzice - syn Walerego, Ignacy, i jego żona Stefania. Zawsze, ale nie teraz. Teraz siedzieli obydwoje z nieruchomymi twarzami i z otwartymi oczami przy kuchennym stole. Nie reagowali na pukanie. Nie reagowali na nic od przedwczorajszego wieczoru - od momentu, kiedy uświadomili sobie, że zamiast ich pięciorga dzieci w sypialni będzie odtąd spało tylko czworo. Siedzieli nieruchomo. Nie byli pijani, nie byli zapłakani, gorzej - byli w pełni przytomni.

Walery wstał ze swojej kozetki stojącej w kuchni, która w dzień zamieniała się w warsztat stolarski, i odsunął firankę w oknie. W wątłym świetle jedynej latarni, która kołysała się nad mikroskopijnym, buchającym zielenią podwórkiem przy Niemcewicza 46, ujrzał dwóch mężczyzn stojących na galeryjce pod jego oknem. Jeden z nich przyciskał do szyby policyjny znaczek. Walery otworzył im drzwi, a potem wskazał kozetkę, z której usunął pościel. Usiedli obok siebie - ciasno i niezgrabnie - dwaj policjanci i stary stolarz. Jeden policjant zdjął kapelusz i otarł z potu łysą, wygoloną głowę. Młodszy mrugał nieprzytomnie powiekami i ziewał. Widać było, że godzina druga w nocy nie jest jego ulubioną porą.

- Komisarz Edward Popielski z policji kryminalnej - powiedział starszy z przybyłych, a potem wskazał palcem na młodszego. - A to mój zastępca, aspirant Stefan Cygan.

Walery Pytka kiwnął głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy się przedstawić, czy uśmiechać, czy bać się, że „pulicaje” mogą odkryć komunistyczną bibułę, którą na przechowanie oddał mu sąsiad? Siedział obok komisarza, wiercił się bezradnie w miejscu i wyginał swe palce zrogowaciałe od ciężkiej pracy.

- To są rodzice nieszczęsnego Henia, tak? - powiedział Cygan, wskazując głową na

nieruchomą parę. - A pan kim jest?

- Rychtyk, tu rudzice - odpowiedział Walery. - A ja dziadku.

Imię zamordowanego dziecka było jak zapalnik bomby. Matka chłopca zachwiała się, a jej głowa opadła na stół. Jej ciche zawodzenie było cienkie i ostre. Wcisnęła krótkie, grube palce we włosy spięte kościanym grzebykiem. Łzy płynęły po jej przegubach i spływały aż na nagie łokcie. Wyła cicho, cienko i ostro. Jak skalpel, jak nóż, który wrzynał się w ciało jej dziecka.

Robotnik budowlany Ignacy Pytka rzadko kiedy płakał - ani pod wpływem bólu fizycznego, ani psychicznego. Nie uronił nawet łzy, gdy spadł z budowanego przez siebie kościoła Kapucynów i widział, jak drelich jego spodni pęka cicho pod ostrą krawędzią kości, która pierwej przebiła skórę. Nie płakał nawet wtedy, gdy na potańcówce w ogródku piwnym Pod Sroką umarła jego narzeczona, ukochana Wilhelminka, która udusiła się, zdławiona żądłem osy. Nie płakał i dzisiaj, kiedy identyfikował w prosektorium ciało swojego syna. Dopiero imię „Henio”, które nadał dziecku wbrew żonie, wyzwoliło u niego reakcję, której nie pamiętał od wczesnego dzieciństwa. Poczuł piekącą gorycz w gardle, a potem już nie był tym, kim zawsze - był teraz strzępem rozpaczy, nie charakternym batiarem spod kościoła Świętej Elżbiety.

Na początku ronił łzy w milczeniu, lecz później przerywane ono było przez dźwięki, nad którymi nie panował. Nie widział już ani policjantów, ani żony, ani ojca, ani nawet najmłodszego syna Zygmusia, który właśnie się obudził i stał w kuchni, trzymając się nogawki ojcowskich spodni. Był on ze wszystkich dzieci najbardziej podobny do swojego zmarłego brata, do małego trupa, który teraz leżał w prosektorium.

Ignacy Pytka nie słyszał też rozmowy jego ojca z policjantami.

- Kto jeszcze państwa odwiedzał - zapytał aspirant Cygan, notując kolejne nazwisko w notesie. - Ale oprócz rodziny i sąsiadów!

Stary stolarz zasępił się mocno.

- Panie Pytka - odezwał się Popielski. - Moi ludzie przesłuchali już dzieci z podwórka, z którymi tego dnia bawił się Heniu. Dzieci zeznały, że bawiły się w chowanego w najbliższej okolicy. Jedna z dziewczynek powiedziała, że Heniu schował się na podwórku za warzywniakiem przy Królowej Jadwigi. Było po południu, ciepło. Na tym podwórku gromadzą się mieszkańcy, grają w karty i w warcaby. Heniu musiał wyjść zza tego warzywniaka z kimś, kogo dobrze znał. Nieznajomemu by się wyrywał, krzyczał. Ktoś by go usłyszał, ktoś by zauważył opierającego się chłopca. Niech pan mi tu podaje, panie Pytka, wszystkie nazwiska, które przyjdą panu do głowy! Wszystkich, którzy kiedykolwiek odwiedzali tu państwa. Których Heniu mógł znać!

- Bih me, że ni wim - odpowiedział stary stolarz i ugniatał machorkę w bibułce, myśląc o swoim sąsiedzie komuniście.

- Niech on już przestanie kręcić tę machorę - szepnął Popielski do swojego zastępcy. - Daj mu, Stefciu, papierosa. I mnie też.

Ignacy Pytka przestał łkać i obejmował żonę. Za to mały Zygmuś jęczał smutno, jakby to na niego spłynęło teraz całe nieszczęście rodziny.

- Nu to pisz pan, cuzamen do kupy trzech - powiedział Walery do aspiranta Cygana, postanawiając jednak nie wydać sąsiada komunisty. - Tadziu Jojku, malarz, Mundziu Orfin, kamieniarz, i Kaziu Sitkiewicz, grabarz. A i Tolku Małecki, murarz, jak mój Ignac. Oni wszyscy kiedyś robili z Ignacym u jidnegu szmajgełesa na Wulce. A po ruboci przychodzili tu i w karty pugrali, i wcinali precli, i hary też troszku pupili. Ali to wszystku z fasonym.

- Tadeusz Jojko, tak? - upewniał się Cygan. - Murarz, tak? Powtórz pan następnych, bo nie zdążyłem zapisać! Dolku czy Tolku Małecki?

- A bo to ja wiem?

- Niech się pan skupi. To duża różnica. Dolku to Adolf, a Tolku to Anatol.

Popielski przestał słuchać Cygana. Zygmuś nadal płakał. Nikt go nie pocieszał. Jego rodzice siedzieli w milczeniu. Popielski podszedł do chłopca i wyjął z kieszeni miętowe dropsy. Ukląkł i wyciągnął do małego rękę z cukierkami. Zygmuś schował się za ojca i patrzył nieufnie.

Cygan zamknął notes, wstał i potarł czerwone z niewyspania oczy. Komisarz rozprostował kości i zapiął marynarkę. Kiwnął ręką na kolegę, aby podał mu notes. Analizował przez chwilę listę nazwisk i kiwał głową, jakby je liczył. Podsunął notes pod oczy Cyganowi i wskazał na jedno z nazwisk. Ten gest oznaczał: ten jest mój! Wyszli, a rodzina Pytków została sama ze swą rozpaczą.

Na galeryjce owionął policjantów zapach bzu kwitnącego na podwórku. Odetchnęli z ulgą, wyrzuciwszy z płuc duchotę mieszkania.

Trzasnęły drzwi na galerii. Walery Pytka podszedł, kulejąc, do Popielskiego.

- Panie kumisarzu - powiedział stary stolarz. - Przysięgam Bogu, że zabiji tegu skurwysyna, co zabił naszegu Henia. A potym pieszki do Częstochowy…

- Pójdziesz do Częstochowy, Walerku? Na pielgrzymkę? Na pewno? - zapytał go Popielski, patrząc na jego dziurawe łapcie.

- Na zichyr - stary patrzył na policjanta pewnym wzrokiem. - Podziękować za zabici gada. Zabiji, a późni podziękuji Najświętszyj Maryi.

- Na pewno?

- Na zichyr.

- No to ja ci kupię dobre buty na tę pielgrzymkę! - odpowiedział Popielski i zszedł z galeryjki.

***

Była czwarta nad ranem, kiedy Popielski znalazł się na rogu Sapiehy i Potockiego. Przetarł oczy i spojrzał w dobrze już widoczną jasną smugę nad Cytadelą. Niedługo ta nieśmiała zapowiedź dnia miała się zamienić w ciepły, świetlisty poranek. Zwykle o tej godzinie wracał do swego mieszkania na Kraszewskiego i wypalał na balkonie ostatniego przed snem papierosa, wsłuchując się w szczebiot ptaków w Ogrodzie Jezuickim. Potem

kładł się spać, by wstać - jak zawsze - wczesnym popołudniem. Ale teraz zachował się zupełnie inaczej i porzucił myśl o chłodnej, czystej pościeli i o kołysance z ptasiej muzyki. Uczynił tak nie z poczucia obowiązku i nie ze strachu przed jakimiś wyrzutami sumienia. Na powrót do domu nie pozwoliło mu wygodnictwo. Był zbyt wielkim, zbyt wyrafinowanym sybarytą, aby pozwolić sobie na bezsenność. Ale wiedział, że to go właśnie czeka, jeśli nie sprawdzi pewnej informacji.

Ruszył zatem szybkim krokiem w stronę komendy, wymijając po drodze wielką ciężarówkę z napisem „Przedsiębiorstwo Spedycyjno-Transportowe Jupiter i Syn", z której dwóch robotników wyładowywało wiadra z kwiatami. Wszedł do gmachu na Łąckiego, zdjęciem melonika odpowiedział na pozdrowienie nocnego portiera i poprosił go o klucz do archiwum. Portier wiedział - jak wszyscy - że nocna pora jest czasem działania komisarza. Wiedział również, że Popielski może wykorzystywać archiwalia i akta bez zgody i bez dyskretnego nadzoru kierowniczki archiwum, pani Antoniny Ferdynowej, która - nawiasem mówiąc - zawsze gorąco i nadaremnie protestowała przeciwko tym specjalnym pełnomocnictwom komisarza.

Popielski, wziąwszy klucz, zszedł do piwnicy, w której mieściło się archiwum. Otworzył drzwi, zapalił mocne białe światło, włożył dla ochrony przed kurzem nieco za ciasny fartuch. Uniósł głowę, chodził między półkami i uważnie przyglądał się literom pięknie wykaligrafowanym u góry każdego segmentu. Znalazł szybko szukaną przez siebie literę. Odpowiednie akta były na najwyższej półce. Przysunął drabinę, której szerokie stopnie były wyślizgane przez setki wojskowych i policyjnych butów. Wszedł na samą górę, powodując szczękanie łańcucha chroniącego obie nogi drabiny przed rozjechaniem się na boki. Stojąc na ostatnim stopniu, sięgnął po właściwy segregator. Chwilę mocował się z haczykiem, po czym otworzył gwałtownie pokrywę segregatora. Głowę policjanta spowił tuman kurzu, który częściowo osiadł na wyciąganych teczkach. Po kilkudziesięciu sekundach dmuchania i prychania na kurz znalazł to, czego szukał. W teczce były fiszki, koperty i luźne kartki. Jedną z nich czytał powoli, czerwieniał na twarzy, a jego nogi zaczynały drżeć.

Zgodnie z zeznaniami małoletniego Halińskiego Czesława, podejrzany, lat 34 (tak!), bawił się z dziećmi w chowanego. W trakcie zabawy uderzył kilkakrotnie pomienionego wyżej 8-letniego Halińskiego Czesława i pokaleczył go nożem sprężynowym. Niniejszym przyjmuje się do rozpatrzenia i do przekazania właściwym organom skargę brata i prawnego opiekuna pomienionego dziecka, ob. Halińskiego Marcelego, lat 20, robotnika. Podejrzanego zatrzymuje się do dalszych postępowań przewidzianych odpowiednimi paragrafami k.k.

Poniżej był dopisek.

Skierować podejrzanego na szczegółowe badania psychiatryczne. Jezierski.

Popielski znał dobrze podpisanego powyżej sędziego śledczego jako skrupulanta, którego polecenia są zawsze wykonywane. Nie pomylił się. Miał teraz przed sobą kartkę papieru, opieczętowaną u góry ***„Szpital Powszechny Państwowy we Lwowie, Klinika Chorób Nerwowych".***

Pacjent uległ dwa lata temu wypadkowi potrącenia przez furmankę, którego skutkami może być to, co następuje. Stwierdza się mianowicie, iż pacjent wykazuje się silnymi skłonnościami do destrukcji i wykazuje brak

instynktu samozachowawczego, co widać zwłaszcza wtedy, gdy upada głową na ziemię, nie podpierając się rękami, po prostu jak automat, jak bałwan. Na wierzchu głowy pomiędzy kością czołową a potyliczną, w miejscu sutura sagittalis, ma wpadlinę głęboką na pół centymetra. Brzegi tej wpadliny są spadziste, a dno zupełnie twarde. Związek tej właściwości pourazowej z zaburzeniami psychicznymi jest bardzo prawdopodobny. Jego osobliwa imaginacja, iżby był dzieckiem, bawiąc się z podobnymi sobie dziećmi, wskazywać może na silne nie-regularności psychiczne, które wymagają hospitalizacji i szczegółowych badań, zwłaszcza że jego zachowanie względem dzieci jest agresywne i - co gorsza - podszyte imaginacją płciową. Nie twierdzi się, iż to ostatnie odrażające zachowanie jest skutkiem ww. wypadku, lecz może właściwością stałą badanego, która uległa wraz z ogólnym pogorszeniem się zdrowia psychicznego silnemu ujawnieniu. Zaleca się natychmiastowe umieszczenie pacjenta w zakładzie zamkniętym dla osób nerwowo chorych, gdyż może on być zagrożeniem społecznym.

Dr Antoni Sucher, ordynator.

Pieczątka na ostatniej kartce była Popielskiemu dobrze znana - ***„Prokuratura Sądu Okręgowego, Sekretariat dla dochodzeń i śledztw”.*** Poniżej widniała krótka, starannie wykaligrafowana adnotacja:

Zawiesza się czynności prokuratorskie do momentu, aż podejrzany, przebywający obecnie w Klinice Chorób Nerwowych szpitala przy Pijarów, przyjdzie do pełni zdrowia psychicznego.

Dr Juliusz Prachtel-Morawiński, wiceprokurator.

Popielski spojrzał na datę ostatniego pisma: dnia 21 stycznia 1939 roku. Brak jakiegokolwiek później datowanego dokumentu świadczyłby, iż podejrzany o pobicie dziecka wciąż przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Ten pobyt w miejscu odosobnienia był dla niego wyśmienitym alibi. Ale Popielski się nie poddawał łatwo. Schował na powrót wszystkie dokumenty do szarej koperty, na której pani Ferdynowa wystukała na maszynie:

Anatol Małecki, murarz, syn Teofila i Zofii, ur. 14 XII 904 we Lwowie, zamieszkały ibidem, ul. Berka Joselewicza 25, oficyna m. 1.

Zszedł z drabiny tak energicznie, że zadźwięczał donośnie łańcuch. Zrzucił fartuch, zgasił światło i wyszedł z archiwum.

Na ulicy Sapiehy zagwizdał na przejeżdżającą dorożkę i kazał się wieźć na Niemcewicza 46. Dochodziła piąta, lecz on przez najbliższą godzinę będzie musiał obyć się bez snu. Podobnie jak pewien stary stolarz, który złożył śluby Matce Boskiej Częstochowskiej.

***

Popielski tym razem wcale nie pukał do drzwi Pytków. Spotkał bowiem Walerego na galeryjce, gdy ten wychodził z klozetu.

Stary rzemieślnik chwiał się na nogach, a w garści dzierżył kalesony, których nie udało mu się zawiązać na troczki. Siwa twarda szczecina, włosy sterczące na wszystkie strony, zgniły oddech oraz czerwone obwódki pod oczami czyniły z niego odstręczającą figurę. Komisarz zachodził w głowę, jak Walery Pytka mógł się w ciągu niecałych dwóch godzin zamienić w kompletnego abnegata. Nie wiedział, że tej nocy stolarz miał jeszcze jednego gościa. Oto jego sąsiad komunista odebrał przechowywane przez starego ulotki i odezwy, odwdzięczając się swemu dobroczyńcy ćwiartką spirytusu. Pytka nie czekał zaś z alkoholem ani chwili - wypił go szybko i w sekrecie przed synem. Skutkiem tego zataczał się teraz niebezpiecznie w stronę poręczy galeryjki i bełkotał coś niezrozumiale.

- Co jest, Walerku? - spytał go Popielski z niepokojem. - Gdzie tak dałeś do wiwatu?

- Nyyyyyy… - wybąkał Pytka, zamilkł i uśmiechnął się szeroko. - Nyyyyyyyyyy…

Popielski wiedział, że w tym stanie Walery Pytka nie rozpozna nikogo. Było wątpliwe, czy stary potrafiłby rzec cokolwiek sensownego, na przykład czy odpowiedziałby na pytanie o własny wiek i nazwisko. Rozstrzygnięcie zaś kwestii, czy wspomniany przez niego przed dwiema godzinami murarz „Dolku” lub „Tolku Małecki” i „murarz Anatol Małecki” z akt policyjnych są tą samą osobą, było teraz dla Walerego równie jasne i oczywiste jak starogreckie aorysty. Popielski mógł poczekać, aż dziadek zabitego chłopca wytrzeźwieje albo zapytać o Małeckiego jego rodziców. Ale komisarz był z natury bardzo niecierpliwym człowiekiem.

***

Leokadia Tchorznicka poznała swojego kuzyna Edwarda Popielskiego, kiedy ten miał lat trzy. Było to w czasie Wigilii w roku 1889. Mały Eduardo, jak nazywała swojego jedynego synka afektowana ciotka Zofia z Tchorznickich Popielska, przybył wraz z rodzicami z nieodległego Borysławia do Stanisławowa, aby spędzić wraz z liczną rodziną Tchorznickich pierwsze wspólne święta. Dotąd się to nigdy nie udawało, ponieważ ojciec Edzia inżynier Paulin Popielski, zatrudniony przez przedsiębiorstwo górniczo-naftowe S. Stern w Borysławiu, był wciąż wysyłany - jak na złość w czasie świąt - na rozmaite rozpoznania geologiczne w odległe i egzotyczne krainy, głównie do Turcji i Persji, a bojaźliwa ciotka Zofia nie miała dość odwagi, aby sama z małym dzieckiem udać się w niedaleką przecież podróż. Ani na Leokadii, ani na jej czworgu rodzeństwa ich mały kuzyn nie zrobił podczas owych świąt najlepszego wrażenia. Był to - w ich mniemaniu - wredny szczeniak, typowy rozpieszczony jedynak, który swym krzykiem szantażował wszystkich dokoła. Opychał się ciastkami i czekoladkami, dręczył ich małego kundelka Mikiego i - aby zdenerwować własną matkę - wspiął się pewnego razu na najwyższą półkę spiżarni i leżał tam cicho przez dwie godziny, wyjadając miód i konfitury. W tym czasie odchodząca od zmysłów ciotka Zofia, zirytowany wuj Paulin, a nawet jej własny ojciec, spokojny zwykle absolwent filozofii i profesor gimnazjalny Klemens Tchorznicki, szukali zaginionego po domu i ogrodzie. W końcu kuzynowi znudziła się zabawa i wylazł ze spiżarni. Spędziwszy dwie godziny w chłodnym pomieszczeniu, przeziębił się oczywiście i - ku uldze wszystkich - wylądował w łóżku. Ulga była jednak tylko chwilowa, ponieważ chory domagał się od wszystkich domowników coraz to nowych rozrywek. Dla świętego spokoju ciotka czytała mu w nieskończoność bajki, kuzyni

odstawiali teatrzyk, a nawet jej ojciec grał mu na mandolinie. Toteż wszyscy głośno odetchnęli, kiedy w końcu Popielscy opuścili ich gościnny stanisławowski dom i zabrali ze sobą rozwrzeszczanego bachora. Wszyscy Tchorzniccy modlili się później o to, aby firma S. Stern pod koniec grudnia wysyłała inżyniera w różne dalekie delegacje.

Ich modły zostały wysłuchane, bo Popielscy zjawili się w Stanisławowie dopiero sześć lat później, w sierpniu 1895 roku. Dziewięcioletni Edward w niczym nie przypominał rozwydrzonego malca sprzed lat. Był chłopcem nad wiek dobrze zbudowanym i rozwiniętym, małomównym, lecz wesołym, ciekawym wszystkiego, lecz nienatrętnym. Czas najchętniej spędzał w gabinecie profesora Tchorznickiego nad szachownicą lub nad atlasami geograficznymi. Uwielbiał też wypisywać starannie rozmaite hieroglify i szyfrować jakieś tajne wiadomości, pisząc po polsku, lecz literami greckimi, które już przed pójściem do gimnazjum dobrze opanował. Wtedy dwunastoletnia Leokadia, obserwując swojego kuzyna, uświadomiła sobie po raz pierwszy w życiu, iż natura ludzka nie jest niezmienna, a wstrętne bachory wyrastają na dobrze ułożonych młodych ludzi.

Nie tylko zachowanie kuzyna było nietypowe, lecz również niezwykły był powód przybycia wujostwa pod koniec owych gorących wakacyj 1895 roku. Otóż firma Bergheim&MacGarvey kupiła w Baku rafinerię i zaproponowała inżynierowi Popielskiemu posadę dyrektora. Propozycja ta została przyjęta z radością i świeżo mianowany szef rafinerii podjął ważne decyzje. Nie mając zaufania do szkolnictwa rosyjskiego, pozostawił syna swoim szwagrostwu do czasu, aż sam nie urządzi się w Baku i nie znajdzie dla Edwarda odpowiednich guwernerów. Kuzyn Edzio niechętnie się rozstawał z rodzicami, zwłaszcza, że jego matka dostała na dworcu stanisławowskim takich spazmów, jakby widziała się z dzieckiem po raz ostatni. Niestety - jej intuicja okazała się trafna. Kilka dni później nadeszła bowiem straszna wiadomość, która całkowicie zmieniła życie kuzyna. Pociąg jego rodziców został napadnięty przez pijaną bandę stepowych morderców. Ojciec, stanąwszy w obronie czci matki, został bestialsko zabity, a matka powiesiła się kilka dni później. Edek ze spokojnego i uśmiechniętego chłopca zamienił się w zaciętego milczącego ponuraka. Kilka dni później uległ po raz pierwszy w życiu chorobie, która stała się jego nieodłączną towarzyszką. Po pewnej kolacji stał się - na oczach wuja i ciotki - bezwładnym dygocącym ciałem, które wszystkimi otworami oddało różne wydzieliny. Leokadia i jej rodzeństwo nie byli na szczęście świadkiem tej smutnej, poniżającej i zatrważającej sceny. Późno w nocy Edward obudził się po długim nerwowym śnie. Przy jego łóżku siedziała Leokadia wraz matką. Kuzyn, widząc je obie, wybuchnął nagle nieoczekiwanym, dzikim, histerycznym śmiechem.

- Nie pojmuję mojego kuzynka - szepnęła Leokadia do matki. - Dlaczego on tak się zachowuje?

Nie rozumiała jego zachowania i teraz o szóstej rano, w majowy słoneczny poranek, kiedy z jakimś pijanym obdartusem miotał się po przedpokoju i wciskał mu na stopy jedne ze swoich najlepszych butów. Mogła zrozumieć nawet to, że Edward wraca rano z jakimś kompanem i chce kontynuować libację w domu. Zdarzało się to czasami, choć nigdy za jej bytności w domu, nie mówiąc już o obecności jego córki Rity. Szeptali jej jedynie później o tym ich służąca Hanna, stróż domu lub oburzeni sąsiedzi. Przypuszczała jednak, że

nawet jeśli towarzyszył mu jakiś zapity kolega, to nigdy nie był w takim stanie upojenia jak ten staruch. Mogła i to zrozumieć, że Edward próbuje wykurować i otrzeźwić jakiegoś znajomka, wrzucając go do wanny, pojąc kawą i podstawiając mu pod nos flakonik z amoniakiem - jak to właśnie uczynił z tym starym. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego - kiedy już mu się to udało i postawił kurowanego na nogi - odziewa go w swoje stare, ale wciąż dobre ubranie i wciska mu na stopy wspaniale, zakrywające kostkę trzewiki z pierwszorzędnego salonu Derby!

Patrzyła później, jak nabrzmiewają żyły na byczym karku Popielskiego, kiedy wrzucał pijaka do dorożki, trzymając go jedną ręką za spodnie, a drugą za kołnierz. W trakcie tej operacji pijak zahaczył nogawką o koło i trochę ją naddarł. W normalnych okolicznościach Popielski wpadłby w szał, a przynajmniej uważnie obejrzał szkodę. Teraz jednak nie zareagował na zniszczenie swego ubrania od braci Jabłkowskich! Nie pojmuję mojego kuzyna, pomyślała Leokadia Tchorznicka i weszła do mieszkania. Nie wiedziała, że w ciągu najbliższych dni jej kuzyn jeszcze bardziej ją zadziwi - by nie rzec: śmiertelnie zatrwoży.

***

Popielski wysiadł z dorożki przy ulicy Pijarów pod szpitalem. Fiakrowi kazał zaczekać, a sam podał rękę Pytce tak wytwornie, jakby ten był damą wysiadającą z karety. Stary uchwycił się jego ramienia i ruszył, potykając się co chwila, nieprzyzwyczajony do butów, które na nogach miał po raz pierwszy. Policjant chwycił go wpół i trochę niósł, trochę prowadził, omijając statuę Matki Boskiej. Jakiś jegomość w meloniku i z pinczerem na smyczy aż się zatrzymał przy wejściu na teren szpitala i patrzył na nich z niesmakiem, jakiś student pokazywał ich palcem, a jego kolega śmiał się głośno.

- Ali si gościuniu nachirzył! - wrzasnął jakiś wyrostek w kraciastym kaszkiecie i w białym szaliku zawiązanym pod szyją.

Popielski nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi i prowadził ostrożnie Walerego, u którego upojenie alkoholowe ustąpiło miejsca gwałtownej i nieopanowanej senności. Komisarz miał remedium i na ten stan. W zaciśniętej dłoni dzierżył flakonik soli trzeźwiących, których głównym składnikiem był niezawodny w takich sytuacjach amoniak.

Wtaszczył w końcu Pytkę do szpitalnego hallu i posadził go na pierwszej lepszej ławce, na której ten wpadł momentalnie w ramiona Morfeusza. Popielski rozejrzał się wokół i zaraz ujrzał kroczącego dostojnie portiera, który miał zarost a la Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef.

- Masz tu pan pół złotego - zwrócił się do niego Popielski. - I przypilnuj pan, żeby ten tutaj nie czmychnął! A ja tymczasem idę do kierownika tego zakładu. Który to pokój?

- Ja to jestem urzędnik państwowy - odparł dumnie portier. - I mam moją pensję. Ni potrzebuji pańskich cwancygrów. A ten tu kto niby? Pacjynt?

- Tak, być może przyszły pacjent - odparł komisarz. - Jak my wszyscy. Ale popilnowanie go jest rzeczą bardzo odpowiedzialną. I godną urzędnika państwowego. Tak sumiennego jak pan. Źle zrobiłem, wiem. Pan nie jest fiakrem ani bojem hotelowym,

któremu się daje napiwki. Pan stoi o niebo wyżej. Ja też, tak jak pan, jestem urzędnikiem państwowym. Policja kryminalna - pokazał portierowi odznakę.

- Słuszni pan prawi. - Portier aż pokraśniał z zadowolenia. - Ali pan tam iść ni może, do ordynatora, nu na oddział. Taki mamy przepisy! Mam zatrzymać kuždegu i zameldować przez aparat o pańskim przyjściu. A pan zechcy siąść i poczekać.

Popielski kiwnął głową z aprobatą, jakby chwaląc służbistego portiera, i zrobił, jak mu kazano. Portier tymczasem stanął na baczność obok pulpitu z telefonem i wystukiwał widełkami właściwy numer.

- Melduji si posłuszni Durbak Józef - powiedział z namaszczeniem. - Du aparatu jest wzywany pan doktór Lebedowicz. Dobrzy. Ta czeka tu policja kryminalna. Pan doktór Lebedowicz. - Portier spojrzał na Popielskiego. - Jest na linii. Będzie z panym rozmawiał.

Popielski podszedł do pulpitu, słuchawkę przyłożył do ucha i pochylił się nad tubą, do której powiedział wolno i dobitnie:

- Dzień dobry. Tu komisarz Edward Popielski z policji. - Urwał, czekając na jakąkolwiek reakcję swojego niewidzialnego rozmówcy; usłyszał jedynie jakieś mruknięcie, które miało być chyba odpowiedzią na jego powitanie. - Muszę się widzieć z pacjentem Małeckim Anatolem. Śledztwo wielkiej wagi wymaga, abym się widział z nim niezwłocznie.

- Za kwadrans - usłyszał w słuchawce, a potem rozległ się w niej cichy przeciągły sygnał.

Popielski usiadł obok śpiącego Pytki. Poczuł lekki zawrót głowy. Uświadomił sobie, iż jest on być może spowodowany zmęczeniem, a być może - co byłoby gorsze - wyzwalaczami epilepsji, promieniami słońca, które w czasie jazdy dorożką dochodziły spomiędzy kasztanów rosnących wzdłuż ulicy Pijarów. Naciągnął na oczy kapelusz, a na nos nacisnął swe ciemnofioletowe binokle. I znów zakręciło mu się w głowie. Ale nie był to zwiastun ataku padaczki, ponieważ ten zwykle był poprzedzany szumem w uszach i plamkami biegającymi przed oczami, a żadnego z tych symptomów Popielski teraz nie doświadczał. Ten zawrót głowy, a zwłaszcza towarzyszące mu drżenie żuchwy było oznaką zbliżającej się frustracji. Zawsze osobliwie swędziały go szczęki, kiedy pojawiało się to uczucie. Najchętniej zagryzał wtedy zęby na jakiejś szczapie drewna, ołówku, obsadce lub na innych podobnych przedmiotach. Wtedy wszystko mijało.

Wiedział, że teraz frustracja i wściekłość tak szybko nie miną, choćby wbił zęby w okutą poręcz. Bo oto za kwadrans miał się przed nim zjawić człowiek, który siedzi w tej klinice kilka miesięcy, czyli siedział tutaj również i wczoraj, i przedwczoraj. Był tu, na Pijarów, nie czaił się więc na małym podwórku przy Niemcewicza i nie porywał żadnego z bawiących się tam dzieci. Tutaj w sali chorych Anatol Małecki srał pewnie w gacie, rąbał kapucyna albo wcielał się w Napoleona czy w Winnetou, a to oznacza, że nie torturował wtedy małego Henia Pytki. Czyli nie był sprawcą. Popielski czuł głuchą irytację. Drżały mu szczęki. Jak zawsze, gdy trop nadziei stawał się tropem fałszywym.

Usłyszał głośne okrzyki. To pewnie Małecki się zbliżał. Podstawił Pytce pod nos sole trzeźwiące. Ten wzdrygnął się i otworzył oczy. Był całkiem przytomny.

- Słuchaj no, Walerku! - Policjant podniósł głos. - Zaraz tu przyjdzie niejaki Anatol

Małecki. Masz powiedzieć, czy to ten, który bywał u was w domu! O którym mówiłeś mojemu zastępcy, rozumiesz?! Gadaj, czy pojmujesz, czego się od ciebie żąda!

- A rychtyk - odpowiedział stary. - Czy ten, co tu przyjdzi, to Tolu Małecki czy nie! To mam bałakać!

- Właśnie tak! No to uważaj i patrz!

Głośne okrzyki zbliżały się z ciemnego korytarza. Po kilku sekundach z mroku wyszedł człowiek ubrany na biało, który głośno złorzeczył i wymachiwał rękami. Zatrzymał się przed portiernią i ze złością spoglądał na Popielskiego.

- To ni jest Tolu Małecki! - powiedział Pytka. - Na zichyr!

- Nu pewni - do rozmowy włączył się portier. - Toż to pan doktor Lebedowicz!

- Do jasnej cholery! - wrzasnął doktor Lebedowicz na Popielskiego. - Pan mi głowę zawracasz! Myślisz pan, że mam czas na pańskie fanaberie, na sprawdzanie pańskich pacjentów!?

Popielski poczuł, że skóra jego głowy zaczyna nabierać wyższej temperatury i ciemnych barw. Szczęki poruszały się już nie tylko w górę i w dół, lecz także na boki. Teraz nie uspokoiłoby go nawet to, gdyby zgryzł żelazny parkan okalający szpital. Zacisnął rękę w pięść, wciskając sobie ostro spiłowane pazury w miękką poduszkę dłoni.

- Miotam się jak Żyd po pustym sklepie! - Doktor obniżył ton i odsunął się nieco od Popielskiego. - Po całym oddziale szukam tego pańskiego Małeckiego, a on od czterech dni na przepustce! Doktor Sucher mnie nie raczył zawiadomić! Nie mógł pan tego wcześniej sprawdzić? Nie mógł pan do nas zatelefonować? Nie traciłbym czasu dla pana!

Popielskiemu przestały chodzić szczęki. Trop nadziei stawał się tropem pewnym. Pociągnął za kołnierz Pytkę, ukłonił się na pożegnanie tylko portierowi i wraz ze starym opuścili szpital. Tym razem Pytka wsiadł do dorożki bez niczyjej pomocy. Obok niego usadowił się Popielski, omal nie miażdżąc swego wątłego towarzysza.

- Na Joselewicza - rzucił fiakrowi.

- Si rozumi, szanowny paniaga - odparł dorożkarz i zaciął konia.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Pytka.

- Odwiedzić Tola Małeckiego - odparł Popielski z uśmiechem.

- Tylko my dwaj, oba cwaj? - dopytywał się stolarz z lekkim przestrachem. - Pan chce go złapać?

-Tak.

- On silny jak byku. Panie kumisarzu, trzeba by jeszczy z nami jakieguś pulicaja!

- Podobają ci się twoje nowe buty, Pytka? - zapytał Popielski i sięgnął po papierosy.

- Nu, ta pewni!

- No to przyzwyczajaj się do nich, bo pójdziesz w nich do Częstochowy! Wiesz już, dlaczego nie jest nam potrzebny żaden policjant?

Pytka pokiwał głową i zatarł zrogowaciałe dłonie.

***

Nędzna kamienica, opatrzona numerem 25, stała przy równie nędznej ulicy Berka Joselewicza. Wraz z innymi brudnymi i zagrzybionymi domami tworzyła cały kwartał, którego centrum stanowiło małe błotniste podwórko. Na środku tegoż podwórka wybudowano niegdyś podzieloną na komórki stajnię, w której swe konie trzymali woźnice i dorożkarze. Z czasem, pod wpływem zarządzeń rady miejskiej, ograniczających liczbę zarejestrowanych w mieście zwierząt, wiele z tych komórek opustoszało. Owe puste pomieszczenia zakupił szef oficjalistów niedalekiego Browaru Lwowskiego, pan Julian Blahaczek, chcąc otworzyć tu swój wyszynk. Nie zdążył jednak wprowadzić w życie tego zamiaru, ponieważ kryzys gospodarczy, jaki ogarnął Polskę, podsunął mu inną, lepszą myśl. Popyt na piwo spadł, natomiast na tanie mieszkania - wręcz przeciwnie. Niezamożnych obywateli wciąż przybywało na przełomie dziesięcioleci. Blahaczek dobudował zatem ustęp przy stajni, wykopał przed nim studnię i zamontował pompę, nad każdymi drzwiami zamocował daszek chroniący od deszczu i opatrzył ceglasty mur szyldem „Ul. Joselewicza 25 oficyna". W niewielkim budynku znajdowało się sześć izdebek z jednym oknem, w których gnieździły się liczne rodziny biedaków. Nad pierwszymi drzwiami od prawej wypisano numer 1.

To ten właśnie szyld i ten numer obserwował teraz Popielski ukryty za rozpadającym się płotem. Stał od kwadransa w cieniu lipy i palił spokojnie papierosa. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Zaraz podwórko napełni się gwarem dzieci śpieszących do szkoły, szczękaniem wiader przy pompie i pokrzykiwaniem kobiet. Zaraz na galeryjki wyjdą emeryci i wystawią pierzyny na działanie silnego majowego słońca, którego on sam tak bardzo nienawidzi. Zaraz tu zacznie się życie, a Popielski musi zdążyć przed tą chwilą. Zdusił papierosa czubkiem buta i ruszył szybko w stronę oficyny, grzęznąc w błocie. Stanął pod komórką opatrzoną numerem l. Zajrzał do niej przez okno. Niczego nie dojrzał, ponieważ widok zasłaniał naciągnięty na okno koc. Czując na biodrze przyjemny i pokrzepiający ciężar browninga, zastukał w drzwi tak mocno, aż wystraszył gołębie kłębiące się przy pompie.

Rozejrzał się dokoła. Ptaki były jedynymi istotami, które zwróciły na niego uwagę. Mężczyzna, który przy pompie mył twarz i kark, ani na niego spojrzał. Za drzwiami Popielski usłyszał człapanie obudzonego człowieka.

- Kto?! - usłyszał dudniący głos.

- Policja! Otwierać!

Cisza. Kroki oddaliły się od drzwi i zbliżyły się do okna. Rozchylił się koc, a za brudną szybą zamrugało zaropiałe od snu oko. Popielski podsunął pod nie odznakę. Koc opadł na okno, a kroki znów zbliżyły się do drzwi. Potem zapadła cisza, która wielce radowała Popielskiego. Wnioskował z niej bowiem, że Małecki się waha, czyby go wpuścić czy też nie. Gdyby był niewinny, nie wahałby się ani sekundy i otworzyłby drzwi.

Drzwi uchyliły się i stanął w nich potężny nieogolony mężczyzna w kalesonach i w podkoszulku. Jego bielizna upstrzona była licznymi żółtymi zaciekami. Z dekoltu

wystawały kłębiące się kłaki. Z nosa i z uszu sterczały długie pojedyncze, zakręcone włosy. Z wnętrza izby bił smród zepsutego jedzenia.

- Małecki? Nazywa się pan Anatol Małecki?

- Bo co? - Mężczyzna ukazał braki w uzębieniu.

- To Małecki?! - Popielski krzyknął i spojrzał w bok.

Walery Pytka, myjący się przy pompie i karmiący teraz gołębie, kiwnął twierdząco głową. Małecki spojrzał na niego, uśmiechnął się i uniósł rękę na znak powitania. Wtedy dostał w nos nasadą dłoni.

Popielski po zadaniu ciosu zdjął kapelusz i runął jak byk na toreadora. Trafił głową w pierś Małeckiego i razem z nim wpadł do izby. Poczuł smród potu i ciepłą wilgoć na głowie. Domyślił się, że z nosa atakowanego buchnęła jucha. Podniósł głowę i zobaczył, jak Małecki ląduje na ścianie i osuwa się na wiadro zamknięte deklem. Zawartość wiadra wylała się i Popielskiemu na moment zabrakło tchu od kloacznego smrodu. Lewą ręką sięgnął po browning, prawą po chusteczkę do nosa. Wycelował w Małeckiego. Ten siedział nieruchomo na klepisku i potrząsał wielką kudłatą głową, jakby z niedowierzaniem. Wokół rozlewała się kałuża nieczystości i walały się stare, połamane skrzynki pełne różnych organicznych i nieorganicznych odpadków. W kącie stała żeliwna koza, której rura wychodziła przez otwór w oknie. Ze ściany sterczało metalowe koło, do którego niegdyś przywiązywano konia lub inne bydlę.

- Połóż się na boku. - Popielski nie spuszczał Małeckiego z muszki. - Pod piecem. Dobrze - pochwalił, gdy Małecki zrobił niezwłocznie to, co mu kazano. - A teraz włóż rękę pod piec tak, żeby wystawała z drugiej strony. Przykuję cię do drzwiczek, a potem przeszukam mieszkanie.

Małecki najwidoczniej nie zrozumiał polecenia. Nie ruszał się, uśmiechał i jedynie potrząsał głową. Popielski podszedł ostrożnie z drugiej strony kozy i ukucnął. Z obrzydzeniem uderzył obcasem w mokre od uryny klepisko.

- Włóż rękę pod piec, przesuń się trochę w bok i dotknij nią tu, o tu - mówiąc to, kilkakrotnie stuknął obcasem o podłoże.

Małecki w końcu zrozumiał. Całe jego ramię zniknęło pod kozą, pomiędzy jej nogami. Prawa dłoń wystawała spod pieca. Popielski pochylił się, aby włożyć na nią bransoletkę kajdanek. I wtedy usłyszał huk, brzęk szkła i jęk rozrywanej blachy. Znalazł się w czarnej lepkiej mgle. W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że Małecki jakąś nadludzką siłą uniósł żeliwny piecyk i wyrwał jego rurę, z której cug sypnął obficie sadzą. Cios, który Popielski otrzymał teraz w splot słoneczny odebrał mu oddech. Przez łokieć przeszedł prąd. Palce dłoni straciły jakiekolwiek czucie, a pistolet klasnął w kałuży na klepisku. Usłyszał uderzenie, jakie wydaje z siebie dojrzały melon, spadając z wozu na bruk. Albo ludzka głowa w zetknięciu z pałką. Osunął się na ścianę.

To jednak nie jego głowa wydała ten odgłos, lecz łeb Małeckiego. A to, co w niego uderzyło, to nie była pałka.

Pytka stał na środku izby, a w mocnej sękatej dłoni trzymał siekierę. Małecki leżał na klepisku w pozycji embrionu. Pytka uniósł jeszcze raz siekierę, kierując ostrze w głowę

leżącego.

- Stójże! - wrzasnął Popielski. - I zamknij te drzwi!

- Tak jest, pani władzu! Alim bałakał, że to silny byku!

Pytka opuścił łagodnie siekierę i patrzył zupełnie trzeźwo na Małeckiego. Potem wykonał polecenie komisarza. Ten z trudem, zgięty wpół podszedł do dziury w szybie i nabrał głęboko powietrza. Trąciło ono końskimi odchodami, mokrą ziemią i zgniłymi deskami, ale i tak dla Popielskiego było milsze niż wszystkie aromaty Indyj. Rozmazał na czole sadzę i spojrzał na swoje zrujnowane ubranie. Lepiły się do niego tłuste czarne płaty. Prawą nogawkę spodni rozdartą miał na całej długości łydki.

- Żyje? - zapytał z trudem.

- Żyji gad - odparł Pytka. - Ja go tylku obuchym.

Popielski odetchnął kilkakrotnie.

- Kurważ, jak tu śmierdzi - powiedział z obrzydzeniem i oparłszy ręce na kolanach, ciężko oddychał.

- Od smrodu jeszczy nikt ni umarł, a z głodu nikt si ni zesrał - odpowiedział filozoficznie stary.

- Posłuchaj, Pytka. - Popielski się wyprostował. - Słuchasz mnie uważnie? Jesteś pijany czy trzeźwy?

- A trzeźwy jak małe mucko! Bih me, że prawdy bałakam.

- No, to słuchaj. Dziękuję. Uratowałeś mnie przed tym bydlęciem. A teraz mam do ciebie ważne pytanie. Chciałeś go zabić?

- Tak. Ja już mówił, że gada zabiji…

- Chciałeś go zabić, bo on zabił twojego wnuczka, tak?

- Nu tak!

- A skąd wiesz, że to on go zabił?

- To ni moja rzecz, ali pana kumisarza. Pan kumisarz mówi, że to on, no to ja gu zmagulał! I tyli!

- A ja jeszcze nie wiem, czy to on. - Popielski zatkał nos palcami i rozglądał się uważnie po norze Małeckiego. - Rozumiesz, Pytka? Jeszcze tego nie wiem. Albo on sam się przyzna, kiedy się ocknie i go przesłucham, albo znajdę jakieś dowody na niego. Wtedy ci go oddam. Do wyłącznej dyspozycji. A teraz rób, co ci mówię! Tylko to, co ci mówię! Nic więcej!

- Tak jest!

- No to przykuj go do ściany. - Podał Pytce kajdanki i kluczyk. - Tylko dobrze mi go przykuj!

Po chwili jedna bransoletka kajdanek zacisnęła się na grubym przegubie Małeckiego, druga zaś - na wystającym ze ściany kółku.

Popielski zaczął przeszukiwać izbę. Wciąż ściskając nos, rozgarniał nogą stare skrzynki po owocach wypełnione jakimiś szmatami i pakułami. W niektórych z nich piętrzyły się gazety i żelastwo, w innych - ogryzki i skamieniałe, zielone kromki chleba. Wsuwał w te śmieci pogrzebacz, który znalazł pod piecem. Nie mógł jednak znaleźć niczego, co by wskazywało na winę Małeckiego, i straszył jedynie karakony, które cicho czmychały po kątach. Kiedy już przeszukał wszystkie skrzynki, całą swoją uwagę poświęcił starej kozetce pokrytej pościelą bez poszewek. Ze sprzętu wystawały dwie pordzewiałe sprężyny okręcone sznurkami. Na środku kozetki była dziura. Zainteresowała ona Popielskiego, ponieważ jej brzegi były obrębione nitką. Przyjrzał się jej uważnie. W dziurze coś tkwiło, jakby jakaś tulejka. Popielski wyjął z kieszeni scyzoryk i delikatnie rozchylił materiał obicia. Spojrzał na znalezisko i splunął z odrazą. Była to tłusta skóra od słoniny, zwinięta w rulon. Towarzyszka samotnych nocy. Pocieszycielka - wagina.

Zajrzał pod łóżko i wyciągnął spod niego kartonową odrapaną walizkę. Otworzył wieko i oniemiał. Nie musiał już przesłuchiwać Anatola Małeckiego.

- Jest twój - powiedział do Pytki, podszedł do okna i zaczął głęboko oddychać.

Patrzył na dzieci idące z tornistrami do szkoły, na kobiety na galeryjkach, ugniatające energicznie poduszki i pierzyny, na jakąś staruszkę pompującą wodę. Patrzył na to wszystko, lecz tego nie widział. Miał za to przed oczami lalki leżące w walizce Małeckiego. Miały pomalowane na czerwono usta. Między ich nogami widniały niezdarnie wydrążone dziury obramowane narysowanymi atramentem kędziorami. Na kadłubach były obrysy piersi, a w dziurki w ich środku wetknięte były czubki marchewek. Niektóre lalki były obdarzone płcią męską. Czerwone ołówki wystawały spomiędzy ich nóg, a ich pośladki rozdzielone były długą szramą wydrążoną dłutem. Główki wszystkich lalek zgięte były na piersi, a ich tułowia pocięte ukośnymi ranami. Wyglądały jak Henio Pytka, skręcony w wychodku na Żółkiewskiej.

Popielski patrzył na podwórko i nic nie widział. Nie zauważył, iż ktoś się szybko zbliża do okna. Nie dostrzegł też metalowego pręta, który doszczętnie rozbił szybę i wylądował na jego czole. Upadł i nie czuł już smrodu kloaki, który wypełniał norę.

***

Pierwszym zmysłem, którego sprawność Popielski odzyskał, był dotyk. Zanim jeszcze otworzył oczy, zanim wróciły mu słuch i węch, już poczuł łaskotanie, które przesuwało się z czoła na tył głowy. Wydawało mu się, że myśli, które towarzyszyły temu uczuciu, uległy jakiejś materializacji i tłuką się boleśnie pod zmaltretowanym sklepieniem czaszki. Wyobraził sobie, że leży w kącie izby Małeckiego, gdzieś pomiędzy opróżnionym nocnikiem a skrzynką ze spleśniałym żarciem, a po jego głowie snują się leniwie tłuste karakony. Tak się przeraził tej myśli, że natychmiast otworzył oczy. Dojrzał jakiś poszarpany kształt. Z trudem uniósł dłoń i dotknął go. To był bandaż. Znów poczuł łaskotanie i poruszył głową. Mimo napływu mdłości, zatoczył wzrokiem i odetchnął z ulgą. Powróciły wtedy i węch, i słuch. Zamiast smrodu kloaki do jego nozdrzy dochodziła woń dobrego tytoniu i perfum Sapodor, zamiast ryku Małeckiego i przeraźliwego jęku blachy słyszał ściszone szepty, a po jego głowie wcale nie chodziły karakony, lecz przemieszczały się ciepłe i nieco spocone łapki jego wnuka Jerzyka. Popielski jeszcze raz

rozejrzał się po swojej sypialni i poruszył rękami i nogami. Wszystkie te czynności zarejestrowały z uśmiechem obie kobiety jego życia - kuzynka Leokadia i córka Rita.

- Tatuś się obudził - zawołała Rita. - Jerzyku, dziadek już nie śpi! Jak się tatuś czuje?

- Wiesz, ile byłeś nieprzytomny, Edwardzie? - Leokadia pogłaskała go po głowie.

Popielski nie wyrzekł ani słowa. Znał dobrze obie niewiasty i wiedział, że zadają one pytania, a potem same sobie na nie odpowiadają. Znał też dobrze swojego wnuka Jerzyka, a w jego niepohamowanej ciekawości świata dostrzegał swoją dawną pasję poznawczą. Obawiał się zatem nie bez racji, że chłopiec, zainteresowany obrażeniami, jakie odniósł dziadek, przejdzie od głaskania jego głowy do sprawdzania palcem, jak głębokie są owe rany.

- Już się dobrze tatuś czuje. - Rita pogłaskała ojca po policzku.

- Byłeś nieprzytomny prawie cały dzień - dodała Leokadia i poprawiła jego bandaż.

Popielski zasyczał z bólu. Nie pomylił się w swoich przewidywaniach co do zachowania wszystkich zgromadzonych przy jego łożu. Rita i Leokadia same odpowiadały na swoje pytania, a Jerzyk wsunął palec pod bandaż i świdrował nim z wielkim zainteresowaniem.

- Co to ma znaczyć? Zostaw dziadka, Jerzyku! - Rita podniosła głos. - Ale już! Dziadek jest chory, a ty go męczysz! To dziadusia boli!

Popielski zdał sobie sprawę, że jego córka w tym swoim uniesieniu budzi w Jerzyku równie wielką grozę jak ukochany pekińczyk Junior, który spał teraz grzecznie na jej kolanach. Komisarz - mimo bólu głowy - czuł ogromną radość na widok córki i trzynastomiesięcznego wnuka. Wciąż leżąc, chwycił go pod pachy i uniósł nad swoją twarzą. Mały śmiał się do rozpuku, a jego policzki, które pod wpływem grawitacji stały się nieco obwisłe, upodabniały go do rozbawionego buldoga. Dziadek pocałował małego w oba te policzki i położył obok siebie. Wsparł się na łokciu, a potem nagle zaatakował Jerzyka. Przytulił usta do jego szyi i zaczął prychać jak koń. Wnuczek omal nie oszalał z radości. Przewracał się z boku na bok, a swoimi wrzaskami wywołał z kuchni Hannę.

- Pan kumisarz już zdrów - zawołała służąca. - Naszy bambulku kochany uzdrowiłu pana!

Popielski spojrzał na zaróżowioną od zabawy twarzyczkę wnuka i przypomniał sobie nagle lalki Małeckiego pokolorowane czerwoną szminką.

- Co się stało? Mówcie! - wysapał z trudem, a każde słowo raniło mu głowę od środka.

- Nie wiadomo, co się stało. - Leokadia była bardzo rzeczowa, jakby relacjonowała trudne bridżowe rozdanie. - W bramie w Rynku niedaleko Atlasa znaleziono ciebie i tego pijaka, którego dziś rano cuciłeś w naszym domu. Obaj byliście bez ducha, z ranami na głowie. Mieliście dokumenty, zatem pogotowie przewiozło cię do domu, podobnie jak tego pijaka. Doktor Feller opatrzył ci rany i nakazał spokój. Ale z Jerzykiem, jak widzisz, nie ma mowy o spokoju…

- Nie szkodzi. - Popielski cierpliwie opędzał się od wnuczka, który próbował

boksować dziadka. - To przecież jeszcze malec. Ale powiedz, co z tym łajdakiem Małeckim! Kto go nam odbił?

- Nie wiem, o czym tatko mówi - wtrąciła się Rita. - Wiem tylko tyle, co napisane w nadzwyczajnym dodatku „Słowa” o tym tatki śledztwie i o Małeckim. Przykro mi bardzo, że to nie tatko go złapał… Dlatego przyszłam, aby go pocieszyć…

- Czytaj, Rito! - Popielski zapomniał o bólu.

- ***„Dnia dzisiejszego w samo południe*** - czytała Rita dobitnie, a wszyscy, włącznie z Jerzykiem, wpatrzeni byli w jej usta - ***policjanci z komisariatu III przy Zamarstynowskiej zostali zaalarmowani anonimowym telefonem, iż w jednej z kwater w oficynie przy ulicy Berka Joselewicza spoczywa morderca małego Henia Pytki i są tam również dowody jego zbrodni. Policjanci zastali w owej zamkniętej na klucz kwaterze związanego 35-letniego murarza Anatola Małeckiego. Znalezione w mieszkaniu przedmioty wskazują, iż rzeczywiście Anatol Małecki miał coś wspólnego z morderstwem małego Henia. Niestety, na konferencji prasowej naczelnik wydziału śledczego podinsp. Marian Zubik nie zechciał ujawnić, zasłaniając się dobrem śledztwa, żadnych dodatkowych szczegółów. Wyznał jedynie, że zebrany materiał pozwala na przekazanie sprawy Anatola Małeckiego prokuraturze. Czy to znaczy, iż Anatol Małecki jest mordercą? Na to pytanie podinsp. Zubik nie chciał odpowiedzieć. Nie odpowiedział też na zapytanie o obecne miejsce przebywania aresztowanego. W sprawie tej jest wiele wątpliwości. Dowiedzieliśmy się, że Anatol Małecki był już oskarżony o znęcanie się nad obcym mu dzieckiem i że od pół roku przebywał na oddziale nerwowo chorych szpitala przy Pijarów. Dowiedzieliśmy się również, że od kilku dni przebywał na wolności, korzystając z przepustki. Czy on jest potworem, którego szuka cały Lwów? Dlaczego zwolniono go ze szpitala? Mamy też wiele innych wątpliwości. Kto związał Anatola Małeckiego i zawiadomił policję? Może aresztowany jest kozłem ofiarnym? Wkrótce na te pytania będziemy znali odpowiedzi. Zapraszamy Szanownych Czytelników do naszego jutrzejszego numeru. Zostaną w nim opublikowane najświeższe wiadomości w tej sprawie oraz rozmowa z zastępcą ordynatora oddziału dla nerwowo chorych wspomnianego szpitala, doktorem Włodzimierzem Lebedowiczem”.*** Podpisano ***„Konstanty Mrazek, redaktor naczelny”.***

Popielski zaniemówił. Tymczasem Jerzyk, znudzony i szukający wciąż nowych wrażeń, odchylał głowę do tyłu, pokazując swą szyję w całej okazałości. Domagał się tym samym dalszej zabawy, dalszych w nią całusów i końskiego prychania. Nagle umilkł i spojrzał w kierunku drzwi. Krzyknął ze strachu, wytoczył się z łóżka i schował się za jego wezgłowiem.

Mało kto potrafiłby przestraszyć Jerzyka. Do tej nielicznej grupy należał na pewno Mosze Kiczałes ze swoją ciemną twarzą przeoraną różową blizną.

Kiedy już wszyscy - na prośbę Popielskiego - opuścili jego pokój, Kiczałes podszedł do łóżka komisarza, ujął go za dłoń i pochylił nisko głowę.

- Przepraszam - powiedział. - Ja musiał pana załatwić, a potem też przyjść tu i przeprosić. Upraszam wybaczenia, panie kumisarz.

- Może panu wybaczę, panie Kiczałes. - Popielski uniósł się na łóżku mimo zawrotu głowy i silnego bólu w czole. - A może nie… Ale najpierw muszę znać odpowiedź na trzy pytania: jak pan znalazł Małeckiego, to pierwsze, i dlaczego mnie pan tak urządził? To drugie.

- A trzecie pytanie?

- Dasz mi pan papierosa?

Kiedy obaj zapalili, Kiczałes usiadł na fotelu. Mówił, a z każdym słowem z jego ust wylatywały małe obłoki dymu.

- Wie pan co, panie kumisarz? Wie pan, jak najrychlej można złapać jakieguś

bandyty we Lwowi?

- Nie pytaj pan, ale mów!

- Idzi si za panym krok w krok, a pan duprowadzi do bandyty. Ja tak zrobił. I złapał bandyty, skurwysyna Małeckiego.

- Nasza umowa - sapnął ze złością Popielski - była nieco inna. Pan go łapie? Dobrze. Ale potem pan mi go oddaje! A w tym punkcie umowy pan nie dotrzymał! I jeszcze dał mi po łbie! Dobrze, żeś mnie nie zabił, Kiczałes!

- Jeszczy raz prószy przebaczenia. - Herszt podziemia pochylił głowę. - Umowa była, rychtyk. Ali pan odchodzi z policji. Wszystkie gazety o tym pisały, a potem pisały, że pan zostaji. Ja sam ni wiedział, co o tym myśleć, panie kumisarz. No bo jeśli pan odejdzi, to nici z naszej umowy. Kto mi dotrzyma pańskiegu słowa jak ni pan?

- To czemu mi pan nie powiedział o swoich wątpliwościach podczas naszej rozmowy w pańskiej willi w Winnikach?! - wrzasnął wściekły Popielski.

- Ktoś z policji mi dał więcyj niż pan - odparł wolno Kiczałes. - Ktoś dał mi dwa lata wolnegu. Dwa lata spokoju. A pan tylku rok. A ten ktoś na pewno ni odejdzi z policji. Ali ja jestem człowiek honoru…

- Milcz, Kiczałes! Ty jesteś zwykły rzezimieszek i czekasz, aż ktoś ci da więcej… Taki jesteś kupiec? Wszystko wystawiasz na aukcję? Ciekawym, czy swoją kochankę też kiedyś zlicytujesz.

Popielski zerwał się z łóżka na równe nogi. I wtedy poczuł się tak, jakby jego głowa dostała się w imadło. Nacisk był tak duży, że przed oczami zaczęły mu fruwać jakieś pomarańczowe płaty, postrzępione na brzegach. Usiadł na łóżku. Otworzył usta i wyrzucił z nich „Milcz, parchaczu!”, po czym opadł na poduszkę i zamknął oczy.

Kiczałes rozejrzał się nerwowo po pokoju. Dostrzegł sole trzeźwiące na nocnym stoliku. Otworzył je, potrząsnął głową ze wstrętem i podsunął pod nos Popielskiemu. Ten szarpnął się gwałtownie i otworzył oczy. Kiczałes wyjął chusteczkę pachnącą perfumami, otarł mu nią głowę z potu i długo patrzył na niego z zatroskaniem. Potem usiadł na łóżku i mocno chwycił dłoń chorego.

- Nazwał mnie pan kiedyś gubernatorym, panie kumisarz - mówił dobitnie. - A oto gubernator si kłania. To znak. Mów pan, czegu panu trzeba! Trzy pański życzenia to dla mni rozkaz. Może mni pan uważać za gudłaja, nędznegu mechidrysa, za byli kogu. Rozumim to. Ali niech pan pamięta. Trzy życzenia spełniam. Jak złota rybka z bajki. Wie pan, gdzi ja urzęduji. W Winnikach. Życzy zdrowia i du widzenia!

Kiczałes wbrew woli Popielskiego uścisnął mu dłoń i wyszedł z pokoju. Pożegnał się bardzo uprzejmie z paniami, a nawet podrzucił do góry Jerzyka. Chłopiec już się nie bał Kiczałesa.

Po chwili herszt podziemia zawrócił, wszedł do sypialni i uśmiechnął się pod swoim cienkim wąsikiem amanta.

- A ta mała, którą pan widział ze mnu w Winnikach, może być tyż dla pana. W każdyj chwili. Dudatkowu. Oprócz trzech życzyń.

***

O ósmej rano Popielski stał na swoim balkonie przy Kraszewskiego i spoglądał na Ogród Jezuicki. Od czasu nieudanej obławy na Małeckiego towarzyszyły mu nieustannie monomania, frustracja i bezsenność. Zdawał się nie zauważać pełni wiosny, która zamieniała Lwów w jeden wielki kwitnący ogród. U Jezuitów bielały kasztany, a po alejkach snuły się zakochane studenckie pary. Popołudniami ludzie tłoczyli się tam wokół restauracji w stylu zakopiańskiej secesji, gdzie serwowano kawę mrożoną, lody i orzeźwiający kwas chlebowy. W parku Stryjskim dzieci kąpały się w stawie, doprowadzając prawie do apopleksji starego ogrodnika parkowego, który nadaremnie je ścigał po alejkach, chcąc zabronić tej rozrywki. Na terenie Targów Wschodnich sportowcy z Sokoła urządzali biegi na wytrzymałość. Na Wysokim Zamku gimnazjaliści wagarowali, palili papierosy i spotykali się ukradkiem w krzakach z kobietami złego prowadzenia, które przychodziły tu z niedalekiego Starego Rynku. Nikt już nie wspominał morderstwa Henia Pytki. Ludzie dyskutowali o polityce i o Hitlerze. Maturzyści szykowali się już do wyjazdów na obozy przysposobienia wojskowego na Huculszczyznę. Po pamiętnym pogrzebie Henia Pytki, na którym nieszczęsnego malca żegnały setki lwowian, miasto powoli zapominało o całej sprawie. Być może mało kto zauważy dziś krótką notkę w „Słowie Polskim”, która informowała o dalszych losach Anatola Małeckiego, podejrzanego o zabójstwo.

Edward Popielski należał do niewielu, którzy zwrócili na tę notkę baczną uwagę. Utrapiony bezsennością, udał się dwie godziny wcześniej do salonu. Po drodze zauważył leżące w przedpokoju „Słowo Polskie”, które gazeciarz, jak codziennie rano, wrzucił do mieszkania przez otwór na listy. Popielski usiadł w fotelu pod stojącym zegarem, otworzył gazetę i sięgnął do barku po karafkę z wódką, którą uważał za nader skuteczne lekarstwo na insomnię. Nalał sobie pół szklanki i zaczął przeglądać gazetę. I wtedy przeczytał tę notkę.

Wstał gwałtownie i szybkim krokiem ruszył na balkon, aby zaczerpnąć tchu. Już wiedział, że nie zaśnie, choćby wypił wiadro wódki.

Spojrzał przez fioletowe binokle na słoneczny poranek. Nie myśleć o Heniu! Tylko nie myśleć o Heniu! Starał się na siłę analizować sprawy, które prowadził teraz, po powrocie do pracy po kilku dniach rekonwalescencji. Udało mu się połowicznie. Nie myślał - ku swej radości - o zakłutym chłopcu, nie analizował bieżących spraw, lecz niedawne losy swojego kapelusza i stan świeżej rany. Nosił pod kapeluszem opatrunek - kawałek gazy przylepiony plastrami do głowy. Był on przyczyną irytujących dolegliwości. Pot, wydzielany obficie pod wpływem silnego słońca, żłobił pod kapeluszem łysinę i dostawał się pod opatrunek, wywołując wściekłe swędzenie gojącej się rany. Komisarz już drugiego dnia pracy postanowił skończyć z tym dokuczliwym uczuciem. Odrzucił precz kapelusz, oderwał opatrunek i chodził po mieście z gołą głową, przyprawiając wszystkich o szok. Spowodowany on był, po pierwsze, zerwaniem z uświęconym zwyczajem, iż mężczyzna nie opuszcza domu bez nakrycia głowy, po drugie zaś - ostentacją, z jaką Popielski obnosił swoją siną, częściowo zastrupioną i nabiegłą krwią ranę. Nie przejmował się ukradkowymi spojrzeniami, głupimi docinkami i reakcjami obrzydzenia. Poza wygodą, jaką odczuwał, jego rana na głowie miała znaczenie symboliczne i - jak

sam siebie przekonywał - propagandowe. Mówiła ona wszystkim: „Jestem raną, którą komisarz odniósł, kiedy złapał Anatola Małeckiego!”. Informowała ona expressis verbis: „To Popielski, nikt inny, ale właśnie on, ujął mordercę Henia Pytki! Jestem widomym znakiem, niepodważalnym, bolesnym dowodem na to, że jakiś podlec odebrał komisarzowi ten splendor!”. Popielski traktował ją również jako argument dochodzeniowy w wyimaginowanym przesłuchaniu, któremu poddawał wszystkich swoich kolegów i zwierzchników. Pochylał się nad nimi, pchał im w oczy swoją ranę i patrzył uważnie na ich reakcje. Mówił wtedy w myślach: „No który z was, skurwysyny, tak mnie załatwił rękami tego cwajnosa? Który pozbawił mnie łupu, jakim był Małecki? Który z was obiecał Kiczałesowi dwa lata abolicji?” W oczach żadnego z nich nie dostrzegał ani wahania, ani skruchy, ani śladu przyznania się do winy. Metoda epatowania raną okazała się nieskuteczna, podobnie jak uparte przesłuchiwanie Walerego Pytki. Stary stolarz uległ podobnemu losowi jak on sam, a w jego pamięci ziała podobna jak u komisarza czarna dziura - pomiędzy chwilą, gdy jakiś zamaskowany napastnik wyrżnął go również prętem przez łeb, a momentem przebudzenia w furgonie pogotowia ratunkowego.

Nic zatem dziwnego, że Popielski wściekle rzucał się po swoim służbowym gabinecie i przeklinał wszystkich lwowskich policjantów, a najbardziej Mariana Zubika. On był bowiem ewidentnym podejrzanym o wykorzystanie pomysłu na współpracę z bandyckim podziemiem. Kto oprócz niego poznał zaskakującą ideę, iż ściganie mordercy dziecka musi się odbyć w ścisłej kooperacji z przywódcami podziemnego świata? Kto oprócz Zubika poznał ten właśnie warunek rezygnacji Popielskiego ze swej przedwczesnej dymisji? Kto prowadził ze swoim podwładnym konfidencjonalną rozmowę na ten temat za kiblem Szkockiej? To, że komisarz nie wyszeptał wówczas nazwiska Kiczałesa jako swojego przyszłego współpracownika, nic nie znaczyło. We lwowskim półświatku od lat królowali jedynie bracia Żelaźni i Kiczałes, lecz ten drugi ostatnio zdobywał coraz większe wpływy, zwłaszcza w nierządzie i w przemytniczym procederze. Wybór Żyda na współpracownika był niejako naturalnym posunięciem.

Popielski jeszcze raz rozłożył „Słowo Polskie” i zagłębił się w lekturze notki, która go tak bardzo dziś wzburzyła.

A oto najnowsze wieści w sprawie Anatola Małeckiego. Dobrze poinformowana osoba z biura wiceprokuratora, doktora Juliusza Prachtela-Morawińskiego, wyznała, że dowody przeciwko Anatolowi Małeckiemu mają charakter czysto poszlakowy. To współgra z wypowiedzią sekretarza obrońcy oskarżonego. Przekazał on prasie tę oto wiadomość, iż adwokat, mec. Izydor Pordes - w razie gdyby sąd zdawał się przekonanym przez poszlaki - zamierza wystąpić z argumentem, iż podejrzany był niepoczytalny w chwili morderstwa. Ta nietrudna do udowodnienia okoliczność oznaczałaby dożywotni zakład psychiatryczny, nie zaś szubienicę dla domniemanego zbrodniarza Choć teraz wszystko w rękach sędziego, prezesa Sądu Okręgowego pana Włodzimierza Haninczaka, to i tak wiele wskazuje na to, iż Anatol Małecki uniknie najwyższej kary, którą większość obywateli uważa za najodpowiedniejszą za tę nieporównanie ohydną zbrodnię.

Popatrzył na kasztany w parku. Za pięć bezsennych godzin będzie musiał wstać, aby udać się do pracy. Już nie zaśnie tej nocy. No i co z tego? Nie mógł nie myśleć o pociętym nożem Heniu Pytce! Nie mógł nie roić wymyślnych tortur, jakim poddałby Małeckiego, który obcował ze zwiniętą w rulon skórą słoniny, a pod swoim łóżkiem trzymał połamane lalki z dorobionymi nieudolnie genitaliami. W akcie desperacji Popielski postanowił zażyć

na ostatnią część swojej przedpołudniowej nocy proszki nasenne, których zawsze pod dostatkiem miała Leokadia.

Wszedł do salonu, zamknął balkon, a potem udał się do łazienki. Wyjął z szafki blaszane pudełko z napisem „Morfeusz”, rozdarł pergaminową torebkę, a jej zawartość wsypał do szklanki wody. Wypił jednym potężnym haustem - jakby to była wódka, której wcześniej nie zdążył nawet skosztować. Wtedy usłyszał jakiś hałas na balkonie -jakby wpadł tam kamień albo wylądował wielki ptak.

Dotarcie na balkon zajęło mu zaledwie kilka sekund. Na posadzce leżało kartonowe pudło. Wiedziony policyjnym instynktem, najpierw zainteresował się sprawcą, nie zaś zawartością pakunku. Oparł ręce o balustradę i rozglądał się wokół. Nikogo podejrzanego nie dostrzegł. Jacyś studenci stali na skraju parku i rozmawiali, gestykulując nieco teatralnie. Sprzedawca precli przy krawężniku zachwalał swój towar. Jakieś dziecko krzyczało w wózku i nie dało się ukołysać coraz bardziej zdenerwowanej bonie. Popielski odsunął się jak najdalej mógł od pudła i położył się na brzuchu. Sięgnął ręką po karton i uchylił jego wieko. Na szczęście nie dojrzał żadnych drutów. A zatem nie była to bomba. Uniósł głowę nieco wyżej, a potem usiadł na balkonie po turecku i całkiem otworzył pudło. Spoczywało w nim jego stare, lecz porządne i sumiennie odprasowane ubranie, w które niegdyś ubrał pijanego Walerego Pytkę. A pod odzieniem był kawałek lnianego płótna, którym owinięte były buty. Odczyszczone, wypucowane trzewiki z pierwszorzędnego salonu Derby, sięgające ponad kostkę. Jak najbardziej odpowiednie na piesze wędrówki. Albo na pielgrzymkę do Częstochowy, którą Walery Pytka ślubował, lecz ślubu nie dotrzyma, ponieważ gad nie zostanie zabity. Będzie siedział w cieple, walił konia, korzystał z wiktu i opierunku, a któregoś dnia dostanie nową przepustkę i uda się na jakieś inne podwórko wypełnione wesołymi okrzykami dzieci. Popielski wiedział, że jego bezsenności nie pokonają nawet proszki kuzynki Leokadii. Znał inne na nią remedium. Była nim jedna decyzja, a właściwie - jedna rozmowa telefoniczna.

Po chwili stał przy aparacie i mówił do telefonistki zdartym przez nikotynę głosem:

- Poproszę uprzejmie Winniki. Numer 23.

***

Anatol Małecki westchnął i obudził się z płytkiego snu pełnego osobliwych obrazów. Dźwięk, który z siebie wydał, był jękiem ni to przestrachu, ni to rozkoszy. Lęk brał się stąd, iż śniła mu się jakaś potężna, ciemna i groźna postać, która stała nad jego łóżkiem i pochylała się nad nim. Kiedy jednak owa postać zrzuciła z siebie płaszcz, okazała się nagą, młodziutką dziewczyną. Małecki aż jęknął z zadowolenia. Wtedy z gardła wyrwał mu się ów dwoisty jęk i natychmiast się obudził. Wokół niego chrapali inni pacjenci. Z korytarza dochodził nikły blask lampki świecącej w dyżurce pielęgniarek. O szybę wysokiego okna biły targane wiatrem gałęzie drzewa.

Poruszył się na łóżku i poczuł ogromne podniecenie płciowe, wyzwolone przez sen. Wsunął rękę pod kołdrę i poczuł, że ślina napływa mu do ust. Wtedy się rozjaśniło w sali szpitalnej. Mężczyzna westchnął i wysunął rękę z widocznym rozczarowaniem. Poblask światła nadal się rozszerzał i w końcu doszedł do jego łóżka. Po chwili w drzwiach pojawił się duży cień. Rósł coraz bardziej, podobnie jak postać pielęgniarza, który zbliżał

się do niego bardzo cicho.

- Ktoś myśli o tobi, Małecki, i coś ci przesyła - szepnął pielęgniarz i poruszył biodrami, imitując ruchy frykcyjne. - Coś, co bardzo lubisz!

- Nu ta dawaj pan, panie Mucha! - Małecki przełknął ślinę. - Nu dawaj pan!

- Cicho, ty frajerska makitra - syknął pielęgniarz. - Chcesz, żeby zapach szponderka innych durnowatych obudził? Chodź do kibla! Sztajguj, sztajguj! Tam dostanisz!

Małecki zgarbił się, chcąc ukryć przed strażnikiem swoje podniecenie, i ruszył w ślad za nim. Korytarz był pusty. Lampa oświetlała dyżurkę i śpiącą pielęgniarkę. Przed wejściem do toalety Małecki zatrzymał się. Mucha stanął z tyłu.

- Nu dalij! - mruknął Mucha. - W drugi kabini.

Małecki nie posłuchał. Jego nozdrza rozszerzyły się, wyłapując najlżejsze nawet wonie: potu pielęgniarza Muchy i jego pomady do włosów, smród moczu z pisuarów, zapach chloru i lizolu. Do tego doszła delikatna woń wykwintnych męskich perfum, która nieco go zaniepokoiła. Skądś ją znał.

To wszystko, co wyczuł. Nawet najlżejszego zapachu wędzonej słoniny. Wtedy opadła cała jego płciowa ekscytacja. Spojrzał na Muchę z wyrzutem. Ten się uśmiechnął, znów odegrał pantomimę z ruchami frykcyjnymi i popchnął Małeckiego lekko w stronę otwartych drzwi.

Wtedy pacjent poczuł, że ktoś go łapie za piżamę i wciąga do środka toalety. Był tak zaskoczony, że nie miał czasu zareagować ani nawet rozejrzeć się, aby ujrzeć napastnika w ciemnym, zimnym i śmierdzącym pomieszczeniu. Ktoś podciął mu nogi, a ktoś inny przygniótł do posadzki. Wzmogła się woń wykwintnych męskich perfum. Ręce Małeckiego znalazły się w żelaznych kleszczach. Zazgrzytał w nich kluczyk. Pacjent poczuł woń garbowanej skóry. Po jego grdyce przesunęła się z brzękiem klamra od paska, a potem coś zacisnęło się na jego szyi. Ucisk się wzmagał. Pacjent dławił się. Ktoś usiadł mu na plecach i ciągnął ku sobie jego głowę, zaciskając skórzaną pętlę.

Zapach perfum się oddalił, silna stała się natomiast woń wódki i cebuli.

- To za mujegu wnuka! - usłyszał.

Potem Małecki czuł już tylko wilgoć na swoich udach i pośladkach.

- Ali si zesrał, gad!

- Żył w gównie, to i w gównie umarł - usłyszał niski, zachrypnięty głos spod okna.

To było requiem dla Anatola Małeckiego.

***

Edward Popielski uwielbiał matematyczne porównania, gdyż był święcie przekonany, iż wszystko da się opisać z użyciem matematycznego instrumentarium. Sądził, że ludzkie życie można przedstawić jako funkcję, której argumenty byłyby jednostkami czasu, zaś wartości miałyby jakiś charakter jakościowy. On sam od kilku dobrych lat rysował wykres swojego życia jako takiej funkcji, której wartości są ujęte jako

przyjemności w przedziale od minus jednego do jednego. Po kilku latach skrupulatnego wykreślania pewnej krzywej jako wykresu funkcji zauważył, że można by jego życie w dużym przybliżeniu uznać za funkcję okresową z dużymi wartościami na granicy okresów. Nadaremno objaśniał kiedyś swoje odkrycie Leokadii, a kiedy ta mimo wielu prób nic nie rozumiała z jego wywodów, rzekł krótko: „Moja droga Lodziu, to jest tak, że kiedy dostrzegam, iż kończy się jakiś okres w moim życiu, wtedy oddaję się dużym przyjemnościom i uciechom. W ten sposób na końcu danego okresu przyjemności są największe i wszystko powtarza się od początku”.

Do najwyższych hedonistycznych wartości Popielski zaliczał oczywiście - jak większość ludzi - obcowanie płciowe oraz oddawanie się pijaństwu i obżarstwu. Były to - wedle jego klasyfikacji - przyjemności skutkujące wyrzutami sumienia, czyli synejdetyczne. Ponadto miały one właściwość kulminacji - narastały, aż osiągały swój szczyt. Po obcowaniu stawał się smutny i apatyczny, zgodnie z Arystotelesowym rozpoznaniem, iż po akcie płciowym każde zwierzę staje się smutne. Po alkoholowych i kulinarnych ekscesach wydawało mu się, iż niszczy swój organizm toksynami i doprowadza go do ruiny. Walcząc ze zgubnymi w swoim mniemaniu skutkami przyjemności synejdetycznych, stosował swoiste odtrutki: wstrzemięźliwość erotyczną, dietę i abstynencję.

O wiele bezpieczniejsze były według niego przyjemności asynejdetyczne, czyli takie, po których nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia i które nie miały charakteru kulminacyjnego. Do tychże przyjemności zaliczał Popielski wysiłek fizyczny i epilepsję. W trakcie biegania lub w czasie wywoływanego przez siebie ataku epileptycznego nie odczuwał oczywiście żadnej przyjemności, ale ex post nadchodziło spokojne wytchnienie, całkowite odprężenie, głęboka satysfakcja. Ponadto - o czym Popielski prawie nikomu nie mówił - w czasie ataków epileptycznych nachodziły go osobliwe wizje senne. Owe sny składały się zawsze z dwóch sekwencyj, z których pierwsza dość sztucznie przechodziła w drugą. Na przykład przyśnił mu się kiedyś spacer z małą Ritą po jakimś parku. Nagle jego córka mu uciekła i schowała się wśród krzewów (sekwencja pierwsza). Kiedy wpadł w owe krzaki, okazało się, iż nie jest w parku, lecz na pustyni, a jego córka bawi się piaskiem (sekwencja druga). Zawsze pomiędzy sekwencją pierwszą a drugą były jakieś drzwi, jakaś granica, jakieś przejście. Później przeżywał te sny na jawie, lecz sekwencja druga rzeczywista znacznie różniła się od swojego wyśnionego odpowiednika. Przeżył na przykład na jawie spacer z małą Ritą, która rzeczywiście umknęła mu w krzaki. Kiedy tam wpadł, to oczywiście nie było żadnej pustyni, lecz zagajnik, a Rita nie bawiła się piaskiem, lecz łamała suche patyki.

Takie sny epileptyczne Popielski uważał za sny prorocze i kiedyś nawet kilka z nich wykorzystał w swojej pracy śledczej. A zatem ten stan łączył przyjemne z pożytecznym. Nic zatem dziwnego, że epileptyczna przyjemność asynejdetyczna była często przez niego stosowana i sztucznie wywoływana silnym strumieniem światła, który przerywał, machając ręką przed oczami.

Tak postąpił i teraz. Był sam w domu, służąca miała wychodne, a Leokadia grała w bridża u asesorostwa Stańczaków. Położył się do wanny, nastawił ostre światło lampy biurkowej. Biło ono mu w oczy równomiernie, dopóki pomiędzy lampę a swoją twarz nie włożył dłoni z rozczapierzonymi palcami i nie zaczął nią poruszać - jakby się wachlował.

Wtedy ujrzał przed oczami czarne plamki, które zaczęły się ze sobą łączyć i po chwili utworzyły gęsto utkane tło. Teraz czerń zwyciężała i niknęły jedna po drugiej plamki światła. Do tego doszedł charakterystyczny dźwięk - jakby szum wiatru. Popielskiemu zadygotały gałki oczne, zamrugały powieki, a głowa zaczęła lekko uderzać po rozłożonej na oparciu wanny poduszce kąpielowej.

Leżał na plecach na jakimś ruchomym pojeździe i patrzył w górę. Przesuwały się nad nim czarne od sadzy sklepienia podparte kolumnami. Potem pojawiło się więcej światła i w końcu wjechał w jasność. Usiadł, sięgnął po przeciwsłoneczne binokle, ale ich nie znalazł. Był na rozświetlonym słońcem fabrycznym podwórku. Ze wszystkich stron otaczały go ceglane ściany. Na środku stały beczki. Z wnętrza jednej z nich dochodził łomot. Podszedł bliżej. Ze środka słychać było głośne dziecinne łkanie. Obejrzał się i zobaczył kilof leżący na ziemi. Podważył wieko i odrzucił je pod ścianę. Zajrzał do wnętrza beczki. Była ona jakby wypełniona ciemnym kleistym olejem. Z tego oleju wyłoniły się najpierw długie palce, potem szczupłe nadgarstki, a na koniec głowa. Leokadia Tchorznicka uśmiechała się do niego. Jej włosy były kompletnie siwe, a twarz marszczyła się w niezliczonych fałdach. Rozwarła szerzej usta, ukazując żółte zęby. Było ich dużo, bardzo dużo. Za jedną palisadą zębów wyrastała następna. Rosły na podniebieniu i sięgały aż po gardło. Usta Leokadii były jednym wielkim uzębieniem.

Popielski ocknął się. Pierwszą jego myślą było to, iż musi zmienić swoją klasyfikację przyjemności. Kontrolowane ataki epilepsji już do nich nie należały, a wartość przyjemności jako wartość funkcji w jego wykresie była tego dnia minusowa.

***

Niedzielne i świąteczne poranki Popielski na ogół spędzał do południa w swoim łóżku. Budził się jednak o wiele wcześniej niż w dni powszednie, choć kładł się spać - niezależnie od dnia tygodnia - około czwartej nad ranem. Jego niedzielne pobudki po zaledwie trzygodzinnym śnie były spowodowane przyzwyczajeniem związanym z dawną poranną aktywnością małej Rity. Jego córka mniej więcej od trzeciego do szóstego roku życia była w dni powszednie pod opieką częściowo kuzynki Leokadii, a częściowo służącej Hanny Półtoranos. Natomiast w niedziele i w święta Edward dawał obu niewiastom trochę wytchnienia i sam zajmował się córką. Toteż mała Rita natychmiast po przebudzeniu w niedzielne poranki - zwykle było to około siódmej - odrzucała precz swoją piękną lalkę Hucułeczkę, po czym głośno i zdecydowanie wyrażała chęć kontaktu z ojcem. Edward budził się i prawie nieprzytomny z niewyspania wyciągał dziecko z łóżeczka i niósł je do swojego łoża. Tam usiłował uśpić małą kołysanką „bałam-bałam”, ale nie dawało to rezultatu i bawiło do rozpuku zupełnie już rozbudzone dziecko. Kiedy próbował sam zasnąć, mała Rita skutecznie mu to uniemożliwiała. Kiedy ojcu opadały powieki, wtedy córka podnosiła je swoimi paluszkami, żądając czuwania i zabawy. Edward cierpliwie znosił fanaberie małej, choć czasem wiele by oddał, aby móc choć chwilę pospać - zwłaszcza po jakiejś ciężkiej nocy, kiedy jego ciało mocno było nadwerężone alkoholem, rozpustą, a najczęściej - i jednym, i drugim równocześnie.

Kiedy Rita poszła do szkoły, nie zrezygnowała z rytuału niedzielnych poranków w łóżku taty, choć wówczas nie żądała już dokazywania, pocałunków i zapasów, lecz

czytania książeczek. I wówczas ojciec czytał jej po sto razy Calineczkę, Gucia zaczarowanego oraz najbardziej ukochaną Kocią mamę i jej przygody Buyno-Arctowej. Rita potrafiła z pamięci cytować ogromne passusy tych bajek, w czym Leokadia widziała zapowiedź przyszłego talentu, odziedziczonego po przedwcześnie zmarłej matce, znanej lwowskiej aktorce Stefanii Gorgowicz-Popielskiej.

Temu obyczajowi wspólnego wylegiwania się Rita położyła kres jesienią 1930 roku, kiedy ukończyła lat dziesięć. Jej ojciec odetchnął wówczas z pewną ulgą i postanowił odespać te wszystkie zarwane przez wiele lat niedzielne poranki. A wtedy się okazało - ku jego zdziwieniu i irytacji - że nie jest to możliwe. Przez dziesięć lat uaktywnił się bowiem w jego psychice jakiś mechanizm czujności, jakiś wewnętrzny budzik, który działał tylko w niedziele i święta i rozdzwaniał się w jego głowie zawsze koło siódmej rano wbrew potrzebom umęczonego organizmu, który dopiero od trzech godzin korzystał z łaski snu. Jego niedzielnych bezsenności nie umilała mu już obecność ukochanej córki. Tłukł się zatem po łóżku do południa, a łacińskie wiersze, gazety i szachowe kombinacje nudziły go śmiertelnie. Od pewnego czasu nudę tych porannych godzin zabijał spacerami - uzbrojony niekiedy przeciwko szczególnie intensywnemu światłu słonecznemu w grube spawalnicze okulary, przez które mało co widział.

Dzisiejszego niedzielnego przedpołudnia nie narzekał jednak na swój budzik wewnętrzny, a wręcz bardzo chwalił jego niezawodność. Wstał o siódmej rano, ubrał się w kawowy garnitur, na którym - dzięki wybitnym specjalistom z Pralni Europejskiej i dzięki mistrzowi krawieckiemu, panu Lipmanowi - nie było widocznych zniszczeń po walce w norze Małeckiego. Pod szyją zawiązał nie krawat, lecz ciemnobrązową muchę w kremowe romby. Tę ozdobę nosił rzadko, tylko przy wyjątkowych okazjach. Ale dzisiaj był właśnie wyjątkowy dzień.

Pod księgarnią Gubrynowicza zaszedł mu drogę gazeciarz wymachujący płachtą bulwarówki „Wiek Nowy”. Popielski odpędził go szybkim gestem dłoni opiętej jasnobeżową zamszową rękawiczką.

- Przedwczoraj potwór popełnił samobójstwo! - darł się gazeciarz i wciąż zaglądał Popielskiemu w oczy, niezrażony jego gestem. - Monstrum powiesiło się w szpitalu psychiatrycznym!

Komisarz rzucił chłopakowi kilka groszy, wziął od niego gazetę i schował ją do kieszeni marynarki. Wiedział, czemu poświęcone są tej niedzieli całe szpalty „Wieku Nowego”. Wchodząc do katedry łacińskiej, słyszał jeszcze za sobą okrzyki gazeciarza.

- Dzisiaj msza dziękczynna, zamówiona przez rodzinę Henia Pytki! Katedra łacińska, godzina ósma rano!

Popielski rozejrzał się wokół. Kościół był wypełniony ludźmi tak ciasno, że nie można się było koło nich przecisnąć. Jednak pojawienie się osoby komisarza i widok jego górującej nad tłumem łysej, obandażowanej głowy natychmiast rozproszyły ludzi koło niego. Popielski zauważył, iż otaczający go tłum staje się coraz rzadszy, a on sam ma sporo miejsca wokół siebie. Ludzie szeptali i z daleka pokazywali go palcami.

Poczuł niepokój tak ostry, że doznał zawrotu głowy. Zostałem zdemaskowany, pomyślał. Oparł się ręką o mur. Wtedy z ławki wyszedł jakiś zażywny mężczyzna w średnim wieku i dotknął rękawa Popielskiego.

- Zrobiło się panu słabo, panie komisarzu? - zapytał szeptem spod małego wąsika. - To pewnie od rany na głowie, którą pan odniósł w walce z mordercą… Proszę, niech pan usiądzie na moim miejscu…

Popielski podziękował i usiadł obok małżonki i córki owego uprzejmego pana. Niepokój i zawroty głowy ustąpiły. Walnęły organy i buchnął śpiew „Kiedy ranne wstają zorze”. Msza się rozpoczęła.

Popielski zachowywał się tak jak inni - śpiewał, powtarzał łacińskie sekwencje, klękał i modlił się. Czynił to jednak zupełnie machinalnie. Niewiele do niego docierało. Nie potrafiłby powtórzyć ani słowa z kazania, które zostało wygłoszone z ogromną siłą wyrazu. W głowie czuł szum. Myślał o minionych niedzielnych porankach z Ritą, o jej kręconych, brązowych włosach, ojej radosnych wybuchach śmiechu i ojej ciepłych, nieco spoconych dłoniach, które klaskały o jego łysą głowę, tak jak niekiedy teraz klaskają rączki jego wnuka. Przypomniał sobie, jak kiedyś jego roczna córeczka zacisnęła swe drobne zęby na ojcowskim uchu.

Cisza, która nagle zapadła, przywróciła go do rzeczywistości. Środkiem katedry, pomiędzy dwoma rzędami ław szedł starszy mężczyzna ubrany w szary płaszcz - szorstki jak pokutny wór. W pasie związany był grubym sznurem, a w dłoniach dzierżył sękaty kostur. Na jego barkach spoczywał duży plecak. Stopy Walerego Pytki obute były w trzewiki z salonu Derby.

Stary stolarz podszedł do Popielskiego i nagłym ruchem chwycił go za rękę. Komisarz nie zdążył zaoponować, kiedy stary na oczach całego kościoła przycisnął usta do jego dłoni. Walery Pytka płakał, a jego łzy lały się po dłoni Popielskiego. Tryskały z oczu starego - tak jak przedwczoraj tryskały z oczu mordercy. Kiedy Małecki wyzionął ducha, z jego wybałuszonych oczu trysnęły łzy - znak bezsilnego żalu, niepotrzebnej rozpaczy, spóźnionej prośby o wybaczenie.

- Płacz, gadu - wysapał wtedy Walery. - Płacz nad moim wnukiem!

- Czegu pan kumisarz taki naburmuszony? - zapytał go stary kwadrans później, kiedy wychodzili z kulparkowskiego szpitala przez piwnicę i zamykali wszystkie okna i drzwi pootwierane wcześniej przez strażnika.

- Coś za łatwo mi przychodzi zabijanie ludzi - odpowiedział wtedy.

Teraz w katedrze łacińskiej myślał o tej swojej odpowiedzi, o łzach starego, o wybałuszonych i mokrych ślepiach bestii, o niedzielnych porankach z ukochanym dzieckiem, które stały się bezpowrotną i piękną przeszłością.

Wyrwał rękę Pytce i cofnął się szybko w głąb ławki, omal nie miażdżąc pani, która obok niego siedziała. Pątnik przeżegnał się i ruszył do wyjścia. Cały kościół tłoczył się za nim. Po chwili Popielski był jednym z nielicznych wiernych obecnych w świątyni.

Po kilku minutach wyszedł na plac przed katedrą łacińską. Długo patrzył na portrety Asnyka, Kraszewskiego i Mickiewicza, widoczne nad witryną księgarni Gubrynowicza, jakby w oczach pisarzy szukał zrozumienia. Nie znalazł go i opuścił wzrok. Wtedy poczuł obok siebie woń kobiecych perfum i wesoły okrzyk jakiegoś dziecka. Ocknął się i ujrzał Ritę z Jerzykiem w głębokim wiklinowym wózku.

Obydwoje byli tak piękni, że przyciągali wzrok wszystkich ludzi, którzy jeszcze wcale tłumnie stali pod katedrą. Jego córka ubrana była w wiśniowy płaszczyk i kapelusik takiegoż koloru. Wyłogi płaszcza i rondo kapelusza uszyte były z czarnego aksamitu. Jerzyk miał na sobie wełniane śpiochy, zielony płaszczyk szyty na miarę i wielobarwny malarski beret. Wyciągał ręce do dziadka i piszczał, rzucając się po całym wózku.

- Dzień dobry, tatusiu. Byłam w domu, ale ciotka powiedziała mi, że tutaj tatuś jest. Czy przekazała moją wczorajszą telefoniczną prośbę do tatusia?

Rita uśmiechała się smutno, a jej duże oczy były podsiniałe.

- Nie. - Popielski chwycił Jerzyka pod pachy i uniósł go wysoko. - Nic mi nie mówiła, ale ja wróciłem, jak zwykle, nad ranem, a ciocia wtedy spała. O co chodzi, kochanie?

- Wybieram się dzisiaj do doktora Dorna. Wrócę dopiero wieczorem. Czy tatuś mógłby pójść z Żuczkiem o czwartej na kinderbal do Jańci Markowskiej? Ja odebrałabym go wieczorem… Mogę o to prosić tatusia?

W innych okolicznościach Popielski zirytowałby się tą prośbą. Uważał doktora Dorna, psychologa uzdrawiającego metodami hipnotycznymi, za hochsztaplera, a jego sławę za skutek nachalnej autoreklamy. W innych okolicznościach może nawet odmówiłby Ricie. Ale dzisiaj nie chciał narażać córki, która niedawno przeżyła wielce smutne chwile, na kolejne rozczarowania, a ponadto każda minuta z Jerzykiem była mu bardzo droga.

Popielski podrzucił chłopczyka, a potem posadził go na barana. Mały rozglądał się wokół triumfalnym wzrokiem. Komisarz przypomniał sobie w mgnieniu oka roześmianą twarzyczkę małej Rity i zawzięty wyraz jej twarzy, gdy otwierała mu na siłę oczy. Teraz to miało wrócić, a zamiast Rity miał bawić się z nim jego ukochany wnuk. I nikt już temu nie przeszkodzi! A zwłaszcza zboczeniec, który rąbie kapucyna rulonem słoniny i rozdziera nożem ciałka małych dzieci!

- Jerzyk jest już bezpieczny w tym mieście. - Uśmiechnął się do córki.

- Nie rozumiem - zasępiła się Rita. - Groziło mu coś złego?

- Chciałem powiedzieć, że Jerzyk jest u mnie bezpieczny. - Popielski podrzucił chłopczyka. - Może być w każdą niedzielę, a nawet nocować!

Ludzie pod katedrą patrzyli na tę scenę, lecz zaraz podążyli wzrokiem w górę ulicy Rutowskiego, gdzie na wysokości kościoła Jezuitów niknęła postać starego pielgrzyma. Wyjątkiem był pewien mężczyzna w meloniku, który najpierw coś notował, a potem już nie spuszczał oczu ze szczęśliwego dziadka.

***

Popielski był w wyśmienitym humorze. Kierował autem i pogwizdywał wesoło, a Jerzyk, przywiązany do siedzenia pasażerskiego pasem, z uwagą słuchał emitowanej przez dziadka melodii. Humor komisarza był znakomity nie tylko dlatego, że spędzał tę niedzielę wraz z wnukiem. Przede wszystkim cieszył się z nowego mieszkania, które

wypatrzył był niedawno w „Gazecie Mieszkaniowej”, a przed chwilą obejrzał i podpisał z właścicielem, panem Emilem Spennadlem, wstępną umowę wynajmu, pod tym wszakże warunkiem, iż ostateczna umowa zostanie zawarta tylko wtedy, gdy mieszkanie to zaakceptują Rita i Leokadia. O spełnienie tego warunku Popielski był - w odróżnieniu od pana Spennadla - spokojny. To sześciopokojowe komfortowe lokum, położone w nowoczesnym, dwupiętrowym domu przy ulicy Ponińskiego, na pewno spodoba się jego paniom. Owszem - wymagało ono świeżego odmalowania, ale to wszystko nic w porównaniu z jego zaletami - pięknym widokiem na park Stryjski i wybornym sąsiedzkim towarzystwem, składającym się głównie z rodzin profesorów gimnazjalnych. Architektura budynku zapierała dech w piersi miłośnikom nowoczesnych kształtów: balkonów o falistej linii i okrągłych okien podobnych do okrętowych luków. Najważniejsze było dla Popielskiego to, iż ogromne rozmiary mieszkania - sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych - umożliwią wygodne tam bytowanie jego najbliższym i służącej. Jeszcze trzeba tylko podpisać u notariusza dokument wynajmu, a potem może tydzień remontu i Rita będzie się mogła wyprowadzić z pełnej złych wspomnień kamienicy Rohatyna i zamieszkać tutaj wraz z ojcem!

Chevrolet Popielskiego skręcił w lewo i wjechał w ulicę Własna Strzecha, po czym zatrzymał się obok żelaznego parkanu opatrzonego numerem 13, nad którym wznosił się orzeł trzymający w szponach tarczę z napisem „Haec domus domino suo est laetitiae”. Komisarz zamyślił się przez chwilę nad gramatyczną konstrukcją domino - laetitiae. Kiedy już ją zidentyfikował jako kunsztowny podwójny dativus i przetłumaczył dosłownie to zdanie „Ten dom jest swojemu panu ku radości”, wysiadł, odpiął pasek obejmujący siedzenie i poprowadzony pod szelkami Jerzyka, a potem wziął małego na ręce. Rozejrzał się po uliczce położonej pomiędzy zalesionymi i ukwieconymi dzielnicami Zofiówką, Persenkówką i Wulką. Dawno nie był w tym rejonie - ostatni raz przed czterema laty w niedalekiej elektrowni miejskiej, gdzie pewien pijany instalator usmażył się w stacji transformatorowej. Na ulicy Własna Strzecha był w ogóle po raz pierwszy. Stał zatem i przyglądał się z zainteresowaniem kilku domom, z których jednak żaden nie mógł się równać z jego przyszłym mieszkaniem na Ponińskiego. W jego chłodnym przestronnym wnętrzu, myślał, Rita na pewno dojdzie szybko do siebie po niedawnych smutnych przeżyciach.

Ta willa, przed którą teraz stał, należała do inżyniera Wincentego Markowskiego. Otaczający ją ogród wypełniony był gromadami biegających dzieci, zaproszonych tutaj na urodziny trzyletniego Kazia Markowskiego, syna pana domu. Jednym z gości był roczny Jerzyk Popielski, który - jak głosiło oficjalne i dowcipne zaproszenie - „z racji swych jeszcze niedoskonałych umiejętności przemieszczania się upraszany jest o przybycie w zacnym towarzystwie swej Mamy”. Ponieważ mama podlegała teraz hipnotycznym zabiegom doktora Dorna, honory opiekuna Jerzyka pełnił jego dziadek.

Wpuszczony przez służącego na teren posesji wszedł do ogrodu, w którym ustawiono namioty, ławki, wiklinowe fotele i niezliczone huśtawki. Zajęte one były przez panów i panie w jasnych letnich ubraniach. Wszyscy oni trzymali w dłoniach papierosy lub szklaneczki z ponczem i patrzyli z zainteresowaniem na Popielskiego, który rozglądał się wokół nieco zakłopotany. Nie znał tu nikogo oprócz solenizanta i jego matki, młodej żony inżyniera, z którą Rita ostatnio się poznała na dziecińcu w parku Towarzystwa Zabaw Ruchowych. Chciał czym prędzej wytłumaczyć nieobecność swojej córki jej chwilową

niedyspozycją.

Po sekundzie miał już okazję to uczynić. Pani Janina Markowska, zwana przez Ritę „Jańcią”, podeszła do niego wraz z dwojgiem swoich dzieci, trzyletnim Kaziem i pięcioletnią Fredzią.

Dzisiejsze przyjęcie było pomyślane jako tematyczny bal przebierańców. Otóż prawie wszystkie dzieci przebrane były za kwiatki. Kazio Markowski miał na głowie okrągłą czapkę, z której zwisały owalne płatki żółtej bibuły, jego starsza siostra - czerwoną koronę, lekko spryskaną wodą. Popielski pierwsze dziecko uznał za słonecznik, drugie - za mak. Żadnych kwiatków w strojach innych dzieci nie rozpoznał, ponieważ jego znajomość rodzimej flory była nader uboga. Wspólnie z Leokadią ustroili Jerzyka w koronę z drobno pociętej białej bibuły i w zielony krawacik, co miało niby oznaczać, iż jego wnuczek jest konwalią.

- Jaki śliczny kwiatek! - krzyknęła pani Markowska do Jerzyka, a potem wyciągnęła z uśmiechem dłoń do Popielskiego. - Czy pański wnuczek jest niezapominajką, panie komisarzu?

- Niezapomniane to są tylko te chwile, kiedy widzę panią inżynierową. - Ucałował jej dłoń i poczuł od niej zapach alkoholu. - Jerzyk natomiast miał być konwalią. A tak prawdę mówiąc, to najchętniej ubrałbym go tak, aby pani nie rozpoznała, czym de facto jest.

- A to dlaczego? - Markowska uśmiechnęła się.

- Bo wtedy-Popielski spojrzał jej głęboko w dekolt - mógłbym dłużej z panią porozmawiać… Być dłużej blisko niej…

- Pozwolisz Jerzyku, że zabiorę cię na chwilę do innych dzieci? - Kobieta się wyraźnie zarumieniła i wyciągnęła do małego ręce.

- Nie pozwól - powiedział Popielski do wnuka, który jednak wcale dziadka nie posłuchał i chętnie dał się unieść pięknej pani.

- Jak pan widzi, panie komisarzu - Markowska oddalała się z Jerzykiem na ręku - jest on uległy niewiastom…

- I tutaj całkiem wdał się w dziadka - odparł jak najniższym ciepłym tonem, który, jak wiedział, zawsze podoba się kobietom.

Inżynierowa teraz spojrzała na policjanta bez uśmiechu. Nie było to jednak spojrzenie ani pogardliwe, ani odpychające. Było po prostu uważne. I mogło - choć wcale nie musiało - oznaczać coś, co Popielski natychmiast poczuł w swoich spodniach.

Usiadł na huśtawce i nie spuszczał wzroku z pani Markowskiej oddalającej się z Jerzykiem i ze swoimi dziećmi niepewnym krokiem. W imaginacji czuł jej gorący alkoholowy oddech, słyszał jej okrzyki, ocierał się o jej jedwabistą skórę. Uwielbiał szczupłe kobiety o wąskich biodrach i dużych piersiach. Uwielbiał staranny makijaż, buty na wysokim obcasie i pończochy ze szwem na łydce. Uwielbiał perfumy z nutą wanilii, pomalowane na czerwono paznokcie i łaskoczące pawie pióra. A to wszystko miała pani inżynierowa.

Wypił duży łyk ponczu, położył się na huśtawce i spojrzał na kołyszące się nad nim

korony drzew. Uspokojenie nadchodziło powoli. Uświadomił sobie, że uwielbia też święty spokój, a romans z zamężną kobietą był zaprzeczeniem tego upragnionego stanu.

Jako reakcję obronną przed nachodzącym go pożądaniem zastosował prostą zasadę wpojoną mu przed wielu laty przez kolegę gimnazjalnego księdza Józefa Blicharskiego, z którym w „arcyknajpie" Atlas wypili przez wszystkie lata chyba cysternę wódki macicznej. „Powiadasz, Edi, że pragniesz każdej kobiety, jaką widzisz? No to najzwyczajniej w świecie nie patrz na nie! Ja tak robię i mam spokój od Priapa".

Kierując się wskazówką swojego przyjaciela, nie spoglądał zatem na niewiasty. Za to dubeltowo palił papierosy, umiarkowanie pił poncz, cieszył się słońcem i dyskutował o polityce z mężczyznami, głównie z panem domu, z którym się był zapoznał. Z tych zajęć, które skutecznie go chroniły przed strzałami Amora, a może raczej przed zachowaniami priapicznymi, wyrwała go niestety właśnie pani Markowska.

Biegła przez ogród, trzymając Jerzyka pod pachą. Pielucha tkwiąca w kroku małego obsunęła się w dół. Mocno obciążone śpiochy i charakterystyczna woń, wyczuwalna z daleka, uświadomiły Popielskiemu, że jego wnuczek spłacił przed chwilą duży dług naturze. Komisarz odebrał od pani Markowskiej Jerzyka. Patrząc na spódnicę opinającą się na jej smukłych udach, zrozumiał, że też chętnie spłaciłby dług naturze - lecz był on całkiem innego rodzaju.

Po kwadransie wyszedł z łazienki, gdzie przebrał Jerzyka w czystą pieluchę. Zatrzymał się w hallu i rozejrzał się wokół ukradkiem. Nikogo nie było. Wciąż trzymając wnuka na ręku, wykręcił numer telefoniczny.

- Poproszę Winniki 23.

- Proszę uprzejmie - usłyszał słodki głos telefonistki.

- Haloo! - Kiczałes zaakcentował ten wyraz na ostatniej sylabie.

- Bardzo ładny akcent - powiedział Popielski. - Oksytoniczny.

- Ma pan drugie życzenie do złotej rybki, panie kumisarz? - W słuchawce rozległ się lekki szum, jakby Kiczałes wypuszczał dym.

- Mam życzenie. Ale nie drugie ani nie trzecie, lecz to, które pan uznał za gratisowe. Rozumiemy się?

- Wiem, wiem. - Kiczałes parsknął śmiechem. - Gdzie i o której?

- O wpół do ósmej na dworcu, na peronie drugim. Wróci pojutrze.

- Git - odpowiedział Kiczałes i się rozłączył.

Popielski wyszedł z Jerzykiem do ogrodu i udał się do wyjścia, rzucając dookoła grzeczne „do widzenia".

- Już pan wychodzi, panie komisarzu? - zapytała pani Markowska. Już nie zajmowała się dziećmi, lecz stała pod namiotem i bawiła się pręcikiem wykałaczki, na którą nabita była kandyzowana wiśnia zanurzona w koktajlu.

- Tak - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Jerzyk o tej porze zwykle śpi.

- O piątej po południu?

- Tak. O piątej po południu. Do widzenia pani.

Niedowierzanie w lekko zmienionym głosie pani inżynierowej było w pełni uzasadnione. Popielski ją okłamał. Gdyby chciał powiedzieć prawdę, musiałby rzec: „Wychodzę, bo sklep Berty Stark jest czynny tylko do szóstej, a muszę w nim kupić pończochy ze szwem. Właśnie takie, jakie ty nosisz”.

***

Marianowi Ambrożkowi, zwanemu „Mordziastym”, od dzieciństwa wieszczono wielką karierę akrobaty lub prestidigitatora. Sztuczki kuglarskie, które wyprawiał na nędznym podwórku przy ulicy Wodnej, wiecznie zasnutym dymem z kominów pobliskiego Browaru Lwowskiego, wprawiały w zdumienie emerytów i batiarów, którym dostarczał darmowej podwórkowej rozrywki. Pewnego dnia mały Maniuś, oklaskiwany przez widzów, doszedł do wniosku, że jego umiejętności mogą być źródłem zarobku. I tak dziesięcioletni chłopiec, któremu w pierwszych latach wojny światowej dyfteryt zabrał oboje rodziców, rozpoczął niełatwe życie sztukmistrza łykającego ogień, żonglującego nożami i naciągającego frajerów na grę w „trzy karty”. Tego ostatniego procederu nie mógłby oczywiście wykonywać bez właściwej opieki. Jego patronem został Edward Hawaluk, zwany Edzikiem, który na początku lat dwudziestych sprawował nad Kleparowem nieformalne i niepodzielne rządy. Edzik uznał, iż sprytne palce chłopca są przepustką do wspaniałej kariery kieszonkowca, i oddał Ambrożka na kształcenie do akademii złodziejskiej.

Był to strzał w dziesiątkę. Adept, który podczas studiów uzyskał z racji swej pulchnej twarzy przydomek „Mordziasty”, był bardzo pojętnym uczniem, a krótko po przyjęciu do cechu - stał się sumiennym i wysoko cenionym pracownikiem całej spółdzielni kieszonkowców działających na Dworcu Głównym. Do jego zadań należały bardzo trudne i precyzyjne akcje, których łupem były zegarki i portfele. Te działania przeprowadzano w dni targowe i w czasie imprez handlowych; najskuteczniej wtedy, gdy z peronu odjeżdżał jakiś szczególnie zatłoczony pociąg - na przykład do Przemyśla lub do Tarnopola.

I tak interes się kręcił. Przez kilka dobrych lat Mordziasty zarabiał dobrze, dzięki czemu bytowanie jego i młodszego rodzeństwa było wcale zasobne. O swoim dawnym pryncypale Edziku, który tymczasem pożegnał się z wolnością, Ambrożek też nie zapominał i słał mu do Brygidek paczki z papierosami, kiełbasą i cebulą.

W ten pogodny majowy wieczór Mordziasty szykował się właśnie do akcji przy kasie biletowej. Jego zadanie było dość proste. Miał się wepchać bez kolejki do kasy, a potem, po oczywistych protestach i próbach wyrzucenia go spod okienka miał się wdać w pyskówkę - możliwie ordynarną i głośną - ze stojącymi w ogonku ludźmi. W czasie tumultu, jaki zawsze w tej sytuacji powstawał, jego towarzysz Józku i uczennica Mira - stojący w kolejce jak gdyby nigdy nic - dobierali się do kieszeni podróżnych.

Tak miało być i dzisiaj. Mordziasty już ruszał do akcji, kiedy na końcu kolejki stanął potężny mężczyzna bez kapelusza z rozległym strupem na głowie. W jednej ręce trzymał bukiet róż, a w drugiej - drogi sakwojaż ze strusiej skóry. Ambrożek znał skądś tę fizjognomię, ten łysy łeb, tę tatarską, najwyraźniej przyczernioną bródkę. Co najważniejsze - te wszystkie cechy źle się kojarzyły młodemu kieszonkowcowi, choć nie

zdawał on sobie sprawy ze źródła tych asocjacyj. Szybkim krokiem odszedł od kasy, widząc kątem oka, że podobnie uczynili jego współpracownicy, wyklinając jakiś pociąg, który już im rzekomo uciekł.

Ambrożek cierpliwie czekał, aż ów podejrzany typ kupi swój bilet i opuści kolejkę. Tak się też stało. Łysy schował bilet do kieszeni, odszedł spod okienka, po czym zaczął się rozglądać po hallu dworca. Nagle podeszła do niego młoda blondynka, dość wyzywająco ubrana. Nie była to jednak żadna z dziuń, które pracowały na dworcu, gdyż te Mordziasty znał dobrze. Jej sukienka i kapelusz były pierwszej próby, a budulcem naszyjnika było na pewno autentyczne złoto, co Ambrożek, niezwykle doświadczony w taksowaniu zamożności ewentualnych ofiar, natychmiast właściwie ocenił. O tym, że nie jest ona jednak żadną damą z porządnego towarzystwa, świadczył instrument muzyczny, który trzymała w dłoni. Ambrożek nigdy nie słyszał, aby jakaś dama grała na mandolinie.

Łysy wręczył dziewczynie kwiaty i elegancko zapakowaną paczuszkę z napisem „Świat pończoch zaprasza!”, którą wyjął z sakwojażu. Blondynka uśmiechnęła się, wspięła na palcach i pocałowała dużo starszego od siebie mężczyznę. Potem ujęła go pod ramię i ruszyli na perony. Jej biodra kołysały się leniwie, lubieżnie i zachęcająco.

Ambrożek znalazł się znów nieopodal kasy, a jego towarzysze na powrót stanęli w kolejce. Przy okienku rozpychał się pięćdziesięcioletni mężczyzna - na oko urzędnik niższej rangi - i rozmawiał z kasjerem, podsuwając mu jakiś banknot. Mordziasty ruszył do akcji. Wepchnął się przed człowieka w meloniku, widząc kątem oka, że kasjer schował do kieszeni ów banknot, lecz biletu nie wydaje.

- On wraca jutro. - Kieszonkowiec usłyszał ściszony głos kasjera. - Kupił bilet powrotny też na sliping z Krakowa. I też podwójny.

- Ta pani szanowny! - wrzasnął Ambrożek. - Ja si śpieszy straszni! Zaraz odjedzi mój pociąg! No puść pan, panie serduszku!

Wszystko funkcjonowało właściwie. Kolejka zafalowała, a kolejkowicze, którzy w złości zburzyli porządek stania i tłoczyli się pod okienkiem bez ładu i składu, wygrażali srogo Ambrożkowi. Tymczasem jego współpracownicy zaczęli zbierać żniwo. I wtedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Jakby awaria niezawodnej maszynerii. Człowiek w meloniku, wyglądający na gryzipiórka, wymierzył Ambrożkowi cios w skroń. Uderzenie było tak silne, że Mordziasty poczuł w głowie bicie dzwonu, a zamiast twarzy napastnika ujrzał fizjognomie swych świętej pamięci rodzicieli. A potem nie widział już nic.

Kiedy się ocknął, leżał w dorożce, a czoło troskliwie przemywała mu wodą uczennica Mira.

- Taj ty bidaku chory - mówiła do niego łagodnie. - A wiesz, Marianku, ja osmytrała tego ćwoka, od któreguś nabrał facki. Tu jego portfyl i purcygar.

- Tu dzie! - westchnął Mordziasty. - Pokaż nu!

W portfelu tym oprócz dokumentów znajdował się niewielki notes. Na pierwszej stronie wypisanych było pięć słów, podkreślonych i opatrzonych wykrzyknikiem. Ambrożek uderzył się w czoło. Już wiedział, skąd zna łysego mężczyznę. To on kilka lat temu zaaresztował Edzika Hawaluka. Przypomniał mu to wszystko zapis w notesie człowieka, który go sponiewierał: „komisarz Edward Popielski, kochający dziadek!”.

***

Śniło się jej leśne jezioro - ciche i spokojne. Nad wodą fruwały ciężkie, kolorowe ważki. Płynęła ze swoim synkiem dużą, płaskodenną łodzią. Wiedziała, że śni - w rzeczywistości nigdy by nie wsiadła do łódki. Nie umiała pływać.

Przez to uczucie nieprawdopodobieństwa rozbita była iluzja snu i tym samym jego moc. Śpiąca młoda kobieta była płytko zanurzona w sennym pejzażu, którego kiczowatość odczuwała każdym nerwem. Nagle jej synek zaczął płakać. Uderzał rączkami w burtę łódki, walił piąstkami w poprzeczkę, na której rozpięta była siatka.

Otworzyła oczy. Jej syn trzymał się kurczowo siatki uniemożliwiającej wypadnięcie dziecka z łóżeczka. Jego pulchne palce zbielały od wysiłku. Nie mogły jednak się oprzeć sile dorosłego mężczyzny. Po sekundzie mały został uniesiony w powietrze.

Wstała gwałtownie z łóżka. Sen piękny i kiczowaty zamienił się w realny koszmar. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone i każdy z nich odbierał bodźce bólu. Zobaczyła nabrzmiałą szyję chłopczyka, na której zaciskały się czarne palce, poczuła ciężki żelazny cios na swej szczęce, smakowała słoną krew płynącą z ułamanego zęba. Słyszała też męski głos:

- Twój syn będzie złożony w ofierze. Tak być musi. Inaczej musiałbym złożyć własnego!

***

Popielski podczas erotycznych wypraw do Krakowa błogosławił swój nocny tryb życia. Dzięki niemu był prawie zupełnie zwolniony z obowiązku konwersacji z towarzyszącą mu damą. Jego kontakty z nią ograniczały się do czynności najpraktyczniejszych i najbardziej celowych. Wyjeżdżał zawsze wieczornym pociągiem i po wejściu do przedziału oznajmiał kunsztowną frazą wziętą z poety greckiego Archilocha, iż już teraz, natychmiast, chciałby „dać upust męskiej mocy”. Po gorączkowym i szybkim spełnieniu tej zapowiedzi zamawiał do salonki kolację i wódkę. W czasie tego posiłku prowadził wprawdzie z dziewczęciem konwersacje, ale były one - na szczęście - jedynie przerywnikami w konsumpcji, toteż miały charakter nader ubogi. Kiedy już dana córa Koryntu posiliła się, a rozmowa urywała, wtedy Popielski - nie dopuściwszy do wypicia nadmiernej ilości wódki - przystępował do następnych działań, tak pięknie sparafrazowanych przez Archilocha. O ile pierwszy akt był prędki, gwałtowny i nieskomplikowany, o tyle drugi - dłuższy, wyrafinowany i pełen dodatkowych atrakcyj. Potem, już często grubo po północy, Popielski, opadły całkiem z męskich sił i pełen zrozumienia dla wyczerpania swej towarzyszki podróży, pozwalał jej na spokojny sen. Sam zaś, przebrany w jedwabną piżamę, leżał na swym górnym łóżku i czytał w oryginale - w zależności od humoru - Cycerona albo Lukrecjusza. A nastroje miewał dwojakie - ogarniało go syte znużenie i ciężkie zadowolenie sybaryty albo wyrzuty sumienia, które ukazywały mu siebie samego jako starego, komicznego i rozpustnego satyra, który braki męskiego powabu musi nadrabiać pieniędzmi. Kiedy ogarniał go nastrój przesytu, wtedy czytał pesymistycznego poetę samobójcę, w stanie smutku i w dotkliwym odczuwaniu

„bólu świata” - roztrząsał subtelności De natura deorum mędrca z Arpinum. Po kilku godzinach lektury łacińskiego tekstu uspokajał się i wszystko wracało do właściwych proporcyj: sybaryta nabierał zgorzknienia, a pokutnik - religijnego oddechu. Nad ranem golił się, odziewał, perfumował, budził dziewczynę i niedługo obydwoje wysiadali na krakowskim dworcu, który był marnym cieniem lwowskiego.

W pobliskim hotelu Polonia przy ulicy Basztowej Popielski udawał się - zgodnie ze swoim dobowym rytmem - na spoczynek, a dziewczyna - na śniadanie. Następnie, zaopatrzona wcześniej przez swojego dobrodzieja w niezbędne fundusze, szła na spacer lub do kawiarni. Z Popielskim, już wyspanym i spragnionym kobiecych wdzięków, spotykała się późnym popołudniem w hotelu. Tam komisarz po raz trzeci dawał jej możliwość wykazania się swoją ars amandi, po czym wieczorem udawali się w podróż powrotną do Lwowa.

I tutaj następowała najmniej ulubiona przez Popielskiego część eskapady. Wcześniej nie musiał wiele rozmawiać z żadną z dziewcząt, bo albo korzystał z ich ciał, albo z nimi jadł, albo samotnie spał w hotelu. Ale później, po zajęciu miejsc w slipingu pociągu powrotnego, po zjedzeniu kolacji i po czwartym - czasami nieudanym z racji wieku i przemęczenia - akcie opery miłosnej, następowały chwile krępującej ciszy. Partnerki Popielskiego nie zawsze stawały się po tym wszystkim senne, a wpychanie ich wbrew woli w ramiona Morfeusza okazywało się bezskuteczne. Kolejowi kochankowie skazani byli zatem na własne towarzystwo, na chwile ciszy lub na dialogi pozorne, nudne, z trudem podtrzymywane. Popielski usiłował temu zapobiegać zawczasu, wybierając dziewczyny w miarę inteligentne i wykształcone, lecz o takie, po pierwsze, było niełatwo, a po drugie - często chuć budziła się w nim nagle i wtedy w doborze damy podróżnej skazany był na przypadek.

Dwudziestoletnia Irenka, utrzymanka Moszego Kiczałesa, nie była ani inteligentna, ani zbytnio zainteresowana tematami poruszanymi zdawkowo przez Popielskiego. Komisarz jednak w jej towarzystwie nie nudził się ani chwili. Powodem była jej niewyczerpana gadatliwość, niespożyta, radosna energia oraz niezbite przekonanie, iż nie ma na tym świecie mężczyzny, u którego nie obudziłaby ukrytych pokładów wydolności. Irenka zajmowała się zatem głównie budzeniem owych mocy w swym partnerze, a potem - kiedy już osiągnęły one kulminację - bawieniem go skocznymi piosenkami albo balladami o miłości z lwowskich przedmieść, które wyśpiewywała pięknym głosikiem przy akompaniamencie mandoliny.

Popielski nie miał zatem żadnego zmartwienia natury konwersacyjnej i towarzyskiej w drodze docelowej ani powrotnej. Nie zajmował się niuansami filozoficznymi pisarzy starożytnych, nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia ani Weltschmerzu, a ponadto - czuł się mężczyzną o siłach i potrzebach seksualnych młodzieńca, który chędoży jak sylen i o nic więcej nie dba.

Kiedy w drodze powrotnej zmęczona Irenka zasnęła z dłońmi na mandolinie, Popielski wyjął z jej rąk pękaty instrument, przykrył śpiącą kocem, wyszedł na korytarz, uchylił okna i przeciągnął się tak mocno, aż trzasnęły kości.

Pociąg zwolnił i zatrzymał się. Popielski zapalił egipskiego i spoglądał zamyślonym wzrokiem na dobrze mu znany peron w Mościskach. Mimo bardzo wczesnej pory

panował tu duży ruch. Tragarze wyładowywali wielkie pudła, które Popielskiemu kojarzyły się z trumnami, jakiś żołnierz na przepustce żegnał się z płaczącą głośno narzeczoną, mały gazeciarz w o wiele za dużych butach narciarskich biegał po peronie i wykrzykiwał jakieś sensacje i rewelacje, a konduktor podkręcał wąsy i patrzył na jednostajny bieg wskazówki sekundnika na dworcowym zegarze. Na peronie zadudniły naraz buty kolejarza, który wypadł z budynku dworca i zmierzał szybko ku wąsatemu konduktorowi. W dłoni dzierżył jakąś kopertę.

- Depesza do komisarza Popielskiego z nocnego Kraków-Lwów! - krzyknął kolejarz i wręczył kopertę konduktorowi.

Ten odwrócił głowę i spojrzał na Popielskiego. Komisarz wyciągnął rękę z okna, odebrał kopertę i podziękował konduktorowi. Rozerwał ją i przeczytał depeszę.

Przeciągły gwizd lokomotywy. ***We Lwowie podejdzie do ciebie*** *dorożkarz.* ***Stop.*** Huk i syk pary. ***Rozpozna cię po łysinie. Stop.*** Gwizdek konduktora. ***Pojedziesz z nim na pewne podwórko. Stop.*** Rytmiczny łoskot. ***Na podwórzu będzie czekać na ciebie okaleczone dziecko. Stop.*** Irenka wychodzi z przedziału i obejmuje Popielskiego. ***Chcesz zobaczyć to dziecko? Stop.*** Popielski odpycha Irenkę. ***Chcesz, bo jest ono bardzo, ale to bardzo dobrze ci znane. Stop.*** Dziewczyna się zatacza i z trudem łapie równowagę. ***Zobaczysz, czym jest piekło. Stop.***

MEGAJRA

(…) Popełnione przez nas grzechy nie są grzechami, jeśli sprawiają nam ból.

Mistrz Eckhart, Pouczenia duchowe

Kiedy pociąg wjechał na lwowski Dworzec Główny, Popielski pożegnał Irenkę, wrzuciwszy do jej mandoliny dodatkowe honorarium, a potem wyskoczył jeszcze w biegu, potrącając swoim sakwojażem jakiegoś starszego jegomościa. Goniony jego przekleństwami dobiegł do dworcowej ekspozytury policji, wpadł do biura i położył swe palce na widełkach telefonu. Przerwał w ten sposób wesołość młodego policjanta, który od samego rana flirtował przez telefon. Bez słowa wyjaśnienia wykręcił swój numer domowy, a potem numer Rity. I tu, i tu słyszał przez dwie minuty jedynie przeciągłe sygnały. Z podobnym niestety skutkiem usiłował się połączyć z tymi numerami już wcześniej - na stacjach w Rodatyczach i w Gródku Jagiellońskim.

Rzucił słuchawkę na widełki i pobiegł przez hall dworca, pozostawiając za sobą zdumionego i nieco oburzonego funkcjonariusza. Biegł, roztrącając ludzi. W jednej dłoni trzymał melonik, a w drugiej sakwojaż. Przeciąg owiewał jego gołą głowę i targał połami jasnego prochowca. ***Na podwórzu będzie czekać na ciebie okaleczone dziecko. Chcesz zobaczyć to dziecko? Chcesz, bo jest ono bardzo, ale to bardzo dobrze ci znane. Zobaczysz, czym jest piekło.***

Wybiegł przed dworzec i stanął w rozkroku, obrzucając przekrwionym wzrokiem dorożki konne i samochodowe. Jeden fiakier odpiął worek z obrokiem, pogłaskał zwierzę po smukłej szyi i wolnym krokiem ruszył w stronę Popielskiego. Miał na sobie znoszony garnitur i powyginane buty. Na jego głowie sterczała ceratowa cyklistówka. Ponure oczy błyszczały chorobliwie nad obwisłymi policzkami równo pokrytymi ciemną szczeciną. Popielski był pewien, że z ust zionie mu czosnkiem i wódką. Poczuł się tak, jakby zjadł coś nieświeżego, jakby żołądek zareagował kwaśnym, wilgotnym odbiciem.

- Pan Edward Popielski? - zapytał niechluj, rzeczywiście wydzielając woń czosnku.

- Tak, to ja. - Komisarz odsunął się ze wstrętem.

- Jakiś batiar zza drąga kazał mi czekać, dać liścik, a późni pojechać cuzamyn - mruknął dorożkarz.

Popielski jednym ruchem rozdarł kopertę. Była w niej jedna szpalta „Chwili”. Kopiowym ołówkiem zakreślono niektóre litery dużego artykułu o lwowskich sierocińcach. Przepisał owe zaznaczone litery do notesu i złożył je w całość.

„Masz być sam. Jeśli nie, dziecko zginie”.

- Dokąd jedziemy? - zapytał fiakra, zaciskając zęby.

- A na Słoneczną - odparł dorożkarz. - Du fabryki ultramaryny.

- Jedź pan przez Kraszewskiego a potem przez Trzeciego Maja. - W napięciu czekał przez chwilę na reakcję woźnicy. - Tam na chwilę wyskoczę, a pan na mnie poczekasz.

- Nu fajnu - odparł machinalnie dorożkarz. - Kurs mam opłacony. Ja piątki dostał od tegu batiara.

Popielski rzucił się do budy i zamknął oczy. Nie chciał widzieć ani wolno sunących przed nim pojazdów, ani zapchanych furmankami ulic skąpanych w porannym słońcu. Nie chciał patrzeć na nic, co tamowałoby ruch i opóźniało jego przybycie do domu i do mieszkania Rity. Nie chciał widzieć ani kościoła Świętej Elżbiety, ani gimnazjum ukraińskiego, ani wspaniałego gmachu politechniki - chciał tylko widzieć swojego wnuka całym, zdrowym i nieokaleczonym.

Wciąż zaciskając powieki, wyjął papierośnicę i zapalił papierosa - już chyba dziesiątego, licząc od momentu otrzymania w Mościskach strasznej depeszy o poranionym dziecku. Zaciągnął się mocno. Ból rozsadzał mu czaszkę, a do języka lepił się gorzki posmak nikotyny.

- Kraszewskiego, pani szanowny - zawołał dorożkarz.

Popielski otworzy! Oczy, zakrył je fioletowymi binoklami i wyskoczył na chodnik. Pod bramą stróż, pan Włodzimierz Gofryk, zamiatał na jedną kupkę kulki papierów, ogryzki i niedopałki.

- A dziń dobry, panie kumisarzu - zawołał Gofryk.

- Nie wie pan, czy ktoś jest u mnie w domu?

- A na masz! W domu ta nikogu ni ma. Pani Leokadia z Haniu gdzieś z samegu rana podrałowali.

- Jedź pan na Trzeciego Maja beze mnie i czekaj tam na mnie pod kamienicą Rohatyna! - wrzasnął Popielski do fiakra.

Powiedziawszy to, przebiegł sprintem ulicę Słowackiego, minął gmach uniwersytetu i zatrzymał się pod przepiękną kamienicą z rzeźbami rycerzy na froncie. Wpadł do klatki schodowej i od razu natknął się na zwalistą postać administratora budynku pana Leona Hissa.

- Pan do kogo? - burknął Hiss i zagrodził mu drogę.

- Nie poznaje mnie pan? - Popielski z trudem się hamował, aby nie złapać administratora za bary i nie zrzucić ze schodów. - Ja do mojej córki, do Rity i do wnuczka… Nie wie pan, czy są w domu, czy gdzieś wychodzili…

- A co to ja jestem stróż pańskiej córki? - oburzył się Hiss, który na niedawną wiadomość, iż Rita się wyprowadza, zgubił gdzieś swoje grzeczne uniżenie. - A skąd ja mam to niby wiedzieć?

Popielski wyminął Hissa, pobiegł na drugie piętro i zapukał do drzwi apartamentu zajmowanego przez Ritę. Potem już nie pukał, tylko walił w nie pięściami. Cisza, milczenie, a potem zgrzyt jakichś innych otwieranych drzwi i zdziwione okrzyki lokatorów.

- Co pan tu wyprawiasz? - krzyknął Leon Hiss, gramoląc się po schodach. - Tu jest porządny, pierwszorzędny dom! Tu nie miejsce na burdy i walenie w drzwi! I całe szczęście, że pańska córunia się stąd wyprowadza! Tu nie miejsce dla osób z taką reputacją!

Popielski zdjął z oczu binokle, aby lepiej widzieć administratora w nieco

przyciemnionym świetle kinkietów ozdabiających ściany korytarza. Hiss stał w rozkroku, opierając pięści na biodrach, i wypinał w stronę komisarza potężny brzuch opięty kamizelką z dewizką. Jego nalaną twarz wykrzywiało sine oburzenie.

Popielski wykonał szybki ruch i strącił melonik Hissa na ziemię. Ten, zaskoczony zachowaniem komisarza, schylił się, aby podnieść swe nakrycie głowy. Wtedy Popielski wymierzył mu silny cios otwartą dłonią. Trafił Hissa prosto w ucho. Administrator zachwiał się i oparł bokiem o ścianę. Wtedy dłoń Popielskiego odcisnęła się z głośnym klaśnięciem nad czołem Hissa, a siła uderzenia odrzuciła bitego na drugą ścianę. Policjant pochylił się nad siedzącym w kucki administratorem, który się trzymał za głowę, i zaczął wymierzać mu silne klapsy, celując dłońmi w wolne miejsca na głowie. Łysina Hissa wnet stała się czerwona, a administrator kiwał się na boki, wciąż rozpaczliwie starając się zachować równowagę. Wtedy Popielski oparł but na jego ramieniu i rozprostował nogę. Hiss runął plecami na szeroki purpurowy chodnik wyścielający korytarz. Komisarz pochylił się nad nim, a jego binokle przeciwsłoneczne wysunęły się z kieszonki marynarki i upadły na podłogę.

- Milcz, parchu, i nie ośmielaj się nigdy mówić niczego złego o mojej córce.

Na całą tę scenę patrzyła sąsiadka Rity panna Winter, niewiasta czterdziestoletnia, egzaltowana i wiecznie zmigrenowana pianistka z opery. Popielski poznał ją był kiedyś i teraz szarmancko się jej ukłonił, otarłszy pot z czoła.

- Gwałtu, rety! - wrzeszczał leżący na plecach Hiss. - Ja na ciebie skargę złożę, ty łobuzie! Ty już jesteś w kryminale! A masz, ty bandyto, a masz!

I powiedziawszy to, uderzył w całej siły w binokle Popielskiego, tłukąc ich fioletowe szybki w drobny mak.

- Biorę panią na świadka, panno Winter - wrzeszczał Hiss, gramoląc się z podłogi - że to chamidło mnie napadło!

Panna Winter patrzyła na Popielskiego rozszerzonymi źrenicami. Komisarz również nie spuszczał z niej wzroku. W oczach panny Winter wyczytał wiele sprzecznych uczuć - przerażenie, niepokój, a nawet szczególne zainteresowanie całą sceną - nie ujrzał w nich jednak ani śladu współczucia dla administratora.

- Rita wyszła z Jerzykiem dwie godziny temu - powiedziała panna Winter. - Nie mogłam spać i widziałam ich obydwoje przez wizjer w drzwiach. Przez ścianę słyszałam, że Jerzyk nie spał w nocy i płakał.

- Dziękuję. - Popielski wybiegł z kamienicy i wskoczył do czekającej na niego dorożki.

Zamknął oczy, aby nie widzieć światła słonecznego, i ciężko dyszał, oblewając się potem. Mimo że sprint z Kraszewskiego, bieg na drugie piętro oraz sponiewieranie Hissa wyczerpały go fizycznie, przyniosły mu jednak pewne umysłowe odprężenie. Ten wysiłek go oczyścił, przywrócił rozumowaniu jasność, był jak gwałtowna ulga, jak gniewne rzucenie talerzem o ścianę, jak kopnięcie w drzwi znienawidzonego zwierzchnika. Odprężenie było jednak tylko chwilowe. Leżał wciąż w dorożce z zamkniętymi oczami, a gardło dławił mu strach o Jerzyka. Pytania kłębiły mu się w głowie. Dokąd wyszła Rita? Dlaczego Leokadii nie ma w domu? Dlaczego autor listu nie napisał wprost, że

okaleczonym dzieckiem jest Jerzyk? Żeby trzymać Popielskiego w niepewności? Żeby go psychicznie torturować? A może tym dzieckiem nie jest jego wnuk?! Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Była ósma rano. Depeszę otrzymał w Mościskach o wpół do siódmej. Rita wyszła z dzieckiem o szóstej? Dokąd? Po co? Tak wcześnie?

Pod więzieniem u Brygidek słońce wlało się wielką falą w ulicę Kazimierzowską i niebezpiecznie poraziło jego oczy. Szybko je zamknął i zaczął myśleć o dorożkarzu. Może on nie jest w zmowie z autorem listu? Nie zaprotestował przecież, kiedy zmieniłem trasę! Dostał pięć złotych i było mu obojętne, którędy jedzie i kiedy dojedzie do tej fabryki ultramaryny. Pięć złotych to dużo. Taki kurs z dworca na Słoneczną kosztuje według taryfy nie więcej niż złotówkę. Jeśli fiakier jest w zmowie, to na pewno wie, kogo wiezie, i z całą pewnością będzie chciał uciec natychmiast po dojechaniu na miejsce. Ale dlaczego miałby uciekać? By uniknąć przesłuchań, śledztwa, by po prostu nie trafić do aresztu! Jeśli zaś jest niewinny, to poczeka na mnie. Wypróbuję go! Każę mu zaczekać i dodam złotówkę za fatygę! Albo i nie! Po co tracić złotówkę?

Usłyszał dzwon straży pożarnej. Otworzył oczy. Na ulicy Słonecznej panował spory ruch. Dorożka, którą jechał, zatarasowała drogę samochodowi strażackiemu. Aby ją odblokować, fiakier wjechał do długiej przelotowej bramy naprzeciwko fabryki ultramaryny. I wtedy Popielski się przeraził. Oto przeżywał deja vu. Przesuwały się nad nim czarne od sadzy sklepienia. Już je kiedyś widział - w swojej epileptycznej wizji, po wymierzeniu sprawiedliwości Anatolowi Małeckiemu. Wiedział, że zaraz się znajdzie na podwórku, na którym stać będą beczki. A z jednej z nich będzie dochodzić dziecięce łkanie. W jego wizji wynurzyła się z tej beczki Leokadia, ale wiedział, że druga sekwencja epileptycznego widzenia nigdy nie zgadza się z rzeczywistością. A zatem zaraz będzie beczka, a w beczce kto? Przecież nie Leokadia, jak w wizji, lecz ktoś inny! Okaleczone dziecko, które „bardzo, ale to bardzo dobrze zna”.

Strażacy zniknęli, a dorożka przejechała przez ulicę Słoneczną i tam się zatrzymała przed szlabanem blokującym wjazd do fabryki. Popielski wyskoczył z dryndy, wyjął browning i kazał woźnicy usiąść na ziemi przy swoim pojeździe. Przykuł go do koła, przeszedł pod szlabanem i rozejrzał się wokół. Był na podwórku zamkniętym z dwóch stron parterowymi budynkami fabrycznymi, z których nie dochodziły najlżejsze nawet dźwięki. Jeden z budynków był typowym warsztatem fabrycznym, drugi - magazynem z rampami i pootwieranymi na oścież drzwiami. Nad całym podwórzem wznosiła się wielka, nieotynkowana ściana sąsiedniej kamienicy. Zardzewiałe framugi otwartych drzwi na rampie ze smugami starej zaschniętej farby oraz pajęczyny w drzwiach wskazywały, iż od dawna nie używano tych składowisk. Pusta, opuszczona fabryka. Z odbezpieczoną bronią szybko pobiegł w stronę magazynu. Podszedł ostrożnie do beczek. W małym warsztacie po jego lewej ręce otwarte były wszystkie okna na stryszku. Każdy strzelec, stojący w jednym z tych okien, miałby go jak na dłoni.

Zadrżał - jego wizja się urzeczywistniła. Na podwórku, pod rampą było z tuzin blaszanych beczek z napisem „farba”, „lakier” i „wybielacz”. Niektóre stały obok siebie, inne ustawiono jedna na drugiej. Był tam też kilof. Poczuł, że przenika go lodowaty chłód. Wszystko się zgadzało. Wszystko. Nawet łkanie i płacz dziecka, zamkniętego w jednej z beczek.

Popielski, nie dbając o swoje bezpieczeństwo, chwycił kilof i odwalił wieko tej

beczki, z której dochodził płacz dziecka. Spojrzał w głąb i poczuł, jak jego serce zamienia się w gorący połeć mięsa, który szybko przesuwa się w górę, zatykając mu przełyk. W beczce siedziało dziecko bardzo dobrze mu znane. Trzyletni Kazio Markowski. W obu jego nóżkach nad kolanami wysklepiały się nienaturalne bulwy. Miał połamane nogi. I poprzesuwane kości.

***

Kazio Markowski wył z bólu. Jednostajna cienka nuta cierpienia załamywała się na końcu frazy, a potem wibrowała w gwałtownych szarpnięciach szlochu. Dziecko miało całkiem zapuchnięte oczy i wzdęte od płaczu policzki. Jego nóżki w ciepłych rajtuzach były nienaturalnie rozłożone na dnie beczki.

- Kto ci to zrobił, Kaziu? - Popielski z trudem hamował łzy.

Kiedy schylił się nad beczką, delikatnie włożył dłonie pod pachy małego i uniósł go do góry, usłyszał głos.

- To ja zrobiłem.

Z rampy zeskoczył ubrany na czarno mężczyzna w nowym, błyszczącym meloniku. Miał szeroką twarz, mały wąsik i poplamione atramentem palce.

Popielski stał, trzymając Kazia przed sobą, i patrzył na mężczyznę. Wiedział, że nie może teraz wypuścić dziecka z rąk, aby pojmać zbrodniarza. Chłopiec unieruchomił Popielskiego, uczynił go bezbronnym i wydał całkiem na łaskę swojego kata.

- Odłóż ten pomiot na ziemię - powiedział mężczyzna. - No dawaj! Kładź go! Niech jeszcze mocniej poprzesuwają mu się te giry!

Popielski przycisnął Kazia do piersi i stał nieruchomo. Wiedział, że próba położenia chłopca na ziemi wywoła u małego falę nieopisanego bólu.

- Nie żyje obłąkany człowiek, a dziadek bachora poszedł na pielgrzymkę do Częstochowy - mówił mężczyzna. - Powiesił się wariat, a dziadek całował ciebie po rękach. Za co, kochasiu? Za co?

Popielski nie odezwał się ani słowem.

- Szaleniec samobójca nie ukatrupił tego bachora na Żółkiewskiej - głos mężczyzny się podnosił. - To ja zrobiłem. To ja go nakłuwałem. To ja łamałem mu ręce i giczały. To ja wcisnąłem mu łeb pod kolano. I nic mi to nie dało. Nikt mnie wtedy nie zabił.

Popielski upadł na kolana, a potem nisko pochylił głowę, jakby oddawał zbrodniarzowi pokłon. Przez twarz mężczyzny przebiegł grymas zdziwienia i pewnego rozbawienia. Była to krótka chwila, ale wystarczyła, aby Popielski położył dziecko na ziemi, skoczył na równe nogi i wyjął z kieszeni browning. Kazio, porzucony w pyle podwórza, jęknął rozdzierająco i na moment zesztywniał.

Mężczyzna w meloniku nawet nie drgnął na widok pistoletu.

- Tym kilofem - wskazał głową na narzędzie oparte o beczkę - połamałem kulasy i jednemu, i drugiemu bachorowi. Chcesz wiedzieć, jak to uczyniłem? A włożyłem je

między szczeble łóżka i uderzyłem z boku. Wiesz, jak trzeszczały? Lekki trzask, jakby plusk, przesuwam giry do góry i pojawia się gula. Wszystko puchnie. Bardzo ładnie. Bardzo. Tym kilofem, tym.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, schylił się i pchnął kilof w stronę Popielskiego. Narzędzie upadło komisarzowi pod nogi.

- No zabij mnie, szlachetny szeryfie! - krzyknął. - Przecież to dla ciebie bułka z masłem! Połam mi nogi i rozłup kości tym kilofem!

Popielski chwycił za narzędzie. Kazio Markowski wcisnął twarz w pył podwórza. Łzy, tryskające z jego oczu, żłobiły w piachu małe koleiny. Łzy płyną z oczu Kazia, łzy trysnęły z oczu Anatola Małeckiego, kiedy krtań dławił mu Walery Pytka. Łzy dziecka jak strumyki w piasku, łzy zboczeńca - jak prośba o wybaczenie niezawinionych zbrodni. Łzy niewinnego dziecka i łzy niewinnego szaleńca. Pocałunek w dłoń, pielgrzymka do Najświętszej Maryi Panny, dobre buty z salonu Derby, zginął niewinny wariat.

Kazio jęczał. Z jego ust zaczęła wypływać gęsta ślina. I wtedy Popielski zrozumiał, że najpierw musi temu dziecku pomóc. I że nie pomoże mu w żaden sposób, jeśli ten zbrodniarz będzie zdrów i cały. Musi unieruchomić potwora.

- Kładź się na plecach na ziemi, a nogi połóż na beczce! - wrzasnął Popielski, a jego krzyk wystraszył Kazia, który umilkł na chwilę. - Nogi na beczkę, skurwysynu! Ale już! - Ważył kilof w dłoni. - Zaraz poczujesz, jak się łamie giry! Tym kilofem! Tym!

Zamarkował cios, a potem obiega rękami uniósł kilof ponad głowę. I nagle poczuł błysk w oczach. Gwałtowny wiatr wpadł w podwórko i trzasnął oknami nieczynnego warsztatu. Obejrzał się. Szyby się tłukły, ich fragmenty leciały z jękiem w dół i wysyłały błyski. Okna trzaskały po murze framugami, a ich skrzydła jak lusterka raziły wrażliwe oczy epileptyka. Nagle część warsztatu stała się niewidoczna. Czarne plamy zaczęły skakać i łączyć się w jakieś obłe kształty. Sięgnął do kieszonki po okulary i wtedy usłyszał głos Leona Hissa tłukącego jego przeciwsłoneczne binokle. „A masz, a masz!” Plamy tańczyły i zalewały pole widzenia. Usłyszał w uszach szum. Takie omamy słuchowe zawsze go nachodziły przed atakiem. To był epileptyczny wiatr.

Słońce przygrzewa bardzo mocno. Popielski poci się w swoim ciemnym garniturze. Mimo upału nie ma nikogo na kąpielisku. Woda w basenie faluje, a blask słońca iskrzy się na niej niebezpiecznie. On się jednak nie boi tego iskrzenia. Jest świadom, że to, co przeżywa, jest snem, nierzeczywistą wizją. Mógłby się nawet uszczypnąć, a i tak by nic nie poczuł, bo wszystko wokół, włącznie z nim samym, to tylko platońskie cienie i odbicia rzeczy. Nie jest jednak sam na kąpielisku. Na wysokiej wieży stoi człowiek. Szykuje się do skoku i macha ręką do komisarza. Potem skacze, wykonując w powietrzu zgrabną śrubę. Wpada do basenu, a woda, wypchnięta jego ciałem, tryska wokół jak fontanna. Popielski podbiega do brzegu i z niepokojem czeka, aż skoczek wypłynie. Woda powoli nieruchomieje i staje się twarda jak zastygła lawa. Nie przebija jej nic. Żadna ręka nurka, żadna głowa skoczka. Popielski ściska palcami swoją skórę na przedramieniu. I wtedy czuje ból własnego, rzeczywistego uszczypnięcia.

***

Szczypał się w przedramię tak długo, aż poczuł, że ostrym paznokciem przecina sobie naskórek. Wypluł z ust jakiś skórzany przedmiot. Jego własny pugilares wylądował obok nagich łydek porośniętych gęstym włosem. Rozejrzał się dokoła. Znajdował się wciąż na podwórku fabryki ultramaryny. Słońce zaszło, a wiatr trzaskał z wściekłością bezszybnymi framugami o mur warsztatu. Na podwórku wciąż stały beczki. Po kilofie nie było śladu, natomiast po Kaziu Markowskim - i owszem. Dwie równoległe linie ciągnęły się od miejsca, gdzie leżał, do bramy wjazdowej. Popielski analizował przez chwilę te ślady, a wniosek, jaki wyciągnął, był przerażający. Owe równoległe linie zostały wykreślone w piachu podwórza nogami dziecka. Człowiek w meloniku wlókł chłopca, którego zgruchotane nogi ryły w pyle podwójny ślad. Popielski poczuł zimny dreszcz na myśl, jaki ból musi Kazio odczuwać w złamanych kończynach, ciągnących się bezwładnie po podłożu.

Chłód, który go ogarniał, był spowodowany nie tylko wyobrażeniem o cierpieniach Kazia, lecz również niekompletnym stanem własnej garderoby. Ze zdumieniem ujrzał, iż nie ma na sobie butów, skarpetek, spodni ani kalesonów, podczas gdy góra jego garderoby była nienaruszona. Usiłował zrekonstruować wypadki. Oto ulega nagłemu atakowi epilepsji, jego ciało wygina się w drgawkach, a człowiek w meloniku go rozbiera. Popielski wiedział doskonale, jaki jest cel tej czynności. Miała ona charakter profilaktyczny - brak spodni i bielizny uniemożliwiał zabrudzenie tych rzeczy przez ludzkie wydzieliny, które w czasie ataku często mimowolnie się uwalniały - na szczęście nie tym razem. On się o mnie zatroszczył, pomyślał Popielski, on jest troskliwy i miłosierny. Nieludzko, diabelsko miłosierny.

Jego garderoba leżała porządnie złożona na jednej z beczek obok browninga. Popielski szybko, na środku podwórza, włożył bieliznę, spodnie oraz buty i pobiegł do szlabanu. Dorożkarz wciąż tam leżał, przykuty do koła, i wodził za komisarzem wściekłym wzrokiem.

- W jaki sposób go niósł? - zapytał Popielski, pochylając się nad fiakrem, lecz woń przetrawionego czosnku natychmiast go odrzuciła. - Czy dziecko bardzo płakało?

- Iii tam - mruknął dorożkarz. - Wcali ni płakało… Spało… Ucik z tym muckiem, będzi z pół gudziny… No rozkuj mnie pan, bo wszystku zdrętwiału!

- Dlaczego twój wspólnik, który niósł połamane dziecko, nie zabrał cię ze sobą? - Popielski z ulgą skonstatował, że Kazio mógł być nieprzytomny i nie odczuwać wcale bólu.

- Jaki wspólnik? - Zdziwienie fiakra zdawało się autentyczne.

Ale Popielski widział wiele takich „autentycznych” zdziwień w swojej policyjnej karierze. Widział już takie osiągnięcia aktorskie, że zdumienie, brzmiące w głosie dorożkarza, mogło być tanim, kiepskim zwodem. Wziął potężny zamach i trafił kantem dłoni w brudną szyję. Fiakier szarpnął się na uwięzi i zacharczał jak pies.

- Ty cepie! - ryknął komisarz. - Ty myślisz, że nie wiem, że twój kompan zostawił cię tutaj dla niepoznaki, aby mnie zmylić! Abym myślał, że naprawdę wynajął cię jakiś batiar? Co? Jak to powiedziałeś? Batiar zza drąga? Ty kanalio bolszewicka! Jak się nazywa twój wspólnik? Razem z nim połamałeś to dziecko?

Kolejny cios w grdykę odebrał fiakrowi mowę. Oczy i język wyszły mu na wierzch, a w płucach rozległ się jakiś wysoki, piskliwy ton.

W tym momencie Popielski wydał podobny dźwięk jak bity przez niego człowiek. Coś cienkiego i metalicznego wdarło się w świeżo zabliźnioną ranę na głowie. Na czole i na karku poczuł ciepłe strumyki. Odwrócił się gwałtownie i odskoczył w stronę dorożki prawie na ślepo, gdyż krew zalewała mu oczy. Klęcząc, otarł ją z powiek i przed portiernią ujrzał chwiejącego się na wszystkie strony człowieka z dorożkarskim batem. Człowiek ten, ubrany w brudny mundur i najwyraźniej kompletnie pijany, darł się radośnie i zamiatał dokoła batem. Jeszcze raz świsnął ostrym rzemieniem, zakończonym metalową kulką, w stronę Popielskiego. Stracił przy tym równowagę i runął na bruk, wydając przy tym dźwięk będący mieszaniną głuchego uderzenia i głośnego klaśnięcia.

Popielski pochylił się nad nim i spoliczkował go kilkakrotnie. Pijak nie reagował. Komisarz obejrzał jego głowę i kończyny. Wszystko wyglądało na nienaruszone. Jeszcze raz go spoliczkował i poczuł ostry ból w przegubie. Za często biję ludzi, pomyślał z nagłym rozgoryczeniem. Pijak otworzył oczy, uśmiechnął się szeroko do Popielskiego, a potem zamknął na powrót powieki i zachrapał donośnie.

Komisarz wyjął chustkę z kieszeni spodni. Otarł łysinę z krwi i potu, odsapnął, zapalił papierosa i spojrzał z wściekłością na fiakra.

- Ależ mnie wszyscy dzisiaj wkurwiają - powiedział dobitnie. - A najbardziej ty, bydlaku, i twój obrzydły smród! Jeśli zaraz mi nie powiesz…

Nie zdążył dokończyć tego okresu warunkowego, bo usłyszał w charkocie zdanie - choć niewyraźne, to jednak wyartykułowane.

- Gibała Alfons - rzęził fiakier. - Kapuś policyjny.

- Co takiego? Powtórz!

- Gibała Alfons, kapuś aspiranta Grabskiego. Ni znam tegu, co mni wynajął pod dworcym!

Popielski wytarł jeszcze raz głowę. Potem zbliżył się do śpiącego pijaka, uniósł go z łatwością pod pachy i wrzucił do budy. Następnie rozkuł domniemanego informatora i wskazał mu głową miejsce na koźle.

- Jedziemy na Łąckiego. Tam Grabski potwierdzi twoje słowa. I wtedy cię przeproszę. Jestem komisarz Popielski.

- Gdybym ni wiedział, kto ty jesteś, tobym si ni przyznał, że ja kapuś - wycharczał Gibała i zaciął konia. - Mam w duszy twoji przeprusiny, Łyssy.

Dorożka ruszyła. Popielski miał smutną pewność, że sponiewierał informatora policyjnego, człowieka, który służył sprawiedliwości - podobnie jak on sam. Pobił - było nie było - swojego kolegę. Gibała wymienił nazwisko Waleriana Grabskiego, długoletniego podwładnego Popielskiego. Nie to nazwisko jednak zadecydowało o tym, iż uwierzył fiakrowi, lecz śmiała, a nawet zuchwała odpowiedź, jasno wyrażająca, gdzie ów ma ewentualne przeprosiny Popielskiego. Na tak drastyczne słowa nie pozwoliłby sobie żaden zwykły woźnica.

- Poczekaj! Jeśli jest tak, jak mówisz, to jesteś jakby policjantem. Czyli moim podwładnym. Chodź ze mną! Przeszukamy te puste hale! Może jeszcze ktoś tam jest oprócz tego kirusa.

Gibała spojrzał na Popielskiego wzrokiem pełnym nienawiści.

- No, przepraszam cię - powiedział komisarz i wyciągnął dłoń do fiakra. - Nie na Łąckiego, ale już, teraz przepraszam.

Gibała nie podał mu ręki, wyskoczył z wozu, przeszedł przez podwórko i wspiął się po schodach na rampę. Popielski był w gruncie rzeczy zadowolony z zachowania Gibały. Każde zbliżenie z tym człowiekiem, nawet uściśnięcie ręki, było mu wstrętne i obrzydłe z powodu woni czosnku, której nienawidził. Gdy jego córka Rita była mała, lubił jej zadawać zawsze to samo pytanie: „Czego tatuś najbardziej nie znosi?”. „Żaru, brudu i smrodu” - odpowiadało wówczas dziecko.

***

Dorożka minęła uniwersytet i skręciła w lewo. Po chwili była pod kamienicą Rohatyna. Popielski spojrzał w okno Rity i po raz pierwszy tego fatalnego dnia ogarnęło go inne uczucie niż wściekłość, groza, wstyd albo frustracja. Widząc Ritę z Jerzykiem na balkonie, poczuł falę takiej czułości, że byłby gotów uściskać nawet śmierdzącego czosnkiem fiakra. Opadł całym ciężarem ciała na siedzenie, gniotąc mocno leżącego bez ducha pijaka. Westchnienie ulgi było tak donośne, że zwróciło uwagę pucybuta w kraciastej czapce, który patrzył przez dłuższą chwilę na Popielskiego, po czym powrócił do swojej poprzedniej czynności, a mianowicie do glancowania butów jakiejś studentce, a przy tym - do bezskutecznych prób zajrzenia jej pod spódnicę.

- Jedziemy teraz na policję - powiedział Popielski z uśmiechem i wyciągnął papierośnicę w stronę Gibały. - Zapalisz?

Fiakier coś odpowiedział powoli i z naciskiem, ale jego słowa utonęły w okrzyku, jaki doszedł z balkonu.

- Edwardzie! Hej, Edwardzie! - zawołała Leokadia, która rozwieszała właśnie na sznurze ubranka Jerzyka. - Wspaniałe mieszkanie, to na Ponińskiego! I jaki piękny widok na park Stryjski! Właśnie oglądałyśmy je z Ritą!

- Czemu tak wcześnie? - odkrzyknął Popielski. - Czemu tak z samego rana?

- Wczoraj do nas telefonował kamienicznik Spennadel - zakrzyknęła Rita, trzymając mocno Jerzyka, który rwał się do dziadka. - Bardzo mu się śpieszyło, papo! O ósmej wyjechał w interesach na tydzień i prosił nas, abyśmy obejrzały to dziś rano. Niech tatko sobie wyobrazi - o szóstej rano!

- Bardzo mu zależało - dodała radośnie Leokadia. - I obniżył nam komorne! Zgodziłyśmy się na to mieszkanie…

- A najbardziej podobało się Jerzykowi… Obiecałam mu, że jeszcze tam pojedziemy… - krzyczała Rita.

- Aha, Edwardzie! - Kobiety wpadały sobie w słowo i wcale się o to nie gniewały. -

Mam dla ciebie tutaj rachunek od majstra malarskiego Bukiety, który przyszedł dziś remontować nasze nowe mieszkanie! To potrwa z tydzień!

- Ciszej! - Edward położył palec na ustach.

Koło dorożki zgromadziło się sporo osób. Już nie tylko pucybut i studentka słuchali z zainteresowaniem tego rodzinnego dialogu. Jakiś typ, zamknięty w skrzyni, na której widniały napisy reklamujące pastę do zębów Aloe, włożył swój łeb do dorożki. Jakiś robotnik, naprawiający kratkę kanalizacyjną, zadzierał głowę i wpatrywał się w Ritę, jakiś urzędnik kiwał z dezaprobatą głową, piętnując w duchu uliczne hałasy i zbiegowiska. Z okna na parterze wychylił się zarządca kamienicy Leon Hiss. Jego twarz i łysina płonęły wciąż od uderzeń Popielskiego.

- Won mi stąd! - wydarł się Hiss. - Co to za chamstwo, żeby tak się drzeć! To pierwszorzędny dom, a nie bóżnica! Popielski, ty bandyto, ty chamie! Jeszcze raz spróbujesz mnie tknąć, a zobaczysz!

- Masz, bo później zapomnę! Tam jest rachunek! - Leokadia rzuciła w stronę dorożki mały portfelik.

- Proszę, szanowny panie. - Pucybut podniósł portfelik z chodnika i podał go Popielskiemu.

Komisarz dał mu pięć groszy i klepnął w plecy Gibałę.

- Jedziemy na Łąckiego. Zapalisz?

- Odpowiem to, co wtedy. - Gibała odwrócił się i patrzył ponuro na Popielskiego. - Tyli, że pan ni dusłyszał, bo pani krzyknęła z balkonu. Woli palić suszony gównu niż pański cygarety.

Popielski kiedy indziej dałby kapusiowi w mordę za taką zuchwałość. Nie mógł się jednak na nikogo gniewać teraz - kiedy ujrzał swego wnuka żywym, a rodzinę kompletną. Zapomniał na moment nawet o zmaltretowanym Kaziu Markowskim. Edward Popielski po raz pierwszy od wielu lat stracił swą czujność, którą Leokadia nazywała „podejrzliwością mizantropa”.

***

Mimo południowej pory, w gabinecie naczelnika urzędu śledczego podinspektora Mariana Zubika panował półmrok. Zaciemnienie wnętrza było spowodowane już to zachmurzonym niebem wiszącym nisko nad miastem, już to wielką obfitością tytoniowego dymu wydmuchiwanego z płuc siedmiu mężczyzn. Każdy z nich palił inną markę tytoniu i wszystkie te aromaty zlewały się w nadzwyczaj duszącą woń, która wywoływała u sekretarki naczelnika panny Zosi silny i nieco demonstracyjny kaszel.

- Są nowe wieści, moi panowie, o stanie zdrowia małego pacjenta. - Zubik wypuścił nosem dym z cygara Patria i wpatrywał się w kartkę dostarczoną mu minutę wcześniej przez sekretarkę. - Depesza od doktora Elektorowicza ze szpitala Sióstr Miłosierdzia. Operacja zakończona pomyślnie. Kazio będzie chodzić.

Przez pokój przeszły pomruki i westchnienia ulgi. Kontrastował z nimi jeden głos,

poirytowany dyszkant.

- To niepojęte! - Głos aspiranta Waleriana Grabskiego ciął ostro zadymione powietrze. - To niepojęte! Ten bydlak podrzuca dziecko w ukradzionym wózku pod szpital i ucieka! Po prostu sobie ucieka! Wchodzi na teren szpitala, jak gdyby nigdy nic, i nikt z personelu, żaden woźny nie próbuje go gonić!

- Drogi panie aspirancie - doktor Iwan Pidhirny we wzburzeniu gryzł cygaro Corona - czy panu się zdaje, że słudzy Hipokratesa to gończe psy? Myśli pan, że jakiś woźny, widząc w wózku zmaltretowane, płaczące dziecko, ma dylemat: czy pomóc temu dziecku czy gonić tego, co je przywiózł? Nawet szpitalny woźny, drogi panie, jest po to, aby pomagać innym, a nie gonić, śledzić, łapać i przesłuchiwać!

- Panowie, panowie - uspokajał Zubik. - Zbierzmy fakty, a potem oddajmy głos komisarzowi Popielskiemu, który najlepiej z nas wszystkich zna całą sprawę. A zatem fakty. Dzisiejsze zajście odbyło w remontowanej fabryce ultramaryny na Słonecznej 26. Z jej właścicielem rozmawiał pan Kacnelson. Proszę, panie aspirancie!

- Fabrykant Chaim Perlmutter. - Herman Kacnelson gasił ze złością gabinetowego, chcąc powiedzieć: Zawsze mnie wysyłacie do Żydów, Żyd do Żyda, co? Nie macie dla mnie innych zadań? - Otóż fabrykant Chaim Perlmutter - kontynuował aspirant, z wyraźną irytacją wypowiadając to żydowskie nazwisko - poinformował mnie, że budynek ów rzeczywiście jest remontowany i szykowany - spojrzał do notesu - na nową wytwórnię farb malarskich i suchych. Pilnuje go na zmianę trzech stróżów, z których każdy, ku ubolewaniu właściciela, nadmiernie się alkoholizuje. Jednym z nich jest ten, którego dostarczył nam dzisiaj komisarz Popielski…

- A ściśle mówiąc, dostarczył nam go z pomocą mojego szpicla - mruknął Grabski, zaciągając się syreną i nie patrząc nawet na Popielskiego. - Któremu musiałem to i owo wyperswadować… Jakieś skargi na policję i inne fanaberie…

- A teraz proszę pana, panie Cygan. - Zubik udał, że nie słyszy tych aluzyj. - Proszę nam powiedzieć, co wiemy o porwaniu Kazia Markowskiego.

- Oto cała relacja inżynierowej. - Cygan otworzył notes. - To było tak… Kazio jest dzieckiem, które zasypia z wielką trudnością. O dziwo, udaje mu się to najlepiej w domku ogrodnika, który stoi w głębi posesji. Dziecko śpi tam zawsze ze swoją matką w ciepłe miesiące roku i spało tam z poniedziałku na wtorek. Tej nocy zostało stamtąd wykradzione. Pani Markowska spała również w tym samym pokoju i niczego nie słyszała.

- To chyba niełatwo tak ukraść dziecko - zadziwił się Kacnelson. - Przecież mały może się obudzić i zacząć płakać… Czy psy są tam spuszczane na noc?

- Nie ma tam psów - odparł Cygan. - Pytałem już o to inżyniera. Jego żona boi się psów. A poza tym nie możemy się niczego dokładniejszego dowiedzieć, bo pani inżynierowa jest wciąż w szokingu… Prawie nie może mówić… Coś ją zatyka…

- A gdzie ona w ogóle jest? - zapytał Popielski.

- Nie słyszała płaczu porywanego dziecka? - nie ustępował Kacnelson.

- Odpowiadam na oba panów pytania - rzekł powoli Pidhirny. - Ona jest w klinice uniwersyteckiej pod moją opieką… A teraz odpowiedź na wątpliwość pana Kacnelsona…

Proszę panów o dżentelmeńską dyskrecję… Nie godzi się źle mówić o damie z towarzystwa, ale ja ją znam… Mogła być pijana… Pani Janina Markowska pije od dawna…

Zapadła cisza przerywana sykiem gaszonych papierosów lub zapalanych zapałek. Zbliżała się burza, niebo nad Lwowem było sine, tytoniowy zaduch w gabinecie stawał się nie do zniesienia, mężczyźni ocierali czoła, luzowali krawaty, zmieniali sposób siedzenia na krześle. Wyobrażali sobie całą scenę: przebudzona i przepita matka nie wierzy własnym oczom, bełkotliwym głosem woła dziecko, a obok leży poduszka z wgłębieniem wyciśniętym w pierzu przez małą głowę.

- Wróćmy do dnia dzisiejszego. - Zubik przerwał tę ciszę i spojrzał na Popielskiego. - Pańskie wnioski i sugestie, komisarzu?

- Oczywiście, nie będę powtarzał tego, co się zdarzyło dzisiejszego poranka. - Popielski zapalił egipskiego specjalnego. - O tym już mówiłem. Teraz tylko interpretacje. Po pierwsze, sprawca wiedział, iż znam nieszczęsną ofiarę. Inżynierowa Markowska, matka dziecka, jest przyjaciółką mojej córki Rity i kilka razy wraz z synkiem nas odwiedzała, a ja sam w niedzielę byłem z moim wnukiem na kinderbalu u Markowskich. Stąd słowa w liście: „Dziecko, które dobrze znasz”. Skąd wiedział, że je znam? Hipoteza pierwsza: mógł śledzić inżynierową, hipoteza druga: mógł śledzić mnie. Ta druga jest bardziej prawdopodobna. Przecież wiedział, dokąd jadę pociągiem, bo przysłał mi list na stację w Mościskach! A oczywiście wiedział o mojej bytności na kinderbalu albo o odwiedzinach Janiny Markowskiej w moim domu.

- Wydaje się, że sprawca chciał porwać dziecko jakoś związane z panem… - powiedział w zamyśleniu doktor Pidhirny.

- Dlaczego pan tak sądzi, doktorze? - zapytał Zubik.

- Nawet doctor rerum naturalium - odparł Pidhirny, chcąc lekko dokuczyć nieznającemu łaciny naczelnikowi - musi czasami zawierzyć własnej intuicji.

- Z całym szacunkiem dla pańskiej intuicji. - Najmłodszy z nich wszystkich, Stefan Cygan, stuknął w paczkę nilów, wydostając stamtąd papierosa. - Gdyby sprawca chciał okaleczyć dziecko związane z komisarzem, porwałby raczej jego wnuczka Jerzyka…

- Być może ma pan rację. - Pidhirny, który był znany ze swojego uporu, nieoczekiwanie gładko się zgodził z młodym policjantem. - Ale pańskie zastrzeżenie wcale nie obala mojej intuicji, która głosi: sprawca śledził pana komisarza, nie Markowską.

- To możliwe - poparł doktora milczący dotąd, nowy w ich zespole aspirant Zygmunt Żechałko, zawsze pełniący z racji swego starannego pisma funkcje protokolanta. - Ale co z przesłuchaniem tego pijanego stróża?

- O tym za chwilę. - Popielski wzniósł palec do góry. - Herod, bo tak nazywam człowieka w meloniku, wcale się nie wystraszył mojego pistoletu. Wręcz przeciwnie. Prowokował mnie. Świadomie doprowadzał mnie do najwyższej wściekłości, dokładnie opisując krzywdy, jakie wyrządził dziecku. Jego połamane nóżki nazywał „giczałami” lub „girami”. Wciąż zwracał przy tym moją uwagę na kilof jako na narzędzie swej zbrodni. Mało tego, wręcz podrzucał mi ten kilof, podsuwał mi go pod nos, jakby chciał, bym go

użył wobec niego. I wtedy udało mu się mnie sprowokować. Kazałem mu położyć nogi na beczce… Aby je połamać…

- No, no, no! - zareagował Zubik. - Nie dałby się pan przecież sprowokować! Na Boga, pan wie, że ten czyn wykreśliłby pana z naszych szeregów. Chciał pan oczywiście powiedzieć „Kiedy udawałem, że zostałem sprowokowany”… Niech pan tak pisze, Żechałko! A poza tym…

- Nie - przerwał mu Popielski. - Naprawdę byłem gotów połamać mu nogi… Aby mi nie uciekł.

- Proszę to wykreślić z protokołu - Zubik znów zwrócił się do Żechałki. - I niech pan protokolant nie ujmuje już więcej tego typu wypowiedzi!

- On rzucił mi kilof i posłusznie położył nogi na beczce, abym je połamał, rozumiecie panowie? - Popielski nie zwrócił najmniejszej uwagi na protokolarne menuety Zubika. - Mówił do mnie „Zabij mnie, dzielny szeryfie”. Chciał zginąć albo przynajmniej zostać okaleczony! Moimi rękami! Z jakiegoś powodu właśnie ja miałem to zrobić!

- To typowa dążność do autodestrukcji - doktor Pidhirny zdefiniował psychologicznie zachowanie Heroda. - O niej świadczy jego przyznanie się do zabicia Henia Pytki i jego komentarz… Jak on brzmiał, panie komisarzu? Już mi pan to mówił przed naszym zebraniem… Nie chciałbym przeinaczyć…

- To było mniej więcej tak… - Popielski się zamyślił. - „Zabiłem Henia Pytkę nadaremnie. Nikt mnie wtedy nie zabił, no to zabij mnie teraz ty”. Z tych słów wynika to, co powiedziałem. On chciał popełnić samobójstwo. Moimi rękami.

- Chciał, aby go zabić po zamordowaniu Henia Pytki… - Pidhirny się zapalał. - Ale to nie wyszło… No to znów spróbował. Skądś wiedział, że komisarz Popielski ma gwałtowny charakter i że można go sprowokować. Nie udało mu się zginąć za pierwszym razem, no to…

- Dość, doktorze. - Zubik podniósł głos i uderzył lekko pięścią w stół. - Sprawa morderstwa Henia Pytki jest zakończona, a morderca Anatol Małecki popełnił samobójstwo! Wie pan, ilu wariatów dzwoniło do nas i przyznawało się do zabicia Henia?!

- Panie naczelniku! - Pidhirny aż podskoczył. - Dwa tygodnie temu we Lwowie znaleziono zwłoki zamęczonego na śmierć i torturowanego pierwej dzieciątka, a wczoraj znaleziono inne dzieciątko, również torturowane! Wybaczy pan, ale jako lekarz sądowy i psycholog mogę powiedzieć tylko jedno: jest wysoce prawdopodobne, że sprawcą tamtego mordu i tego aktu bestialstwa był jeden i ten sam człowiek! Czy się to panu naczelnikowi podoba, czy też nie, tak właśnie jest! A Małecki popełnił samobójstwo jako człowiek niewinny! Jestem o tym przekonany! I niestety - czas wrócić do sprawy Henia Pytki, czas odwiesić dochodzenie!

- Nie będzie mi pan tu mówił, co mam robić! - Zubik, rozjuszony jak byk na korridzie, buchał przez nozdrza dymem. - Pan ma głos doradczy, który mogę uwzględniać lub nie! Ponadto - uspokoił się nagle i dodał pojednawczo: - Nie zaprzeczy pan chyba, że Henio Pytka został zamordowany, a Kazio Markowski - jedynie okaleczony. To by świadczyło, że w sprawcy okaleczenia drzemią jakieś resztki człowieczeństwa, czego nie

można powiedzieć o mordercy Henia. Człowiek w meloniku dokonał czynu odrażającego, ale nie zabił. A morderca Pytki to bestia w najgorszym wydaniu! Jedno zwierzę mordowało, a drugie - łamało kolana dziecku. To dwa różne typy. Ten pierwszy nie ma ludzkich odruchów, ale drugi je ma, prawda komisarzu?

- Być może je ma wobec dorosłych. - Popielski strzepnął popiół do wielkiej popielnicy, ozdobionej przycinarką do cygar. - Uprzedzając mój atak epilepsji, rozebrał mnie, abym się nie pobrudził, a w zęby wsadził mi mój własny portfel, abym nie przegryzł sobie języka. On wie, jak należy się obchodzić z epileptykami… Może sam choruje?

- Jak on w ogóle wygląda, panie komisarzu? - po raz drugi odezwał się Żechałko.

- Ma szeroką, rzekłbym, typowo słowiańską twarz - mówił wolno Popielski. - Lat około pięćdziesięciu. Żadnych znaków szczególnych oprócz małego wąsika. Ubrany niemodnie i niedbale. Czarny, znoszony płaszcz, brudne powyginane buty, palce uwalane atramentem. Z tym wszystkim kontrastuje nowiutki elegancki melonik. Wniosek: skromny urzędniczyna, którego nie stać na porządne ubranie, lecz dba o nakrycie głowy. To Polak lub Ukrainiec. Nie ma żadnych cech żydowskich ani w wyglądzie, ani w wymowie. Nie słyszałem też żadnych lwowskich dialektyzmów. Z drugiej strony nie mówi zbyt starannie… A zatem jakiś urzędnik po kilku latach gimnazjum… Semidoctus… Tak bym go określił.

- Zaraz, zaraz. - Zubik, który z powodu kiepskich postępów w językach klasycznych zakończył swoją edukację na szóstej klasie gimnazjalnej, chwycił się za głowę. - Bo się zaraz wszyscy pogubimy… Panie Żechałko, niech pan powoli podsumowuje, a my prosimy komisarza o relację z przesłuchania pijanego stróża.

- Walenty Kozik, lat czterdzieści osiem, nałogowy alkoholik, sądząc po fizjognomii. - Popielski przeglądał swoje notatki. - Względnie wytrzeźwiał pod zimną wodą na komendzie, ale trzeba by go jeszcze raz przesłuchać. Oto, co od niego wiem. Kilka dni temu, Kozik nie pamięta dokładnie, kiedy to było, Herod przyszedł do niego do fabryki i obiecał mu dać trzy ćwiartki wódki pod warunkiem, że je wypije naraz, podczas swojej porannej służby, i nic nie będzie słyszał ani widział. Herod mówił, że przyjdzie do fabryki z jakąś dziunią z Mostków. Kozik zgodził się na to bez wahania, tym bardziej że i tak właściciel miał go niedługo wyrzucić z pracy za pijaństwo. To dzisiaj była właśnie ta poranna służba. Dzień trzech ćwiartek. To tyle. Nic więcej od niego nie wyciągnąłem. Aha. - Uderzył się w czoło. - Tego nie zdążyłem zapisać. Herod dał Kozikowi kilof i kazał go pilnować jak oczka w głowie. Wciąż powtarzał, że narzędzie to kosztuje złotówkę.

- Kto by dał cokolwiek do pilnowania pijakowi? - zdziwił się Cygan.

- Może tylko na chwilę, dopóki ów się nie upije jak bydlę - odpowiedział Popielski.

- Podsumowanie, bardzo proszę, panie Żechałko. - Zubik najwyraźniej uznał dyskusję o kilofie za zbędną.

- Szukamy człowieka lat pięćdziesięciu - Żechałko odczytywał swoje pismo, które mimo szybkości zapisywania było nadzwyczaj czytelne - rasy słowiańskiej, o dłoniach powalanych atramentem, średnio wykształconego, może urzędnika, niedbale i niemodnie ubranego, choć posiadającego nowy elegancki melonik. Człowiek ten prawdopodobnie śledził komisarza Popielskiego i chciał go sprowokować do dokonania morderstwa na

samym sobie, a przynajmniej do połamania mu nóg kilofem. Ma zatem skłonność do autodepresji.

- Autodestrukcji - poprawił go Pidhirny.

- Tak jest. - Żechałko starannie korygował to słowo. - Autodestrukcji. Jego wiedza na temat obchodzenia się z epileptykiem świadczy, że być może zna on z autopsji tę chorobę. To tyle.

- Dobrze. - Zubik rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął się bawić swoim wiecznym watermanem.

Zapadła cisza. Wszyscy pogasili już papierosy, patrzyli na Zubika i trzymali w pogotowiu pióra i notesy. Znali to napięcie, po którym następowała erupcja zadań i poleceń. Ich pióra w stałym oczekiwaniu skrobały stalówkami kartki notesów i wypisywały różne esy-floresy. W swej istocie były podobne do końskich nóg, które przed startem w wyścigach niecierpliwie i nerwowo biją kopytem o ziemię.

- Moi panowie, przydzielam zadania. - Zubik pokraśniał z przejęcia. - Pójdziecie panowie z tymi informacjami, które zebrał pan Żechałko, oraz z portretem pamięciowym Heroda do… Popielski - pan, jako znany elegant, do sprzedawców meloników, aby znaleźć niedawnego klienta, panowie Kacnelson i Grabski - do dyrektorów państwowych i prywatnych firm, by odnaleźć urzędnika z palcami powalanymi atramentem, Cygan - pan poszuka epileptyka o tym rysopisie, a pan, Żechałko - psychicznie chorego. Cygan i Żechałko - po wykonaniu swojego zadania przejdą panowie na odcinek „urzędniczy” i dołączą do Grabskiego i Kacnelsona. To wszystko, moi panowie. Ach, panie Cygan, proszę wziąć od sędziego śledczego, pana Mazura, pismo w sprawie portretów przestępcy i listów gończych. Już powinno być gotowe. Z tym proszę do Drukarni Ludowej. Tylko na cito! Portrety mają jak najszybciej wisieć w całym Lwowie! Jutro u mnie odprawa - tu spojrzał z niesmakiem na Popielskiego - w samo południe. Może niektórzy zdążą się wyspać… A, i jeszcze jedno. - Twarz Zubika stężała w maskę irytacji. - Proszę go nie nazywać Herodem. Biblijny Herod zabił wiele niewiniątek, a my mamy dwa czyny popełnione przez dwie różne osoby! Rozumiemy się?

Doktor Pidhirny roześmiał się drwiąco i wyszedł bez pożegnania. Żaden z policjantów nie wyrzekł ani słowa. Żaden nie skinął potwierdzająco głową. Żaden nie spojrzał naczelnikowi w oczy. Oprócz Popielskiego. W spojrzeniu łysego komisarza nie było śladu uległości, jaką każdy podwładny powinien się wykazywać.

***

Popielski szedł do swojego gabinetu noga za nogą. Wcale nie pragnął ujrzeć znajomego wnętrza: ani żółtych ścian domagających się od dawna świeżego malowania, ani wielkiej trzydrzwiowej biblioteki, której prostota złamana była biegnącym u szczytu meandrem. Śmiertelnie go nudził rytuał codziennych czynności wykonywanych w gabinecie: nieustanne i nieskuteczne ruganie swojego współlokatora i nieformalnego asystenta Stefana Cygana; gniewne piętnowanie zatłuszczonych stosów jego kartek, obsadek, brudnych szklanek i talerzy. Śmiertelnym znużeniem napawała go myśl o zajęciu miejsca za swoim potężnym biurkiem, na którym papiery ułożone były w precyzyjny

wachlarz, a obsadki i naostrzone ołówki leżały w odległości pięciu centymetrów od brzegu mebla. Nie czterech i pół. Nie pięciu i dwóch milimetrów. Dokładnie pięciu, o czym doskonale wiedział, bo kilkakrotnie w ciągu dnia mierzył tę odległość linijką. Po akcie pomiaru zawsze z dumą i ze złośliwym uśmiechem komunikował Cyganowi, wskazując na jego zaśmiecone małe biurko ustawione w ciemnej nyży: „My, policjanci, porządkujemy świat. Jesteśmy jednak niewiarygodni, jeśli nie zaczynamy od własnego życia i od własnego biurka. A pan jest wiarygodny?”

Przystanął i poprawił sznurówkę w jasnym, brązowym trzewiku. Nie chciał wchodzić do swojego gabinetu, ponieważ musiałby w nim obmyślać plan działań, które a priori uważał za absurdalne. Chodzenie z notesem po lwowskich kapelusznikach i modystach oraz pytanie ich o ostatnich klientów nęciło go w podobnym stopniu co rulon słoniny w barłogu Anatola Małeckiego.

Naciskając klamkę, przypomniał sobie właśnie wymyśloną przez siebie samego sentencję, którą wciąż powtarzał Cyganowi. „Ordo in mensa scriptoria, ordo in vita cottidiana”. Tak, myślał, na moim biurku zawsze panuje wzorowy porządek, ściśle wyznaczony z obu stron pustym marginesem dokładnie pięciu centymetrów. Moje życie jest uporządkowaną funkcją okresową, której minima - obżarstwo, pijaństwo i rozpusta - oraz maksima - głodówki, abstynencja i celibat - następują po sobie z matematyczną regularnością. Może dlatego nie cieszę się tym życiowym porządkiem, bo nie lubimy ograniczeń? Może dlatego wciąż pragnę ciepłego brudu i ponętnego chaosu?

Wszedł w końcu do gabinetu i spojrzał ze złością na zacienione biurko w nyży. Było ono zawalone segregatorami. Na jednym z nich stał od wczoraj talerz z nadgryzionym serdelkiem i resztką musztardy. Od serdelka oderwała się mucha i zatoczyła koło ciężkim lotem.

Znad tego biurka buchały kłęby dymu. Popielski poczuł, że ogarnia go wściekłość na Cygana, dla którego brud i nieporządek były środowiskiem naturalnym. Już chciał wziąć górne „c”, kiedy do jego nozdrzy doszedł zapach tytoniu. Za biurkiem nie siedział jego młody podwładny. On nigdy nie palił cygar Corona.

- Czekam tu na pana - Pidhirny wynurzył się z mroku nyży - dzięki uprzejmości pańskiego asystenta. Wpuścił mnie tu, posadził za swoim biurkiem i poszedł.

- Dlaczego chce pan rozmawiać ze mną właśnie tutaj? - Popielski nie ukrywał zdziwienia. - Coś pan sobie przypomniał? O czymś pan nie powiedział podczas zebrania? Jeśli tak, to do pana niepodobne! Jeśli nie, to przychodzi pan do mnie, aby mi coś wyjawić w tajemnicy. A to już jest niebezpieczne. - Uśmiechnął się. - I wygląda na konspirację przeciw Zubikowi.

- To nie wygląda. - Pidhirny zerwał się zza biurka i zaczął chodzić wokół krzesła na środku gabinetu. - To jest konspiracja.

- Przeciw Zubikowi?

- Już pan wie, komisarzu - Pidhirny przystanął i spojrzał Popielskiemu w oczy - z jakich powodów zależy mi na ujęciu sprawcy. Wie pan, że zrobię wszystko, aby ten zbrodniarz znalazł się u Brygidek. Zaryzykuję moją reputację, ale zrobię wszystko, co trzeba… A czy pan zrobi wszystko, aby go ująć? Czy jest pan w stanie sprzeciwić się

Zubikowi, którego pokrętne rozumowanie prowadzi nas na manowce?

- Proponuje mi pan sojusz przeciw Herodowi? Za plecami Zubika?

- Tak - Pidhirny nie spuszczał oczu z Popielskiego. - Proponuję panu sojusz i współdziałanie. Złapiemy go viribus unitis. Zastawimy na niego pułapkę. Wiem, jak to zrobić.

- Nie mogę z panem zawrzeć sojuszu, bo coś nas bardzo dzieli.

- Co mianowicie? Pochodzenie narodowe? Religia?

Popielski zdjął marynarkę i usiadł za swoim biurkiem. Na jego głowie wciąż tkwił kapelusz. Siedział w ciasnej kamizelce, której omal nie rozsadziła jego masywna pierś. Podwinął rękawy koszuli, ukazując mocne przedramiona pokryte gęstym włosem. Patrzył długo na doktora, kręcąc sygnetem wokół małego palca.

- Pan chce go wsadzić do Brygidek - powiedział cicho. - A ja… Ja chcę go wrzucić pod beton. Do Pełtwi. Do naszego lwowskiego Styksu. To właśnie nas różni. Fundamentalnie nas różni.

Pidhirny usiadł na krześle i oparł łokcie na kolanach. Przez długą chwilę patrzył w słabo już widoczny czerwony deseń na szarym wytartym dywanie.

- Przejęzyczyłem się. - Doktor nie spuszczał oczu z dywanu. - Dzisiaj rano zmieniłem zdanie. Już nic nas nie różni, komisarzu. Lwowski Tartar jest odpowiednim miejscem dla Heroda.

- Co się dziś stało, że zmienił pan doktor zdanie? - Popielski odchylił się na krześle, które mocno zatrzeszczało.

Medyk milczał. Mijały wolno minuty. Pod oknem rozległy się pijackie okrzyki, głośny płacz, ostry dźwięk gwizdka i szuranie podeszwami po chodniku. Pewnie jakiś wagabunda przesadził z porannym leczeniem kaca i nie chciał przyjąć do wiadomości, że noc już dawno minęła, a stróże prawa, którzy go ciągną do aresztu, nie podzielają jego Weltschmerzu.

- Nasz ewentualny sojusz - powiedział w końcu Popielski - uważałbym za sojusz rzeczywisty, nie taktyczny. Za pakt dwóch przyjaciół, którzy w razie kłopotów będą się nawzajem chronić. Jeśli pan też tak uważa, możemy rozmawiać dalej.

- Tak właśnie uważam.

- A przyjaciele, drogi doktorze, muszą mieć do siebie pełne zaufanie - Popielski wpatrywał się w ozdobę sygnetu, onyks, opatrzony jemu tylko znanym kabalistycznym znakiem. - Przyjaciele nie mogą mieć przed sobą tajemnic związanych ze sprawą, w której współdziałają. Zgadza się pan ze mną?

- No, to przecież oczywiste.

- Dlatego, zanim zastawimy pańską pułapkę na Heroda, proszę o szczerą odpowiedź na moje pytanie lub na kilka nawet pytań.

- Stawia mi pan warunki? - Pidhirny wstał gwałtownie, jakby szykował się do wyjścia.

- Mało tego - Popielski mówił bardzo powoli. - Możliwe, że szczerość, jakiej oczekuję, zmusi pana do złamania tajemnicy lekarskiej. Co pan na to?

Pidhirny zamknął oczy. Myślał o swoich nieudanych synach, z których jednego zakatowało NKWD, drugi zginął, walcząc pod Petlurą, a trzeci się wynarodowił. W swych myślach przeniósł się w czasie i ujrzał ich w latach chłopięcych: oto w czasie wigilii święta Jordanu siedzą grzecznie przy stole, w willi na ulicy Tarnowskiego, i wpatrują się w wodę święconą, w czosnkowe pampuchy i w kutię, a za oknem dziewczynki śpiewają szczedriwki. Wizja doktora jest niechronologiczna: o dziwo, obok nich siedzi jego czwarty, dwuletni dziś syn, którego matka była lekkomyślną tancerką rewiową i oddała dziecko na wychowanie pewnej rzemieślniczej rodzinie. Przypomniał sobie też scenę swojej promocji doktorskiej. Położył wtedy palce na drzewcach sztandaru cesarsko-królewskiego uniwersytetu w Czerniowcach i powiedział po łacinie: obiecuję i przyrzekam. Nie mógł sobie jednak teraz przypomnieć, co mianowicie obiecywał i co przyrzekał. Spondeo ad polliceor - tylko to brzmiało w jego uszach.

- Już i tak złamałem tajemnicę lekarską - powiedział cicho.

- Mówiąc o pijaństwie Janiny Markowskiej?

- Tak.

- Panie doktorze - Popielski zasłonił okno, w którym nieoczekiwanie pojawiło się trochę słońca - moje pytanie brzmi: co się stało z Janiną Markowską w nocy z poniedziałku na wtorek? Jest pod pańską opieką, no to musi pan o niej wiedzieć coś więcej niż ten… Flejtuch. - Wskazał głową na zabałaganione biurko aspiranta Cygana, który przesłuchiwał dziś Markowską. - O tym świadczy choćby pańska wzmianka o jej nadmiernej skłonności do alkoholu… Z całym szacunkiem dla pańskiej sztuki, muszę o to zapytać: dlaczego akurat pan, medyk sądowy, zajmuje się panią Markowską? Może to ona pana wybrała? W takim razie wie pan o niej dużo…

- Tak, wiem o niej dużo - mówił Pidhirny w zamyśleniu. - Zatelefonowała do mnie rano i zabrałem ją do szpitala, gdzie dyskretnie przesłuchał ją pan Cygan… Wiem, co się z nią stało w nocy z poniedziałku na wtorek… Muszę jednak mieć pewność, że pozostanie to tylko między nami.

- Pacta sunt servanda. - Popielski przestał kręcić sygnetem.

- Spotkała ją rzecz straszna - zaczął Pidhirny.

***

Obudziła się i otworzyła oczy. Jej syn wisiał w powietrzu. Jego usta, zamknięte wielką dłonią, nie wydały z siebie głosu.

Wstała gwałtownie z łóżka. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone. Zobaczyła nabrzmiałą szyję syna, na której zaciskały się czarne palce. Poczuła ciężki żelazny cios w plecy. Powietrze wtargnęło do jej płuc, lecz z nich nie wyszło. Brakowało jej tchu. Dusiła się jak po upadku piersią na beton. Po kilku sekundach wciągnęła powietrze ściśniętą krtanią. Jej żołądek podskakiwał. Wypity wczoraj alkohol w regularnych skurczach wypływał z jej ust.

- Twój syn będzie złożony w ofierze - usłyszała męski głos. - Inaczej być nie może. Inaczej to musiałbym złożyć własnego! Mam wybór między dzieckiem własnym a cudzym. Co byś wybrała?

Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Dławiła ją krew, wymiociny i jakaś dłoń miażdżąca jej wargi. Oczami, które prawie wychodziły z orbit, patrzyła na swojego syna, którego trzymał mężczyzna ubrany na czarno. Zatykał mu usta, a palce drugiej dłoni zaciskał na małej szyi. Ona sama nie mogła się ruszyć. Przygniatał ją wielki ciężar. Napastników było dwóch.

- Masz milczeć, bo inaczej uduszę tego szczeniaka - mówił cicho oprawca. - Patrz, co się z nim stanie, jeśli krzykniesz.

Zacisnął dłoń na szyi dziecka. Z nosa chłopca popłynęła krew zmieszana ze śluzem, w którym pękały małe bąbelki powietrza. Jego oczy pociemniały.

- Będziesz cicho? - oprawca zapytał prawie pieszczotliwie. - Daj znak oczami.

Kilkakrotnie zamknęła i otworzyła oczy. Chropowata dłoń zniknęła z jej ust i wsunęła się pod nocną koszulę. Zaciskała zęby, żeby nie krzyczeć ze wstrętu i z przerażenia. Czuła, że przygniatający ją człowiek powoli podwija śliski jedwab nocnej koszuli. Stojący nad nią oprawca puścił szyję jej syna, lecz drugą ręką wciąż zamykał mu usta. Oczy dziecka stały się przytomniejsze.

Nie mówiła nic. Czuła szorstki dotyk jakiegoś materiału na swym ciele. Ktoś sapał i lekko zaciskał zęby na jej uchu. Na pośladkach poczuła ostre paznokcie.

- No, nadstaw się mojemu synusiowi - powiedział oprawca - przecież widzisz, że sobie nie radzi. No, pomóż mu!

Do jej ucha spłynęła strużka śliny. Zęby zaczęły się zaciskać rytmicznie na jej małżowinie. Zagryzała wargi. Nie wytrzymała. W ciemnym pokoju rozległ się zduszony jęk bólu. Jej ucho zamieniało się w miazgę pod kłapiącymi zębami.

***

- Omal jej nie zabił. - Pidhirny patrzył w oczy Popielskiemu. - Omal nie odbił jej płuc. Zmieniłem zdanie. Dla Heroda i dla jego synusia jest miejsce w Pełtwi, nie u Brygidek…

- Dlaczego pan doktor nie powiedział o tym wszystkim na zebraniu u Zubika? - Popielski włożył do ust papierosa, lecz go nie zapalił.

- Poznałem panią Markowską rok temu. - Pidhirny zbliżył swą twarz do twarzy Popielskiego i owionął go nikotynowym oddechem. - Przyszła do mnie znękana, zrozpaczona kobieta. Pobita dotkliwie przez męża, szanowanego konstruktora, zamożnego inżyniera, ojca dwójki dzieci, pięknych i mądrych. Dzieci takich, które nigdy wstydu nie przyniosą swojemu tatusiowi, właścicielowi domku letniskowego w Brzuchowicach, niegdyś świetnemu kolarzowi. Prawdziwemu sportsmenowi. Nie przyniosą mu wstydu, a wie pan, dlaczego?

- Nie wiem.

- Bo raczej je zabije, niż dopuści do tego, by zszargały jego świetną opinię. Ten doskonały człowiek ma jeden defekt. Łatwo wpada w złość, a najczęściej dzieje się tak wtedy, gdy jego żona wymieni choćby jedno niewinne spojrzenie z innym mężczyzną. Wtedy chwyta za pas. Wie pan, co może w jej białym delikatnym ciele zrobić ciężka sprzączka od wojskowego pasa? Że może rozerwać i poszarpać skórę i tkanki? Że ta kobieta może przeżyć najpierw ból bicia, a potem ból oszpecenia?

Popielski przypomniał sobie, jakimi spojrzeniami on sam obdarzał panią Markowską na kinderbalu. Czy jego ekscytację widział jej mąż z ukrycia? Czy ściskał wtedy w ręku wojskowy pas?

- Zmaltretowana kobieta zażądała ode mnie ekspertyzy, aby wszcząć postępowanie rozwodowe - kontynuował Pidhirny. - Spełniłem jej prośbę, lecz inżynier wybłagał u niej przebaczenie. Dzisiaj rano ona mnie poprosiła, abym zatuszował wypadki poniedziałkowej nocy.

- Dlaczego?

- Bo została zgwałcona przez syna Heroda - wyszeptał doktor. - Choć gwałciciel nie zdołał osiągnąć spełnienia. A inżynier, gdyby się o wszystkim dowiedział, to by ją zatłukł na śmierć swoim pasem. Już pan wie, panie komisarzu, dlaczego nie mogłem o tym powiedzieć Zubikowi?

Pidhirny wstał i wyciągnął rękę do Popielskiego.

- A teraz czas na nas. Musimy zrobić coś, na co Zubik nigdy by się nie zgodził. Musimy zastawić pułapkę na Heroda. Musimy wystawić jakieś dziecko na przynętę. Musimy - nabrał tchu i powiedział dobitnie - wystawić na przynętę pańskiego wnuka.

Popielskiemu zdawało się, że fala dźwiękowa, która niosła te słowa, uległa uderzeniu o jakąś przeszkodę i rozerwała się na mniejsze fale, które były zlepkiem sylab. Sylaby te wibrowały w jego uszach, zwielokrotniały się i łączyły w osobliwe hybrydy. Powstawały z nich zestroje dźwiękowe, które nic nie znaczyły, lecz były jak huczące szerszenie.

Zerwał się zza biurka i chwycił doktora za klapy marynarki.

- A czemu ty nie wystawisz, hajdamako, swojego bękarta? - Popielskiemu zdawało się, że ma w głowie zamontowany potężny głośnik, który wzmacnia jego słowa. - Swojego ślicznego, dwuletniego dzieciątka?

- Nie wiesz wszystkiego o tej nocy. - Doktor uwolnił się i wciąż wyciągał rękę do Popielskiego. - Słuchaj, co mówię.

***

Leżący na niej mężczyzna zaczął drgać. Jego zęby zacisnęły się po raz ostatni na jej uchu. Ale już się nie rozwarły.

- Dlaczego, dlaczego mi to robisz, synusiu? - Głos oprawcy stał się płaczliwy. - Nie dałem ci dzisiaj tabletki… Zapomniałem…

Oprawca, wciąż trzymając Kazia za buzię, zbliżył się do kobiety, którą rytmicznie ugniatało bezwładne ciało epileptyka. W pokoju rozszedł się odór fekaliów.

- No co się patrzysz tymi ślipiami!? - wrzasnął oprawca i uniósł dłoń, w której trzymał jakiś duży przedmiot.

Na jaśniejszym tle balkonowego okna rozpoznała żelazko ze swojej garderoby sąsiadującej z letnią sypialnią.

- Wybiję ci te ślipia! - syczał napastnik. - Źle się nadstawiłaś synusiowi. I wtedy nadeszła padaczka. Ty jesteś winna!

Uderzył ją w plecy. Żelazo zabrało jej oddech.

- A Łyssemu to byś się lepiej nadstawiła, co? A on wcale nie lepszy od mojego synusia. - Uderzył. - On będzie jeszcze skamlał. - Uderzył. - Kiedy zobaczy w moich rękach swojego wnuka. - Uderzył.

***

- Widzi pan. - Pidhirny wciąż wyciągał rękę. - On wyznaczył sobie cel. Jeśli pan go nie złapie, narazi pan swojego wnuczka na cierpienie. A złapać go możemy tylko w jeden sposób. Wiemy, kogo on sobie upatrzył, w kogo będzie chciał uderzyć. W pańskiego wnuczka.

Popielski odrzucił wyciągniętą dłoń Pidhirnego i sięgnął po telefon. Medyk pociemniał na twarzy ze wściekłości, a potem bez słowa opuścił pomieszczenie.

- Won stąd! - krzyknął za nim Popielski i stuknął dłonią w widełki. - Mówi Popielski, telefon będzie tajny. Winniki 23 - zaordynował policyjnej telefonistce.

- Halooo - usłyszał po chwili. - Aparat mówi, że łączą mnie z policją. To pan, panie kumisarz?

- Drugie życzenie do złotej rybki.

- Złota rybka słucha.

- Ochrona mojej córki i wnuczka. Przez całą dobę. Od tej chwili. Mieszkają w kamienicy…

- Wiemy, gdzie mieszkają. Złota rybka spełnia prośbę. Za pięć minut będą najlepiej chronionymi ludźmi we Lwowi.

- Na wszelki wypadek zamknę ich w domu - powiedział do siebie Popielski, odłożywszy słuchawkę. - Twoje słowo, gudłaju, jest tak cenne jak pręt, którym zdzieliłeś mnie przez łeb!

***

Dochodziła północ. Popielski siedział przy barze w Sali Zielonej u Atlasa i wpatrywał się w lustro powieszone nad rzędem butelek pod takim kątem, by każdy gość mógł dobrze w nim widzieć i siebie, i salę. Przeznaczenie tej częstej ozdoby barów stanowiło dla Popielskiego pewnego rodzaju łamigłówkę w chwilach nudy. Bawił się bowiem wtedy problematem, czy lustra te wiesza się w celu estetycznym, poznawczym

czy też są one skutkiem ślepej mody. Ważył argumenty za i przeciw i zwykle przychylał się do pierwszej lub ostatniej hipotezy. Dzisiaj przemyślenia te jednak Popielskiemu nie pomagały. Nie bawiły go. Dzisiaj nuda i frustracja były zbyt duże.

Wypił czwartą pięćdziesiątkę monopolowej i nabił na wykałaczkę kapelusz marynowanego podgrzybka. Zwykle do wódki bardzo mu smakowały grzyby, śledzie, kiszone ogórki i sznycel na zimno. Dzisiaj nie smakowało mu nic prócz wódki samej, która była - jak zawsze - niezawodna i przewidywalna. Niczego nie obiecywała prócz chwilowego raju upojenia i długiego piekła kaca. Stawiała sprawę jasno: wystawię ci jutro rachunek tak wysoki, jak wielkie będzie twoje szczęście dzisiaj. Zdanie to było prawdziwe, bo alkohol operował logiką dwuwartościową „prawda - fałsz" także w odniesieniu do przyszłości. To była logika zdeterminowana, ponieważ przyszłość była jasno zdeterminowana przeszłością.

Popielski odchylił się na stołku barowym i zapalił papierosa. Jaka szkoda, myślał, że nie cała przyszłość pozwala się umysłowo zdeterminować, zwłaszcza w pracy detektywa. Mógłbym czekać całymi tygodniami, byleby tylko nic nie robić i otrzymywać wynik „prawda - fałsz". Napełniłbym jakąś maszynę myślącą danymi kapeluszników i zadałbym jej pytanie: czy człowiek o danym rysopisie kupował u was melonik? Po upływie pewnego czasu otrzymałbym wynik: fałsz - żaden człowiek o danym rysopisie nie kupował u nas melonika. Owszem, tego samego dowiedziałem się dzisiaj po licznych telefonach i odwiedzinach u lwowskich sprzedawców. Ale ileż to nadziei przy tym straciłem! Przepełniony nią gnałem od jednego do drugiego sklepikarza, który w ostatnich dwóch miesiącach sprzedał choć jedyny niemodny już dziś melonik! A potem każdy taki kapelusznik wpatrywał się aż do łez w kartkę z portretem pamięciowym i kręcił przecząco głową. Wtedy pojawiała się sucha niemoc, uporczywa myśl o rezygnacji. Nadzieja wypływała ze mnie - kropla po kropli. Maszyna analizująca dane pozbawiłaby mnie nadziei w jednej chwili, obcięłaby mi łeb jednym ciosem, a nie wypuszczała powoli krwi! To byłoby znacznie lepsze. Sztuczny automaton byłby - contradictio in adiecto - bardziej humanitarny niż świat, w którym muszę działać. Poza tym, wrzuciwszy tam dane, nie miałbym poczucia absurdu moich działań. No bo co z tego, że jakiś sprzedawca rozpozna na rysunku Heroda? Czy to rozpoznanie pomoże mi ująć zbrodniarza? Który to subiekt pyta klienta o tożsamość i adres? Żaden! Mijają lata, westchnął, a ja wciąż głupieję. Zubik kazał zrobić głupstwo, no to Popielski je robi! A taki automaton odpowiedziałby na wszelkie pytania, nawet na te najgłupsze. A ja bym poznał wynik i nie siedziałbym teraz w tej knajpie i nie zadręczał się daremnymi pytaniami nad kieliszkiem mętnej gorzały, która mnie jutro upokorzy!

Wskazał barmanowi pusty kieliszek, a kiedy ten go napełniał, Popielski otworzył notes. Odpiął od niego wiecznego waldmanna i jeszcze raz odfajkował wszystkich lwowskich wytwórców i sprzedawców kapeluszy w liczbie trzydziestu trzech. U dwunastu z nich w ciągu ostatnich dwóch miesięcy sprzedano piętnaście meloników, lecz żaden klient nie wyglądał jak ten na portrecie pamięciowym.

Kiedy te informacje odfajkowywał po raz pierwszy, kilka godzin temu, poczuł ulgę. Uświadomił sobie wtedy, że teraz może wstąpić na właściwą i rutynową drogę policjanta: wejść w ponure podwórka, wspiąć się na przegniłe schody, zatupać po chwiejnych galeryjkach, załomotać w drzwi i wyciągnąwszy z melin swych szpicli, podsunąć im pod

mordy portret Heroda. Jednak na myśl o wąchaniu miazmatów lwowskich zaułków zrobiło mu się niedobrze i wpadł na pomysł, aby wcześniej stępić swój zmysł powonienia wódką u Atlasa. Był to błąd. Wódka bowiem nie tylko stępiła jego węch, lecz również wolę jakiegokolwiek działania.

Spojrzał w lustrze na siebie. Kiedy był młodym człowiekiem, unikał alkoholu, bo wstrętna mu była myśl, iż może wyglądać i zachowywać się tak jak inni pijacy: idący chwiejnie, całujący się wylewnie, bełkocący i wykrzywiający swe gęby. A teraz widział odbicie swojej własnej wykrzywionej i zaczerwienionej twarzy oraz łysiny pokrytej kropelkami potu. Odepchnął wódkę, rozlewając ją po blacie baru. Musiał uciec od tego widoku. Choćby w wilgotne zaułki, by wyrwać tam swych szpicli ze słodkiego smrodliwego snu.

Ciężko wstał, zastukał po barze monetą jedno-i dwuzłotową, włożył melonik i poprawił krawat. Potem ze wstrętem, jakby w akcie sadyzmu, odsunął talerz z zakąskami.

- Nie smakowało ci, Edwardzie? - usłyszał kobiecy głos.

Za nim stała Leokadia. Ubrana była w dopasowany wiśniowy kostium, który uwydatniał jej figurę - niespotykanie zgrabną u kobiet po pięćdziesiątce. Mimo woalki widział jej ironiczny uśmiech.

- A w domu czeka na ciebie kolacja. Sama ją zrobiłam i czekałam na ciebie. Skończyłeś pracę dwie godziny temu.

- Chodźmy stąd. - Podał jej ramię.

Parowała wilgoć, pozostawiona przez popołudniowy ulewny deszcz. Rynek spowijała lekka mgła. Ratusz dostał miękkich, obłych konturów. W kałużach podwajały się światła gazowych latarń i jasnych sklepowych ekspozycyj. Było pusto, sennie i duszno. Szli powoli. Dobrze im się milczało.

- Mężczyźni są religijni z natury - Leokadia przerwała to milczenie. - Wszystko, co robią z przekonania albo z powołania, zaraz zamieniają w żarliwą konfesję, w jedynego bożka, którego czczą.

- A kobiety to nie?

- Kobiety tym się różnią od mężczyzn - wyczuł, że uśmiecha się pod woalką - że potrafią czcić kilku bożków jednocześnie. Męża, dziecko, posadę…

- Czyli kobieca żarliwość jest słabsza - zauważył. - Bo się rozkłada na kilka obiektów czci, a męska trafia wyłącznie w jeden.

- Użyłabym porównania z zakresu współczesnej fizyki. - Leokadia z obawą spojrzała w niebo, z którego zaczęło kropić. - Męska żarliwość jest jak fala, kobieca zaś jak małe cząstki. A światło wciąż jest światłem, nieważne, czy przyjmuje postać fali czy też cząstek.

- Nie wiedziałem, że się interesujesz fizyką. - Popielski aż przystanął. - Myślałem, że tylko bridżem i literaturą francuską.

- Wiedziałbyś - roześmiała się Leokadia, a jej kuzyn poczuł od niej alkohol - gdybyś po usamodzielnieniu się Rity nie poświęcał się jedynie bożkowi policji. Gdybyś zwrócił

uwagę na członków rodziny, którzy ci pozostali.

- To nie jest mój jedyny idol, Lodziu - powiedział powoli. - Ale ten jest ślepym, nienawistnym bałwanem, który wciąż się domaga adoracji. I dobrze, że mnie dzisiaj od niego wyrwałaś.

Przeszli przez Wały Hetmańskie i wkroczyli w ulicę Obrony Lwowa. Przestało już kropić. Z bramy, w której się mieściła drukarnia Ars, wyszli dwaj młodzi ludzie, którzy kłócili się o jakąś nieudaną korektę.

- No, to powiedz teraz, czemu do mnie przyszłaś do Atlasa - zapytał Edward, kiedy doszli do Poczty Głównej.

- Są dwie sprawy do załatwienia. - powiedziała Leokadia, nie odpowiadając na jego pytanie. - Musisz jutro, najpóźniej pojutrze, podpisać akt notarialny wynajmu nowego mieszkania.

- Dobrze. A druga sprawa?

- Zapłacić majstrowi Bukiecie za remont. Mam nadzieję - spojrzała na niego krytycznie - że masz rachunek, który ci rzuciłam dzisiaj z okna Rity. Byłeś w tym samym ubraniu, które jest, o dziwo, dość czyste i nie muszę go, Gott sei dank, oddawać do pralni. Powinieneś pracować w fartuchu roboczym, a nie w garniturze od Jabłkowskich.

- Mam rachunek. - Popielski wyciągnął kawałek papieru i uważnie go czytał w świetle latarni - Czyżby mnie chciał oszukać? - szepnął.

- Kto? Majster Bukieta? Co jest dziwnego w tym rachunku? - Leokadia nieco się zirytowała. - Czy ty zawsze musisz być podejrzliwym policjantem? Nawet kiedy czytasz rachunki od malarza i hydraulika?

- Bukieta kupuje jakąś najwspanialszą farbę na świecie. - Popielski wzniósł oczy znad rachunku i niewidzącym wzrokiem spoglądał na wejście do Ogrodu Jezuickiego. - Farbę, która kosztuje pięć złotych za litr! Drogo będziemy mieli to mieszkanie pomalowane! Jak pałac w Knossos! Nie, nie żebym żałował, ale nie sądzisz, Lodziu, że pięć złotych za litr farby to trochę zanadto? W czasach, gdy wszystko jest takie tanie?

- Co jest tanie? - Leokadia gwałtownie podniosła woalkę. - Co ty możesz wiedzieć o cenach, kiedy mi dajesz na życie i ja zajmuję się wszystkimi sprawunkami? Wiesz, ile kosztuje kilogram cukru? Ile kosztuje wypranie i reperacja twojego ubrania? Ile płacę za magiel? Ty wiesz tylko, ile kosztują papierosy, gazety, książki na Krakidałach, wódka i zakąski. Powiadają też na mieście, że doskonale się znasz na cenach za inne jeszcze usługi! To tylko wiesz!

- Mówiąc „tanie” - Popielski stłumił irytację - miałem na myśli różne narzędzia! Wyobraź sobie, że wiem, ile kosztuje kilof!

- No ile? - Leokadia drwiąco się uśmiechała.

- Złotówkę!

- To chyba w wypożyczalni narzędzi! Bo w sklepie Rozumowskiego kosztuje minimum osiem złotych! Takie to wszystko tanie, że nawet uznani majstrzy, tacy jak Bukieta, czasem coś wypożyczają. A co ty w ogóle wiesz o cenach!

Popielski wyciągnął rękę, oparł się o mur, zdjął melonik, a głowę opuścił ku ziemi. Na jego łysinę padało światło księżyca. Leokadia nieoczekiwanie zadała sobie w duszy pytanie, czy i księżyc ma cząsteczkowo-falową naturę. Wtedy Popielski uderzył się dłonią w czoło. A potem pocałował Leokadię w oba policzki. Wiedziała, że uczynił to nie z sympatii, lecz z wdzięczności. Za jakąś myśl, za jakąś wskazówkę śledczą, którą mu nieświadomie podsunęła.

- Mężczyźni to natury religijne - powtórzyła swoje najgłębsze przekonanie. - I samolubne - dodała, patrząc, jak jej kuzyn pozostawia ją na środku ulicy, skręca w lewo i szybkim krokiem idzie w stronę komendy policji, by tam złożyć hołd ślepemu bałwanowi.

***

Antoni Kocybała był stróżem posesji przy Łyczakowskiej 6. Miał lat sześćdziesiąt, choć wyglądał na dużo więcej. Jego kiepski wygląd był spowodowany nieustannym deficytem snu, który wynikał z trzech jednocześnie uprawianych przez niego profesyj. Oprócz fachu dozorcy i nocnego stróża Kocybała wykonywał jeszcze jeden zawód, idealnie trafiający w zapotrzebowanie alkoholowe okolicznych batiarów. Kiedy bowiem zamykano ostatnie knajpy na Łyczakowie, a zwykle było to około pierwszej w nocy, złorzeczący pijacy poszukiwali wódkopoju. Znajdowali go w dwóch miejscach - albo w piwnicznych spelunach, znanych tylko wtajemniczonym, albo u nielegalnych sprzedawców. Pokątny handel alkoholem stał się chlebem powszednim stróżów kamienic, ponieważ pracownicy ci byli idealnie stworzeni do tej profesji. Po pierwsze, i tak w nocy mało co spali, po drugie - klienci wprost z ulicy mogli zastukać w okno stróżówki i kupić towar, po trzecie w końcu - pijani wagabundzi byli trzymani z daleka od podwórek i drzwi mieszkań, dzięki czemu nie zakłócali nocnego spokoju obyczajnym mieszkańcom, którzy byliby skłonni zaraz donieść policji o hałasach i podejrzanym procederze.

Antoni Kocybała, jak wielu jego łyczakowskich kolegów, uprawiał zatem trzy zawody: był dozorcą, stróżem nocnym oraz prowadził tajny wyszynk. To zajęcie było bardzo intratne i dzięki niemu Kocybała mógł kształcić swoich trzech synów w szkole majstrów budowlanych, swe dwie córki zaś w szkole ekonomiczno-handlowej, a samemu dwa razy w miesiącu wybrać się na Mostki, by tam pić na umór i brać do dyskretnego pokoiku na zapleczu pulchne dziewczęta - w jakich szczególne miał upodobanie. Interes Kocybały był tolerowany przez policjantów z pobliskiego komisariatu IV, którzy zaglądali do stróża zawsze po jakiejś większej kradzieży lub po napadzie i pytali wtedy o hojność i rozrzutność klientów z półświatka. W ten sposób mogli nabrać podejrzeń co do ewentualnych sprawców, którzy u Kocybały szastaliby pieniędzmi. Policjanci odwdzięczali się stróżowi przymykaniem oka na jego świetnie prosperujący interes. Dozorca wiedział jednak, że policyjna łaska na pstrym jeździ koniu i że jest ograniczona właściwie tylko do ludzi z komisariatu IV. Dlatego widok obcych stróżów prawa wzbudzał w nim zawsze paniczny lęk. Obcy gliniarze byli bowiem nieprzewidywalni. A najbardziej nieprzewidywalny był ten, który właśnie dobijał się do jego okienka. Choć nie miał na sobie policyjnego uniformu, każde łyczakowskie dziecko dobrze wiedziało, kim jest ten łysy, ponury mężczyzna.

Majster malarski i budowlany Teodor Bukieta spał - w odróżnieniu od swego stróża -

snem kamiennym. Już dawno zauważył, że śpi tym mocniej, im więcej ma na sumieniu. Pojęcie czystego czy brudnego sumienia miało jednak w wypadku majstra Bukiety znaczenie jedynie obiektywne. On sam uważał się za uczciwego. Oszukiwał nagminnie, lecz tylko tych, którzy byli bogaci i - w jego mniemaniu - sami powinni się dzielić z biedniejszymi bliźnimi, a zwłaszcza z nim samym. Oszukiwał ponadto najdotkliwiej tych bogaczy, którzy okazywali jawną nieznajomość zagadnień technicznych i budowlanych. Czuł bowiem, że tacy właśnie klienci najmocniej nim gardzą. „Nie znam się, bo jestem stworzony do wyższych celów, nie muszę się brudzić wapnem jak ty, nędzny parobku” - tak majster interpretował wszelką techniczną ignorancję, okazywaną mu przez zleceniodawców. I wtedy, rozdrażniony domniemanym lekceważeniem, zawyżał zamówienia, kupując więcej materiału niż to, co było potrzebne. Nadwyżkę później spieniężał, a uzyskane w ten sposób dochody bez najmniejszych wyrzutów sumienia przegrywał na gonitwach konnych na Persenkówce. Zleceniodawcę okazującego fachowe rozeznanie Bukieta szanował jak swojego brata, a brata wszak nie godziło mu się okradać, choćby ten był bogaty.

Kilka dni wcześniej wynajęła go pewna dama z wyższych sfer. Majster ze zdumienia przecierał oczy. Ta kobieta nie dość, że znała się dobrze na sprawach budowlanych, to jeszcze miała śmiałość uważać niektóre jego propozycje za zawyżone! Ponadto - mimo zaawansowanego wieku - była niebrzydka, elegancka i dystyngowana, co - w połączeniu z jej samodzielnością i zdecydowaniem jakoś dziwnie Bukietę ekscytowało. Postanowił ją zatem wykorzystać, po pierwsze - dla zasady, iż żadna baba nie będzie nim pomiatała, a po drugie - poniżyć ją w swoich oczach, co miało dla niego znaczenie wpółerotyczne. I tak, przystąpiwszy do remontowania jej dużego mieszkania na Ponińskiego, kupił w Rynku u Sudhoffa pięć wiader farby malarskiej, podczas gdy cztery to już byłoby zanadto. Odczuł później duży niepokój, kiedy jednemu z jego pracowników wypsnęło się - bez związku zresztą z tym szwindlem - że ich zleceniodawczyni jest kuzynką Łyssego, z którą ten najpewniej „żyje na wiaderku”. Ten niepokój nie burzył jednak Bukiecie dzisiejszego snu, ponieważ majster tym lepiej spał, im więcej miał na sumieniu.

Tej nocy śniło mu się, że jego drzwi skrzypią przeraźliwie. Ten inwazyjny dźwięk stawał się coraz szybszy, jakby ktoś kręcił korbą nienaoliwionej katarynki. Drzwi latały jak opętane w jedną i w drugą stronę. Wiatr, przez nie wytworzony, owiewał twarz śpiącego.

Otworzył oczy. To nie był sen. W drzwiach nyży sypialnej stały trzy osoby: jego żona Aniela, stróż Kocybała i jeszcze ktoś, kto machał jednym skrzydłem drzwi. Bukieta przetarł oczy i uważnie się przyjrzał tej trzeciej osobie. Nagle poczuł skurcz krtani i wilgoć pod pachami.

- Nawet zwierz nie usnąłby w takim zaduchu. - Łyssy wachlował drzwiami nieruchome powietrze nyży, a w wyciągniętej dłoni trzymał jakiś rachunek.

Majstrowi Bukiecie zrobiło się równie słabo jak przed chwilą dozorcy Kocybale.

***

Po kwadransie Bukieta i Kocybała siedzieli w stróżówce nad flaszką bimbru.

- Ten Łyssy to jakiś ni tyn tegu. - Kocybała wypisał sobie palcem kółko na czole. - Żeby tak przyjść do ciebi, Tośku, i płacić zaległy rachunki pu nocy!

- Hopy są hopy. - Bukieta rozlał do kieliszków. - Ja ta mogi i w nocy wziąć! Ali żeby tak w środku nocy o kilof pytać! I o jakiś wypożyczalni narzędziowy!

- Dobrzy, że o nic więcyj nie pytał. - Kocybała odetchnął z ulgą i uniósł kieliszek.

- Ja z pulicajim to miał do czynienia wieli lat temu, kiedy pod charą kopnął w dupy jakieguś szmajdełesa. - Bukieta odetchnął również. - No to siup, tatu złoty, w tyn głupi dziób!

Dochodziła druga. Godzina potajemnych schadzek w burdelach i pijackie apogeum w tajnych mordowniach. O tej godzinie porządni małżonkowie już dawno śpią, a nieporządni zdobywają lub przekazują syfilityczne szlify. O tej godzinie zmęczone gruźlicze kurwy na Mostkach tracą resztki nadziei na klienta, stare mendy w melinach, bezużyteczne i zobojętniałe, zaglądają pijakom w oczy, niepokorni studenci i rusińscy radykałowie w bełkotliwych tyradach obalają ład społeczny, zgrani do nitki hazardziści stoją w ciemnych bramach z przystawionym do skroni pistoletem, a chorzy, rozjątrzeni bezsennością policjanci prowadzą swe beznadziejne śledztwa.

Popielski gnał chevroletem przez nocne miasto i uśmiechał się do siebie. On lubił tę godzinę lwowskich odszczepieńców.

***

Komisarz zaczął od składu maszyn przy ulicy Piekarskiej 13. To był - oprócz spółdzielni Narzędzia na Kazimierzowskiej - pierwszy z dwóch tropów podanych mu przed chwilą przez majstra Bukietę.

Popielski zaparkował i nie wychodząc z auta, uważnie zlustrował budynek. Był bardzo misternie i symetrycznie zaprojektowany. Wyglądał tak, jakby do głównej bryły doklejono parterowy budynek zwieńczony z obu stron dużymi tarasami. Policjant wysiadł i przeczytał szyld nad bramą. „Al. Sokalski. Maszyny i narzędzia”. Napis na witrynie informował, że skład i sklep oferują „armatury, pompy, wszelkie rury gazowe i wodociągowe oraz narzędzia, maszyny i artykuły techniczne dla różnych gałęzi industrji”. O wypożyczaniu narzędzi nie było jednak ani słowa.

Przeszedł się wzdłuż zasuniętych żaluzyj na drzwiach i oknach, a potem skręcił w podwórko. Z prawej strony były drzwi, które mogły być bocznym wejściem do składu. Nie znalazł przy nich jednak żadnego dzwonka. Zapalił zapalniczkę i w jej świetle przyjrzał się krytycznie drzwiom. Były pobrudzone jakimiś smarami i zardzewiałe. Nad nimi widniał napis „Wejście służbowe”. Wrócił do samochodu i wyjął z niego egzemplarz „Wieku Nowego”, który tam zostawił był w niedzielę. Owinął gazetę wokół dłoni i zabezpieczoną przed zabrudzeniem pięścią walnął kilkakrotnie w drzwi. Prawie natychmiast usłyszał szczekanie dużego psa i kroki. Drzwi uchyliły się nieco i w szparze, zagrodzonej łańcuchem, ujrzał młodego człowieka w służbowej czapce, a za nim dużego warującego wilczura. Młody strażnik przyjrzał się znaczkowi Popielskiego, wciągnął dokądś psa i krzyknął nań ostro. Potem wpuścił policjanta do środka.

Znajdowali się w małym korytarzyku, z którego kilka schodków prowadziło do dużej sieni wypełnionej skrzyniami. Z lewej strony była stróżówka, w której stała lampa biurkowa. Stanowiła ona jedyne źródło światła w ciemnym wnętrzu.

- Niech mi pan powie, z łaski swojej - Popielski z zainteresowaniem spojrzał na otwartą książkę leżącą w świetle lampy - czy w tym składzie wypożycza się również narzędzia.

- Nie wiem - odparł portier. - Trzeba by o to zapytać szefa, pana Sokalskiego. On jednak pracuje w normalnych godzinach. Ja sam nic nie wiem, ja jestem od pilnowania. Rano wychodzę, a wracam wieczorem. Nikogo nie widzę oprócz mojego zmiennika.

- Jak się pan nazywa?

- Jerzy Grabiński, student. Pracuję tutaj po wykładach.

- Proszę pokazać mi drogę do kantoru. - Popielski zauważył, iż książka, którą czyta młody portier, to gramatyka łacińska, otwarta na rozdziale „Syntaksa”.

- Proszę, tędy - powiedział młodzieniec, przekręcił włącznik światła i ruszył przodem.

Popielski wspiął się po schodkach za swoim cicerone i po chwili wraz z nim znalazł się w małym kantorze pomalowanym od góry do dołu żółtą farbą olejną. Ten osobliwy kolor, wywołujący u Popielskiego asocjacje kloaczne, miał chyba rozjaśniać małe pomieszczenie, którego zakratowane okienko wychodziło na podwórze. Teraz zaś ta barwa była przytłaczająca. Gdyby tak pomalowano jego policyjny gabinet, już by tam nigdy nie zajrzał w obawie przed nerwowym rozstrojem.

Na środku tłoczyły się trzy stoły zawalone papierami, kalkami kopiowymi i szklankami z herbacianym zaciekiem. Na parapecie stała oblepiona brudem maszynka spirytusowa. Pracujący tu kanceliści byli równie wielkimi miłośnikami porządku jak aspirant Stefan Cygan.

- Niech pan wraca do swojego czworonożnego przyjaciela - Popielski uśmiechnął się do studenta, słysząc wycie i szczekanie dobiegające ze stróżówki - a ja tu się trochę rozejrzę. Muszę przejrzeć kilka tych szaf.

- Ależ ja nie wiem… Muszę chyba zatelefonować do pana Sokalskiego… A jest wpół do trzeciej…

- Choćby się waliło i paliło, młodzieńcze - komisarz zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu jednego z krzeseł, a na rękawy koszuli wsunął walające się po stole zarękawki - to i tak przejrzę zawartość tych szaf. Teraz lub później. A ty masz dwa wyjścia. Wyjście pierwsze. Dzwonisz do swojego pryncypała, budzisz go w środku nocy i dostajesz reprymendę, że wpuściłeś mnie tutaj bez nakazu rewizji. Wyjście drugie. Wracasz w uporządkowany świat gramatyki łacińskiej i zgłębiasz dalej coniugatio periphrastica passiva.

- O, gdybyż on był taki uporządkowany, jak pan mówi. - Student uśmiechnął się i wyszedł z kantoru, wzywany wyciem psa.

Pół godziny później Popielski zdjął zarękawki, włożył marynarkę i kapelusz. Zapalił

papierosa, odchylił się na krześle, splótł dłonie na karku i wypuścił kłąb dymu w stronę sufitu.

Firma Al. Sokalski najwyraźniej nie wypożyczała narzędzi. Popielski nie znalazł na to w buchalterii żadnych faktur ani paragonów. Skąd zatem majstrowi Bukiecie przyszła do głowy ta informacja? Mógł kłamać, aby się pozbyć nocnego gościa. Byłoby to jednak nierozsądne. Wystarczyłoby mu przecież powiedzieć „nie wiem”. Jeśli zaś Bukieta nie kłamał i firma Al. Sokalski rzeczywiście wypożycza narzędzia, to dokumentacja wypożyczeń i zwrotów musi być gdzie indziej.

Wstał ciężko i wyszedł z kantoru. Kiedy zbliżył się do stróżówki, pies zawarczał ostrzegawczo i obudził portiera, który spał, oparłszy czoło na słowniku łacińskim. Popielski czekał przez chwilę, aż Grabiński oprzytomnieje.

- Szukam jeszcze innej dokumentacji. Innych segregatorów. Są gdzieś tutaj? Czy coś panu o tym wiadomo? Muszę znaleźć człowieka, który przedwczoraj wypożyczał kilof!

- Ja nie wiem! - odparł Grabiński i mocno walnął pięścią w otwartą książkę. - Daj mi pan spokój, panie władzo! Ja nic już nie wiem!

- Nad czym się pan tak mozoli? - Popielski przekręcił głowę i odczytał nagłówek w otwartej książce. - Commentarii de bello Gallico. Męczy się pan nad Cezarem?

- Tak, nad przeklętą łaciną! Nad przeklętą mową zależną! - Student spojrzał na Popielskiego z wściekłością znad drucianych okularów. - I nie wiem nic o żadnych dodatkowych segregatorach! Wiem tylko jedno. Do egzaminu z łaciny zostało mi pięć godzin, a ja nie mogę znaleźć w słowniku jakiegoś idiotycznego słowa!

- Może panu pomóc? - Popielski zgasił niedopałek w dużej popielnicy.

- Ten zwrot to spe sublata. - W oczach studenta zabłysło zniecierpliwienie. - Nie mogę znaleźć tego cholernego sublata. W tłumaczeniu jest - stuknął palcem w mały nielegalny bryk tępiony zaciekle przez nauczycieli gimnazjalnych - „odjąwszy sobie nadzieję”. Czyli sublata to participium perfecti od jakiegoś czasownika, który znaczy „odjąć”. Ale od jakiego, do diabła? Nie znam takiego słowa! Nie ma takiego w słowniku!

- Tollo, tollere, sustuli, sublatum. - Popielski uśmiechnął się. - Participium formuje się od innego pierwiastka. Straszne słowo, wiem. Ręce opadają. Kiedy przerabiałem Cezara w piątej gimnazjalnej, przejrzałem cały słownik w poszukiwaniu tego czasownika. Stronica po stronicy. I znalazłem. Bo ja jestem uparty i wszystko w końcu znajduję. Nawet wtedy, a zwłaszcza wtedy, kiedy już jest za późno.

Student szybko sprawdził czasownik w słowniku i odetchnął z ulgą. Przetarł okulary i pogłaskał psa.

- Został mi tylko jeden rozdział do powtórzenia - powiedział z radością. - Dziękuję, panie komisarzu.

- Dokumentacja. - Popielski oparł łokcie na pulpicie, wywołując groźny pomruk psa. - Potrzebna mi jest dokumentacja wypożyczeń narzędzi. Nie ma jej w kantorze. Może jest gdzie indziej?

- Nic nie wiem. - Grabiński pokręcił głową.

- Niech pan do mnie zadzwoni - Popielski wyjął waldmanna i na pogniecionym egzemplarzu „Wieku Nowego” napisał swój domowy numer telefonu - jeśli pan się dowie czegokolwiek w sprawie kartoteki wypożyczeń. A ja się panu odwzajemnię jakąś wskazówką leksykograficzną albo gramatyczną. Wie pan na przykład, od czego pochodzi perfectum „tetigi”?

Popielski wskazał na ten wyraz w tekście Cezara, wyszedł ze składnicy i zagłębił się w ciemność bramy przelotowej. Grabiński nie zamykał za nim drzwi.

- Chodzi panu o kilof? - Komisarz usłyszał głos portiera. - Kto ostatnio wypożyczał kilof?

- Tak. - Popielski odwrócił się gwałtownie.

- To my wypożyczamy - powiedział Grabiński.

- Kto?

- My, portierzy. Nie zawsze wystawiamy kwity. Dorabiamy sobie. Dlatego wolimy o tym milczeć, zwłaszcza gdy pyta władza.

Popielski ruszył na strażnika i chwycił go za krawat. Pociągnął go za sobą na ulicę. Za drzwiami wył pies i drapał pazurami w żelazo.

- Czy to ten człowiek wypożyczał kilof? - Popielski wyciągnął portret pamięciowy Heroda i podsunął go Grabińskiemu pod oczy.

- Tak - stęknął po dłuższej chwili student i poluzował sobie krawat zaciśnięty przez policjanta. - I wczoraj oddał. Oto kwit z adresem.

Popielski patrzył przez dłuższą chwilę na kawałek pogniecionego papieru.

- Od tango - powiedział Popielski jakby do siebie. - Forma tetigi to perfectum od tango, tangere, tetigi, tactum. Dziękuję, młodzieńcze!

Ten już nie usłyszał. Siedział w swym kantorze i kartkował Cezara. Komisarz zapuścił silnik. Dochodziła trzecia w nocy. Lwowscy odszczepieńcy udawali się na spoczynek.

***

Chevrolet jechał powoli ulicą Gródecką w stronę dworca, prowadzony pewną ręką posterunkowego Michała Hnatyszaka z komisariatu IV. Umundurowany policjant mało czemu się dziwił i wykonywał dokładnie polecenia zwierzchników. Był sumienny i niezbyt lotny. Tę pierwszą cechę okazał, gdy kilka minut po trzeciej zjawił się w komisariacie na Kurkowej słynny komisarz Popielski i kazał się wieźć w stronę dworca, na plac Unii Brzeskiej.

Nie śpieszył się wcale do mieszkania człowieka, który przedwczoraj wypożyczył kilof ze składnicy Sokalskiego. Dłoń z papierosem wystawił za otwarte na oścież okno, którym wpadało ciepłe późnowiosenne powietrze i owiewało łysą głowę. Pogwizdywał melodię, która zawsze brzmiała dla niego jak triumfalne fanfary. W taktach wybijanych dłonią po karoserii słychać było Marsz Radetzkiego.

Delektował się zapachem czystego miasta. Zostało ono niedawno zmyte gwałtownym deszczem, który - jak oznajmiał świeżo zakupiony „Lwowski Kurier Poranny” - miał jeszcze w ciągu najbliższych dni kilkakrotnie nadejść znad Karpat. Zapach ozonu zawsze go ekscytował, może dlatego, że przywoływał pewne wspomnienia erotyczne z wiedeńskiego parku Schweizer Garten, w którym umawiał się na schadzki z pewną czeską służącą. Jego myśli krążyły teraz wokół kobiecych ciał i rozkoszy, jakich od nich zaznał. Te erotyczne asocjacje były zresztą ściśle złączone z jego obecnym stanem ducha. Za moment miał bowiem ująć Heroda, a ten finał - podobnie jak cielesne apogeum - był tym szczęśliwszy, im bardziej opóźniony. Tak jak podczas zabaw z dziewczętami w salonce kolejowej nieśpiesznie zbliżał się do celu i kontrolował w pełni tempo swych reakcyj, tak i teraz z pełną świadomością delektował się - jak daniem głównym - swoją władzą nad Herodem i odsuwał od siebie deser, jakim miało być jego ujęcie lub zabicie. Tak to wszystko porównywał i co chwila stukał w plecy Hnatyszaka, aby ten zwolnił.

- Nie wiesz, przyjacielu - uśmiechał się do posterunkowego, który nie okazywał ani żadnej wesołości, ani najmniejszego zrozumienia tego, co się do niego mówi - że im wolniej, tym przyjemniej?

W końcu Hnatyszak skręcił w lewo, w ulicę Kubasiewicza i zatrzymał się obok sklepu tytoniowego. Na placu Unii Brzeskiej trwał wzmożony ruch. Chłopi wyładowywali na lady bud mleko, jaja, żywe kury i rozmaite nowalijki. Popielskiemu ślinka pociekła z ust na widok świeżych młodych rzodkiewek, które uwielbiał. Poczuł poranny głód. Wysiadł z samochodu i w asyście mundurowego wolnym krokiem podszedł do bramy kamienicy numer dziesięć. Zastukał mocno w szybę stróżówki. Zaspany dozorca na widok munduru szybko otworzył im bramę.

- Nazwisko i zawód! - powiedział podniesionym głosem Popielski, który wiele by dał, aby nie widzieć już dzisiaj żadnego dozorcy ani portiera.

- A dozorca, Pinacz Kazimierz - odparł stróż, nieco przestraszony.

- Marceli Wilk tu mieszka? - Komisarz nie obniżał tonu.

- A mieszka na drugim pod piętnastką.

- Gdzie wychodzą okna jego mieszkania?

- Jedno jest koło drzwi na galeryi. - Pinacz z respektem popatrywał na mundurowego, który stał obok bez słowa z groźną miną. - A drugie wychodzi na ulicy.

- Które to? To z lewej?

- A ta jo!

Popielski dokładnie się przyjrzał wskazanemu oknu. Pod nim i nad nim ściany były gładko otynkowane. Nikt nie zszedłby po nich bez szwanku, o chodnik musiałby się roztrzaskać nawet słynny linoskoczek, człowiek mucha, którego występy budziły we Lwowie ogromne emocje, zanim ich dawca nie spadł z kamienicy przy ulicy Legionów.

Popielski kazał Hnatyszakowi pilnować okna i strzelać, gdyby tylko ktoś usiłował przez nie uciec, a sam ruszył przez podwórko na galerię na drugim piętrze. Po chwili stał pod drzwiami opatrzonymi numerem piętnaście. Z kieszeni wyjął browning. Napiął mięśnie rąk i nóg. Podobnie tężały jego mięśnie, kiedy - podczas orgij w salonce -

spowalniał fizjologiczne reakcje. Miał teraz nad Herodem pełnię władzy, tak jak ją miewał nad jęczącą pod jego ciałem dziewczyną. Zbrodniarz pewnie smacznie spał w swoim mieszkaniu, nieświadom, że oto zbliża się jego koniec. Popielski stał z odbezpieczonym browningiem i wyobrażał sobie jakiś fałszywy ruch Heroda, huk wystrzału i czerwoną plamę rozlewającą się na piersi sadysty torturującego dzieci.

Nie zamierzał ryzykować. Zdjął marynarkę, kamizelkę i krawat. Wszystko to przewiesił przez poręcz. Oparł się o nią, a potem ruszył całym impetem w stronę zamkniętych drzwi. Jego dziewięćdziesięciokilogramowe ciało już miało się wwalić do mieszkania wraz z futryną, drzazgami i płatami olejnej farby, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich szczupły mężczyzna z tobołkiem pod pachą.

- Co jest! - wrzasnął. - To napad! Gwałtu, policja!

- To ja jestem policja. - Popielski cofnął się i mierzył do mężczyzny z browninga.

- Dobra pora, bo właśni do roboty faluji. - Mężczyzna uśmiechnął się. - A w jakij sprawi? Moży tegu, co mi dokumenty zaiwanił pół roku temu, co, pani władzuchnu? Władza nierychliwa, ali sprawiedliwa…

- Gdzie pana okradziono z dokumentów?

- Ja ta ni wim. Gdziś na Kliparowi. Ta ja nakirany był!

Popielskiemu zdarzyło się kilka razy w salonce, że nieoczekiwanie opuściła go męska moc. Że nagle ta cała gimnastyka, to napinanie mięśni, to spowalnianie poskutkowało szpetną niemocą. Zwykle sięgał wtedy po flaszkę wódki, aby się „nakirać”. Teraz jednak nie miał przy sobie ani kropli alkoholu. A pragnął go bardzo.

***

Głośny płacz dziecka obudził Ritę Popielską. Otworzyła zaspane oczy. Jerzyk szarpał siatkę w swoim łóżeczku i usiłował z niego wyjść. Charakterystyczna woń i opuszczone, mocno obciążone w kroku śpiochy świadczyły o zdrowych i regularnych czynnościach trawiennych.

Rita ciężko się podniosła i usiadła na ogromnym małżeńskim łożu. Policzyła dni i wyszło jej, iż dzisiaj nie może oczekiwać pomocy Hanny, która ostatnio dzieliła swe obowiązki pomiędzy dwa domy. Nikt mi dzisiaj nie pomoże, pomyślała, nikt nie uspokoi tego ryczącego dziecka.

Oparła łokcie o kolana, a twarz, ciepłą jeszcze od snu, ukryła w dłoniach. Nie chciała wstawać i patrzeć na swoją wykwintną sypialnię, wyłożoną ciemnobrązową tapetą w złote kwiaty, nie chciała widzieć kryształowego wielkiego lustra, w którego górnych rogach strzelały z łuków małe amorki, nie chciała oglądać osobliwego geometrycznego obrazu przedstawiającego jakieś walce i stożki poruszające się po eliptycznych orbitach. Chciała tylko wtulić twarz w małą, obramowaną koronką poduszkę, na której spała od dziecka. I tylko zasnąć, tak, zasnąć! Spać przez długie godziny, a najlepiej przespać cały dzień, aby nie myśleć, nie wspominać minionych chwil, nie działać i nie wykonywać prostych, idiotycznych domowych czynności, z których każda kojarzy się z czymś złym, dokuczliwym, nieznośnym!

Był jednak ktoś, kto bezlitośnie uniemożliwiał Ricie tę ucieczkę w sen, kto ją kilkakrotnie już budził tej nocy, kto nie dał się ubłagać, przekupić i tylko tryskał nieposkromioną, złośliwą energią. Jerzyk stał w łóżeczku, śmierdział i wrzeszczał wniebogłosy.

Rita ujęła dziecko pod pachy i zaniosła do łazienki. Postawiła je w wannie, i odkręciła kurek prysznicu. Zdjęła śpiochy i pieluchę. Wypadła z niej śmierdząca bryła. Wartki nurt wody popchnął ją do odpływu, który zaraz się zatkał. Woda w wannie stała się brudna i zaczęła się podnosić.

Rita wzięła dziecko na rękę, a drugą wolną dłonią, przełykając ślinę dla stłumienia odrazy, udrożniła odpływ. Pośladki dziecka odcisnęły na jej szlafroku brązową plamę. Chciało się jej womitować.

Jerzyk, siedzący wciąż na jej przedramieniu, zainteresował się przedmiotami stojącymi na półce pod lustrem. Uczynił nagły ruch ręką i z półki spadł ciężki flakon perfum. Kiedy rozbijał się o brzeg wanny, a wonna ciecz perfum Le Narcisse Bleu zmieszała się z cuchnącą wodą, Rita poczuła łzy napływające jej do oczu. Nie były to łzy żalu ani rozpaczy.

Wstawiła dziecko do umywalki, zrzuciła z siebie szlafrok i zaczęła nad wanną szorować do czerwoności swe ręce i przedramiona mydłem boraksowym i ryżową szczotką. Ledwo się pohamowała, aby tą samą twardą szczeciną nie przeorać delikatnego ciałka syna.

Kiedy w końcu umyła dziecko i wyszła z łazienki, była drżąca i spocona. Usiadła ciężko w kuchni i wpatrywała się nieruchomym i bezmyślnym wzrokiem w stół. Zmusiła się w końcu, aby wstać, włożyć czysty szlafrok i ugotować dziecku kaszkę na mleku. Posadziła Jerzyka na krzesełku z barierką uniemożliwiającą wypadnięcie, dolała do talerza z kaszą syropu malinowego i zaczęła karmić małego. Ten nie połknął jednak kaszki, lecz zatrzymał ją jedynie w ustach, a po chwili wypluł na śliniak. Z następną łyżką zupy uczynił to samo. Pochyliła się nad nim i delikatnie chwyciła dłonią oba policzki, czyniąc z jego ust charakterystyczny ryjek. Wlała weń kolejną łyżkę, lecz mały gwałtownie wypluł gęsty płyn.

Rita, kiedy już otarła oczy z kaszy, spojrzała na swój, przed chwilą zmieniony, szlafrok. Pokryty był ciepłymi, różowymi zaciekami. Zmusiła się, aby delikatnie wyjąć Jerzyka z krzesełka.

Mały, kołysząc całym ciałkiem, wybiegł z kuchni. Na progu potknął się i runął na granitową podłogę w przedpokoju.

Nie ruszała się z miejsca, patrzyła na swój brudny szlafrok i obiema rękami zatykała uszy, aby nie słyszeć tego wrzasku. Czasami miała chęć zadusić własne dziecko.

Dwa kwadranse później Jerzyk, już uspokojony i czysto ubrany, zajął się butelką z mlekiem. Rita, dyskretnie umalowana i odziana w sukienkę, pończochy i domowe pantofle z czerwoną skórzaną kokardką, weszła do kuchni. Wiedziała, czym poprawić sobie humor. Najpierw gustownie się ubrać, myślała, jakby można było wyjść bezkarnie z domu, jakby nie obowiązywał ojcowski zakaz opuszczania mieszkania! A potem coś dobrego zjeść!

Uchyliła drzwi szafki wmurowanej w podokienną wnękę. Wyjęła z niej paterę przykrytą przezroczystą szklaną kopułką. Pod nią był duży kawał tortu Sachera, który wczoraj jej przyniosła ciotka Leokadia. Ugryzła kawałek bez łyżeczki. Smakowało wybornie. Nie godziło się jednak jeść w kuchni jak służąca!

Rita usiadła w salonie i włączyła radio nastawione na lwowską stację. Z głośnika popłynęła wesoła muzyka w wykonaniu jakiegoś jazz-bandu. Zapaliła świeczkę pod bulierą z kawą, którą zaparzyła dobrą godzinę temu. Po chwili nalała do filiżanki pachnącego płynu. Jerzyk siedział okrakiem na dużym samochodzie i - napędzając go siłą swoich nóg - jeździł wokół stołu. Kiedy ją mijał, pogłaskała dziecko po buzi, ale nie pocałowała. Wciąż żywiła do niego urazę.

Oddzieliła srebrną łyżeczką dużą bryłkę tortu, kiedy zadzwonił telefon. Poszła do przedpokoju, aby odebrać. W aparacie usłyszała głos ciotki Leokadii.

- Powiedz, kochanie - powiedziała ciotka po powitaniach - co mam ci kupić. Hanna właśnie wychodzi za moimi sprawunkami, no to zrobi i twoje. Co chcesz zjeść na obiad? Powiedz, to Hanna wszystko przygotuje i zatransportuje do ciebie w południe.

- Nie wiem - odparła, chcąc kończyć tę rozmowę i wrócić do kawy. - Wszystko jedno. Aha, papierosy. To najważniejsze.

Rozłączyła się i weszła do salonu. Jerzyk miał brązowe palce i brązowe policzki. Na jasnobeżowym dywanie w plamie rozlanej kawy, obok przewróconej filiżanki leżał Sacherowski torcik, który dziecko lizało jak zwierzę.

Rita usiadła i zapaliła papierosa. Cała dygotała, w jej głowie kłębiły się przyśpieszone obrazy, w jej ustach - gorzki dym, a w głowie - nienawiść. Do własnego dziecka. I do własnego ojca, którego wyrokiem została skazana na domowy areszt.

***

Popielski obudził się krótko przed południem i ledwo zdążył na odprawę u Zubika. Przeklinał w myślach tanią wódkę, którą kupił nad ranem w melinie koło dworca. Wciąż czuł jej smak, a właściwie absmak. Mógł sobie darować to chwilowe znieczulenie, to pozorne zaleczenie frustracji, jaką odczuł, kiedy już się okazało, że Marceli Wilk nie jest Herodem! Mogłem odreagować dzisiaj po pracy, myślał, w „arcyknajpie” Atlas wypić butelkę starki podolskiej pod roladę na zimno i pod porcję śledzi pod pierzynką! Ale nie! Ja musiałem koniecznie napić się jakiejś podłej karbidówki o piątej rano! Dobrze, że skończyło się na kacu, a nie na zatruciu!

Siedział pochmurny, manipulował przy swoich źle zapiętych spinkach do mankietów, pocierał palcem nieogolony podbródek i myślał o gotowanych serdelkach z chrzanem, które tęsknie wołały do niego z kuchni, kiedy wściekle głodny wybiegał na to zebranie.

Jak się spodziewał, pierwszy dzień śledztwa niczego ciekawego nie przyniósł. Grabski i Kacnelson wycierali kąty wszelkich możliwych kantorów i rozmawiali z ogromną liczbą fabrykantów i właścicieli różnych firm. Skutek tych przesłuchań był nader mizerny, choć dwóch szefów rozpoznało dzisiaj na zdjęciach swoich podwładnych. Tych natychmiast przywieziono na Łąckiego. Tam, klnąc i złorzecząc, czekali na identyfikację.

Choć funkcjonariusze nie widzieli żadnego uderzającego podobieństwa pomiędzy zatrzymanymi a mężczyzną z portretu pamięciowego, a ponadto jeden z nich miał brodę, to jednak, zgodnie z rozkazem musieli Popielskiemu pozostawić ostateczną identyfikację. Ten przed zebraniem u Zubika tylko rzucił okiem na zatrzymanych i natychmiast pokręcił przecząco głową. „Musieliście podpaść czymś szefowi" - mruczeli policjanci, wypuszczając ich na wolność.

Cygan i Żechałko natomiast jak od muru odbili się od różnych lekarzy i od instytucyj medycznych. Wszędzie odsyłano ich z kwitkiem, zasłaniając się tajemnicą lekarską. Nasłuchali się przy tym ostrych słów na niehonorowe postępowanie policji. Nie pomogło, gdy, chcąc przełamać szlachetny opór lekarzy, opisywali potworne cierpienia, jakich doznało dziecko. Nawet rozliczne znajomości i autorytet Pidhirnego, który był bardzo uczynny w szukaniu różnych dojść do sług Eskulapa, nie na wiele się przydały. Na współpracę z policją zgodzili się tylko dwaj medycy pochodzenia żydowskiego. Niestety ich pacjenci epileptycy należeli wyłącznie do tejże nacji, zaś opis Popielskiego zdecydowanie ją wykluczał.

Nic zatem dziwnego, że przed południem Cygan i Żechałko - po klęsce na „froncie medycznym" - szybko dołączyli do kolegów i cała czwórka, rozdzieliwszy się sprawiedliwie, zagłębiła się w świat zakurzonych segregatorów, szaf z terkoczącymi żaluzjami, antresol, których okna z mlecznego szkła wychodziły na hale produkcyjne lub na brudne podwórka - w całe to imperium biuralistów ubranych w zarękawki, daszki na gumce i grube binokle. Wyniki eksploracyj tej czwórki śledczej były równie kiepskie jak skutek przesłuchiwania przez Popielskiego sprzedawców meloników. Najgorsze jednak wieści miał dla nich Zubik.

- Wiecie, panowie, ile mieliśmy zgłoszeń od obywateli, którzy rozpoznali na plakatach twarz podejrzanego? - Naczelnik zrezygnowanym ruchem wsunął brodę i pucołowate policzki w obie dłonie. - Trzydzieści dwa! Cztery telefony i dwadzieścia osiem zgłoszeń osobistych, w tym jeden człowiek, oczywisty wariat na przepustce z Kulparkowa, przyznał się do winy.

- Teściowa rozpoznała na plakacie znienawidzonego zięcia? - mruknął Popielski.

- Nie czas na żarty, komisarzu. - Zubik nastroszył resztki misternie zaczesanych włosów. - Oczywiście, że mogą być fałszywe. Wobec braku ludzi zatelefonowałem do nadinspektora Domańskiego i poprosiłem go o dodatkowe kadry dla sprawdzenia tych wszystkich zgłoszeń. Wiecie, panowie, co mi odpowiedział? Że może oddelegować trzech ludzi. Trzech! Pozostali są na ćwiczeniach wojskowych!

- Trudno. - Grabski zasępił się. - Idzie wojna…

- Idzie wojna! - wrzasnął Zubik. - A ja tu muszę podejmować decyzje! I podjąłem! Na razie nie sprawdzamy ludzi ze zgłoszeń od ludności. Zapisujemy nazwiska, ale nie sprawdzamy! Sprawdzimy ich…

- Po wojnie - wtrącił Popielski.

- Panie komisarzu - zasyczał Zubik. - Pan dzisiaj wykazuje się tylko dowcipkowaniem!

Zapadła cisza. Popielski zapalił papierosa, lecz natychmiast go zgasił. Po przepiciu

nie smakował mu tytoń.

- Przepraszam - powiedział. - To taki humor wisielczy. Ale wie pan, naczelniku, że na coś chyba natrafiłem. Pamiętają panowie, że ten pijany stróż zeznał, iż Herod…

- Proszę zapomnieć tego imienia! - krzyknął Zubik. - Chyba że będzie pan ministrantem i czytał ewangelię w kościele!

- To musiałbym być księdzem - ciągnął Popielski tym samym tonem. - Otóż podejrzany kazał stróżowi pilnować kilofa, mówiąc, że kosztuje on złotówkę czy coś koło tego.

- Dokładnie złotówkę - mruknął Żechałko, spojrzawszy do protokołu.

- Założyłem - Popielski kiwnął głową, jakby chwaląc akrybię protokolanta - że kilof został wypożyczony. I miałem szczęście. W wypożyczalni narzędzi Sokalskiego, *nota bene* w pierwszej, w jakiej byłem, pracownik rozpoznał na portrecie niejakiego Marcelego Wilka, zamieszkałego przy Kubasiewicza. Natychmiast tam pojechałem i spotkałem rzeczonego Wilka. To nie jest ten człowiek, który umęczył Kazia Markowskiego. Pół roku temu ukradziono mu dowód osobisty i ktoś tym dowodem się posłużył przy wypożyczeniu kilofa. Moim zdaniem, trzeba odwiesić dochodzenie sprzed pół roku i złapać tego, co ukradł Wilkowi dowód.

- To nic nie da - powiedział wolno Zubik. - Kieszonkowcy mają pod ręką całą masę dowodów osobistych i innych kradzionych dokumentów. Wystarczy pójść do Bombacha i dyskretnie zasugerować barmanowi, że potrzebuje się lewych papierów. Zaraz pojawi się jakiś sprzedawca dowodów, świadectw maturalnych, praw jazdy i tak dalej.

- Nie zgodziłbym się z panem naczelnikiem. - Popielski był coraz bardziej rozdrażniony. - Nasi kieszonkowcy mają swoisty kodeks honorowy. Okradają ludzi z pieniędzy, z zegarków, lecz nie z dokumentów. Te zawsze odsyłają pod właściwy adres. Dlatego należy odwiesić dochodzenie w sprawie okradzenia Marcelego Wilka, choćby miały na nas spaść za to gromy z jakiegoś komisariatu, gdzie je zawieszono!

- A pan ma coś dla nas, doktorze Pidhirny? - Zubik znany był z tego, że w niewygodnych dla siebie sytuacjach nagle zmieniał temat rozmowy.

- Sprawca oddał kilof do wypożyczalni? - zapytał medyk, nie patrząc na Popielskiego.

- Tak - odpowiedział komisarz.

- Myślałem trochę nad jego psychiką - powiedział powoli medyk, który siedział demonstracyjnie daleko od Popielskiego. - Zaintrygował mnie ten jego nowiutki melonik. Świadczyłby on o tym, że człowiek ten bardzo dba o pozory. Jest biedny, żyje w nędzy, lecz wydarł sobie parę groszy, aby kupić ten melonik. Jest on jakby jego chorągwią. On nią macha, jakby chciał powiedzieć „mam swoją godność”. Co to znaczy? To znaczy, że ten człowiek jest megalomanem. Z drugiej strony może on ten melonik traktować jako symbol przynależności do pewnej kasty. To świadczyłoby o tym, że został być może kiedyś zdeklasowany, wypchnięty poza tę kastę. Poza tym oddał kilof, mimo że mógł go bezkarnie zachować. To może oznaczać: „jestem ponad przeciętnymi pospolitymi złodziejami”, „jestem od nich kimś lepszym”.

Doktor umilkł i posyłał Popielskiemu wrogie spojrzenia. Komisarz wiedział, że medyk chciałby coś jeszcze dodać, ale nie może ze względu na tajemnicę gwałtu na pani Markowskiej. Pidhirny mówił swoim wzrokiem: „Widzisz, Popielski, nie chcesz ze mną współpracować, a ja coś wiem, co będzie bezużyteczne, jeśli nie sprzężemy swych sił”.

- Proszę o wnioski, doktorze. - Zubik sprawiał wrażenie zdezorientowanego tym wywodem.

- Moim zdaniem - odparł Pidhirny - poszukiwany przez nas człowiek jest zdeklasowanym, zubożałym szlachcicem lub bezrobotnym urzędnikiem, który dotkliwie przeżył wylądowanie na bruku. Tacy ludzie często zwalają na innych winę za swe niepowodzenia życiowe. Ofiarami nienawiści są nierzadko Żydzi. Podejrzanego szukałbym wśród antysemitów. Zacząłbym od organizacyj narodowych polskich.

- Doktorze, jest pan niepoprawny. - Zubik nie był zachwycony tym ostatnim przypuszczeniem. - Znów chce pan przemycić swoje przekonanie, że człowiek z portretu zamordował Henia Pytkę. Tymczasem już powiedziałem, że morderca Henia…

- Wiem, co pan powiedział - przerwał mu Pidhirny. - Ale pan nie jest magikiem, a pańskie słowa to tylko hipoteza…

Popielski, mimo nikotynowego wstrętu, postukał egipskim o papierośnicę i zapalił. Zamyślił się, a dyskusja pomiędzy doktorem a naczelnikiem docierała do niego jakby z oddali, jakby wytłumiona grubym filtrem dymu. „Wśród antysemitów, szukałbym wśród antysemitów”, dźwięczało w głowie komisarza. Patrzył na coraz bardziej rozzłoszczonego doktora, ale nie słyszał jego głosu. Słyszał za to swoją własną tyradę sprzed paru tygodni, kiedy z Pidhirnym spotkali się późną nocą w prosektorium i pochylali nad zmasakrowanym ciałkiem Henia Pytki.

„Żydzi zamykają się w swych domostwach - mówił wtedy Popielski. - W komisariacie na Kurkowej zamknięto bezrobotnego z bańką nafty. Złapano go przy synagodze Złota Róża”. Człowiek zdeklasowany, bezrobotny antysemita z bańką nafty.

Chce podpalić synagogę.

„To ja zrobiłem - mówił Herod na fabrycznym podwórzu. - To ja nakłuwałem dziecko. To ja łamałem mu ręce i giczały. To ja wcisnąłem mu łeb pod kolano. I nic mi to nie dało. Nikt mnie wtedy nie zabił”.

Chciał zginąć, myślał gorączkowo Popielski, chciał zostać zabity przez Żydów. Dziwny antysemita, który chce być zabity przez Żydów. Może chce być drugim Chrystusem? Wszystko jedno, za kogo się uważa. Ważne jest to, że chciał Żydów sprowokować. Najpierw rzucić na nich podejrzenie o mord rytualny, potem podpalić synagogę. Tylko po co? Jeśli chciał zginąć, to wystarczyłoby, żeby przyznał się Żydom do wszystkiego, a zostałby rozszarpany przez starozakonnych. Taki być może był jego plan. Pod synagogą zatrzymano człowieka z bańką nafty. Zaprowadzono go na komisariat na Kurkową. Tam pewnie się wyłgał i go wypuścili. Ale musieli coś zapisać. Jakieś nazwisko, adres.

Popielski zgasił papierosa, włożył kapelusz i wyszedł z gabinetu. Wzrok wszystkich mężczyzn spoczął na Zubiku. Oczekiwano wybuchu.

- No co się panowie tak patrzycie. - Naczelnik spokojnie przyklepywał do czaszki resztki włosów. - Nie od dziś znamy Popielskiego. Indywidualista, ale skuteczny. Wpadł na jakiś pomysł i poszedł po prostu tym śladem. Zobaczymy, dokąd dojdzie.

- Oby tylko nie na skraj przepaści - powiedział cicho Pidhirny.

***

Chevrolet Popielskiego zatrzymał się na ulicy Kurkowej. Komisarz lubił tę ulicę wiodącą stromo pod górę. Tego samego nie mógł jednak powiedzieć o kierowniku IV Komisariatu Dyżurnego. Kiedy wchodził do bramy, opatrzonej numerem 23, przypomniał sobie swoje daremne wysiłki, aby przekonać do pewnych nieregulaminowych działań owego drewnianego służbistę i beznadziejnego pedanta, aspiranta Stanisława Olejowskiego. Chodziło wtedy o pewnego złodzieja, którego Popielski chciał przesłuchać, lecz formalnie nie miał do tego prawa. Kierownik, rozzłoszczony prośbami i groźbami komisarza, wyrzucił go po prostu za drzwi, żądając odpowiednich dokumentów, w tym protokołu przekazania zatrzymanego. Popielski dokumenty te dostarczył nazajutrz, ale złodziej ów został zwolniony za kaucją. Kiedy komisarz popędził pod adres zwolnionego złodzieja, okazało się, że nikt taki już tam od dawna nie mieszka. Wtedy na komisariacie IV rozpętało się piekło. Popielski ryczał jak wół na kierownika, a ten walił pięścią w biurko i pokazywał dokument kaucyjny, podpisany przez sędziego śledczego. Pewnie rzuciliby się sobie do gardeł, gdyby Popielskiego nie wezwał wtedy goniec od samego komendanta wojewódzkiego.

Teraz, wchodząc na schody komisariatu przy ulicy Kurkowej, miał nadzieję, że nie spotka Olejowskiego, do którego do dziś czuł najwyższą awersję.

W poczekalni za długą barierą siedział posterunkowy w czapce, której rzemień, zakończony sprzączką i opasujący brodę, nadawał funkcjonariuszowi państwowemu surowego i uroczystego wyglądu. Notował on zeznania niskiego, rudego Żyda oraz ukraińskiego chłopa, którzy najwidoczniej weszli ze sobą w jakiś spór na jarmarku, ponieważ kłócili się o kaczkę i obrzucali się mało przychylnymi określeniami „biber” i „der cham”. Gdyby nie byli rozdzieleni potężnym brzuchem innego posterunkowego, ich spór skończyłby się bijatyką, w której Żyd miałby w porównaniu z potężnym Ukraińcem marne szanse.

Było upalnie. Pod lampą roiły się muchy i nie miały najmniejszego zamiaru nawet zbliżyć się do wiszącego na niej lepu. Posterunkowy co chwila kraciastą chustką ocierał pot lejący się wąskim strumykiem spod czapki, uspokajał kłócących się obywateli, maczał stalówkę w atramencie i mozolnie pisał raport z całego zajścia.

Popielski podszedł do barierki i zastukał w nią głośno. Wszyscy umilkli.

- Dzień dobry, panie komisarzu. - Dyżurny zerwał się i zasalutował. - Czym mogę służyć?

- Dobry to będzie za chwilę, drogi panie posterunkowy Stych - spojrzał groźnie na zatrzymanych - kiedy ci tutaj przestaną się wydzierać, a pan pozwoli mi przejrzeć dokumentację ostatnich zatrzymań.

Żyd i Rusin umilkli i wpatrywali się z przestrachem w Popielskiego. Posterunkowy uczynił zapraszający ruch ręką. Był najwyraźniej zadowolony, że taki sławny komisarz pamięta jego nazwisko.

- Proszę, niech pan zachodzi, panie komisarzu - powiedział. - Tutaj w szafie, zielona teczka na najwyższej półce. Proszę korzystać.

Popielski otworzył szafę i wziął do ręki teczkę, której kolor on sam określiłby jako brudnoszary. W dyżurce zapadła cisza. Wszyscy z wielkim zainteresowaniem obserwowali komisarza. Ten przeglądał powoli kartkę za kartką, raport za raportem.

Ta cisza najszybciej znudziła się rusińskiemu rolnikowi. Wykorzystał to, iż nikt na niego nie zwraca uwagi, i pogroził Żydowi, uderzając się lekko potężną pięścią w podbródek.

- Her policaj! - wrzasnął starozakonny. - Der cham macht a kłótnie! Der cham hat kaczkie giesztiłen!

- Czoho ty, Żydu, mene chamom nazywajesz?! - Rusin nacisnął na głowę futrzaną czapę i ruszył groźnie na swojego przeciwnika.

- W polskim urzędzie mówić po polsku! - krzyknął posterunkowy i spojrzał na Popielskiego, oczekując aprobaty dla swojego wystąpienia; nie uzyskawszy jej, krzyknął jeszcze głośniej. - A najlepiej to zamknąć mi tu pysk, do jasnej cholery!

Popielski nie słyszał tej uprzejmej wymiany zdań, nie słyszał też ostrej reakcji funkcjonariusza. Zagłębiony był w lekturze.

Zatrzymany twierdził, że naftę ma dla swoich potrzeb, a nabył ją na Bazarze Stryjskim. Rozlewanie nafty pod bóżnicą wyjaśniał swym alkoholowym upojeniem, nie zamiarował bynajmniej żadnego podpalenia. Wobec braku podstaw zatrzymano do wytrzeźwienia, a nazajutrz wypuszczono na wolność.

Wzrok Popielskiego spoczywał na nagłówku raportu. Zatrzymany z bańką nafty człowiek nazywał się Marceli Wilk.

***

Lwowianie byli tradycjonalistami i wykazywali się zawsze całkowitą obojętnością na wszelkie nazewnicze innowacje wprowadzane przez władze miejskie. Park Kościuszki określali uparcie starym mianem „Ogrodu Jezuickiego”, a Więzienie Karno-Śledcze wciąż nazywali „Brygidkami”, choć podłużny i ponury dawny budynek klasztorny przy ulicy Kazimierzowskiej cesarz Józef odebrał siostrom brygidkom ponad półtora wieku wcześniej i od razu przeznaczył do celów penitencjarnych.

Popielski zawsze, kiedy przebywał u Brygidek, zastanawiał się nad tym konserwatyzmem nazewniczym i stworzył nawet dwie hipotezy na temat kolokwialnej nazwy więzienia. Po pierwsze, ludność mogła tak nazywać ten gmach wiedziona solidarnością z siostrzyczkami, którym wspomniany cesarz brutalnie odebrał ich własność, po drugie - nazwa „u Brygidek” była swoistym „obłaskawieniem” groźnego gmachu. Było to zjawisko podobne do starogreckiego zwyczaju każącego krwawe boginie

zemsty, Erynie, nazywać „Eumenidami”, czyli „Łaskawymi”.

Popielski porzucił problematykę nazewniczą i wrócił myślami do nowego tropu. Wiedział, że zbliża się do kluczowego i najtrudniejszego momentu i że nie ruszy dalej ani na krok, jeśli nie stanie na pewnym gruncie i nie ustali, kto wykorzystuje dowód osobisty Marcelego Wilka. Można to było zrobić na kilka sposobów. Albo ubłagać Zubika, by odwiesił dochodzenie w sprawie kradzieży dowodu, albo poprosić Moszego Kiczałesa, by nakazał swym ludziom zdobycie takiej informacji. Pierwsza metoda była z góry skazana na przegraną i to wcale nie z powodu niezrozumiałych oporów Zubika, lecz dlatego że pijanego Wilka okradziono gdzieś na Kleparowie i nie sposób było po pół roku odtworzyć okoliczności tego występku. Druga metoda była dobra, ale stałaby się, niestety, „ostatnią prośbą do złotej rybki”.

A Popielski wciąż wierzył, że ostatnia prośba do Kiczałesa będzie zupełnie inna, że stanie się ona uwieńczeniem całego dochodzenia w myśl zasady obitus coronat opus, a właściwie mors coronat opus, śmierć wieńczy dzieło. Na szczęście miał jeszcze jedno inne wyjście. Dlatego siedział teraz u Brygidek i na kogoś czekał w kancelarii dobrze mu znanego naczelnika Arnolda Piaseckiego.

Edward Hawaluk zwany Edzikiem wszedł do pomieszczenia w asyście strażnika. Naczelnik Piasecki zgasił papierosa i wstał.

- Zostawiam go panu, komisarzu - powiedział, zabierając się do wyjścia.

- Dziękuję, panie naczelniku - odparł Popielski. - To nie potrwa dłużej niż kwadrans.

Kiedy zostali tylko we dwóch, Popielski wskazał więźniowi krzesło.

- Siadaj, Edzik. - Położył przed swoim rozmówcą kartonowe pudełko z egipskimi. - Zapalisz?

- Nie. - Hawaluk pchnął pudełko w stronę Popielskiego tak mocno, że spadło ze stolika.

- Trudno. - Komisarz uśmiechnął się, podniósłszy papierosy i położywszy je ponownie na blacie. - Będziesz zdrowszy. A może się napijesz? To zdrowiu nie szkodzi. Nie brudzi ani munduru, ani honoru. Podobnie jak rozmowa ze mną.

Postawił przed więźniem ceramiczną piersiówkę z wódką Karpatówką. Ten nawet na nią nie spojrzał.

- Lubię cię, Edzik. - Popielski zdjął kapelusz i podrapał się po zabliźnionej ranie na głowie. - Mam do ciebie słabość, Edzik. I to nie dlatego, że cię tutaj wsadziłem i że obaj obchodzimy imieniny tego samego dnia, 13 października. Nie. To dlatego, że mam córkę, podobnie jak ty. I podobnie jak ty kocham ją nad życie. Ja jednak, w odróżnieniu od ciebie, wiem, co się dzieje z moją córką. A ty nie wiesz. A chcesz może wiedzieć?

Hawaluk sięgnął po papierosa. Popielski wstał i podał mu ogień. Więzień z rozkoszą zaciągnął się dymem, przymykając przy tym oczy.

- Co si takiegu dzieji z moju córku? - zapytał.

- Wszystkiego się dowiesz za chwilę. Ale najpierw ja muszę czegoś się dowiedzieć od ciebie. Jakiś doliniarz na Kleparowie ukradł pół roku temu dokumenty na nazwisko

Marceli Wilk. Teraz tymi dokumentami posługuje się Herod. Wiesz, kto to jest Herod?

- Nie.

- Słyszałeś o zabójstwie dziecka na Żółkiewskiej?

- Tak.

- Zabił je Herod. A słyszałeś o połamaniu innemu dziecku nóżek? To dziecko zostało wepchnięte do beczki w fabryce ultramaryny na Słonecznej. Na szczęście przeżyło. Słyszałeś o tym?

- Tak.

- Dużo tu słyszysz.

Zapadło milczenie, które się nawet spodobało Popielskiemu. Edzik nie mówił, kiedy go o nic nie pytano. Dobra cecha.

- Jedno i drugie zrobił zbrodniarz zwany Herodem. Posługuje się on skradzionymi dokumentami na nazwisko Marceli Wilk. Muszę wiedzieć, kto kupił ten skradziony dowód. A może ktoś na te dokumenty złożył zamówienie, co? A ty w tym wszystkim możesz pomóc. Wystarczy, że dasz mi jakiś adres twojego zastępcy na wolności. I wtedy szybko ustalimy, kto ukradł. Tego twojego zastępcę, a potem doliniarza, oczywiście puszczę wolno. Ale najpierw z nim porozmawiam i dowiem się, kto od niego kupił dowód. Możesz mi pomóc, Edzik. Proszę cię o to.

Hawaluk milczał, a jego milczenie nie podobało się tym razem komisarzowi.

- Chcesz wiedzieć, co się dzieje z twoją córką? - zapytał, wypuszczając dym nozdrzami.

- Wiem, co si dzieji. Nic dobregu.

- Zadałem ci złe pytanie, Edzik. Powinienem zapytać nie „co się dzieje”, ale „co się stało”. Pomożesz mi, to wtedy ci powiem, co się stało z twoją córką.

Znów zapadło głuche milczenie. Obaj myśleli o piętnastoletniej Zośce Hawaluk, którą po osadzeniu ojca w więzieniu i po śmierci matki do niedawna wychowywali - za pieniądze Edzika - dobrzy i życzliwi ludzie. Ale oni nie potrafili - a tak naprawdę to nawet im się nie chciało - nieustannie poskramiać ciągot dziewczyny do wejścia w upragniony przez nią świat wyższych sfer, owiany wonią uwodzicielskich perfum i dźwięczący angielskim walcem. Kiedy po raz kolejny uciekła z przybranego domu do kochanka, który wydawał się jej zamożny, zapomnieli o dziewczynie, ograniczając się jedynie do powiadomienia o tym jej ojca.

Ponieważ nie była ona zbyt urodziwa, nie mogła znaleźć hojnego „słodkiego pana” z wyższej klasy i musiała się zadowolić substytutami: dźwiękiem harmonii, smakiem pierogów, przyśpiewkami w zaplutych knajpach i obmacywaniem przez pijanych czeladników. Na swój pierwszy tryper czekała o wiele krócej niż na księcia na białym koniu.

- Podaj mi jakieś nazwisko, jakiś adres, jakiś telefon. - Popielski się zniecierpliwił. - Człowieka, który mi pomoże dotrzeć do smytracza i do Heroda.

- Co si stału z moju córuniu?

- Weź sobie papierosy. - Popielski przesunął paczkę egipskich w stronę więźnia. - Wszystkie. Wsyp je sobie do kieszeni. A pustą paczkę mi oddaj. Z numerem telefonu, z nazwiskiem, z jakimś adresem. Z czym tylko chcesz.

- Napiji si. - Więzień schował papierosy do kieszeni, nabazgrał coś na paczce leżącym na stole ołówkiem i schował piersiówkę do kieszeni bluzy. - Co si stału z moju córku?

- A bo ja wiem? - Popielski wstał i otrzepał spodnie z niewidzialnego pyłu. - Raz z górki, raz pod górę - jak u każdego…

- Co z Zosiu, ty psia mordo!? - Hawaluk również wstał i omal się nie rzucił na komisarza.

- Nie wiem. - Popielski oparł pięści na stole i wpatrywał się w starego złodzieja. - Ale wiem, co będzie z tobą, jak pomożesz mi złapać Heroda. Kiedy go złapię dzięki twoim informacjom, to ty następnego dnia już się żegnaj z kumplami spod celi!

Hawaluk patrzył na Popielskiego otwartymi ze zdumienia oczami.

- Przyrzekłem ci kiedyś, że cię złapię i wsadzę do Brygidek - mówił wolno komisarz. - Dotrzymałem słowa. Myślisz, że teraz nie dotrzymam? Pakuj już samarę, Edzik!

Sięgnął po telefon. Powiedziawszy coś do słuchawki, włożył kapelusz, a paczkę po papierosach schował do kieszeni. W czasie tych czynności przyglądał się bez słowa Hawalukowi. Jeśli mi pomożesz, złodzieju, mówił do niego w duchu, to moja ostatnia prośba do złotej rybki nie będzie brzmiała „Zabij Heroda”, lecz „Wyciągnij z kicia Edzika”.

A Heroda i tak zabiję, choćby bez Moszego Kiczałesa, pomyślał, podając rękę naczelnikowi Piaseckiemu, który właśnie wszedł do swej kancelarii.

***

Nad miastem zapadł duszny burzowy wieczór. Popielski siedział w swoim policyjnym gabinecie i przeglądał Pieśni Horacego. Nie czytał ich, lecz bacznie je obserwował w poszukiwaniu sytuacji, w której przymiotnik i rzeczownik należałyby do innych wersów. Taki zabieg niektórzy filologowie uważali za niezwykle kunsztowny, on sam zaś - nie znosząc Horacjańskiej poezji - traktował go jako wersyfikacyjną nieporadność.

To filologiczne zajęcie było interesującą łamigłówką i skutecznie zabijało nudę ogarniającą go podczas czekania na pilny telefon, którego się dzisiaj spodziewał.

Pod numer zapisany na paczce po egipskich zadzwonił od razu po wyjściu od Brygidek. Ktoś odebrał i Popielski usłyszał stukanie butelek, podniesione głosy i zachrypnięty bas, który ów rwetes uciszał. Popielski wypowiedział tylko dwa słowa, napisane przez Hawaluka obok numeru telefonu: „Mordziasty, robacznica”. „Podaj twój numer, ktoś zadzwoni” - zachrypiał głos w słuchawce. Popielski zrobił, co mu kazano, i usłyszał przeciągły sygnał przerwanego połączenia. Zatelefonował raz jeszcze na centralę

i dowiedział się, że wybierany przez niego numer należy do służbówki majstra w rozlewni octu na ulicy Łokietka. Zapisał nazwisko owego majstra - tak na wszelki wypadek, bo przecież nie zamierzał go przesłuchiwać. Bo i po co? Zależało mu jedynie na dotarciu do złodzieja, który dostarczył dokumenty Herodowi, nie zaś na rozpracowaniu lwowskiej spółdzielni kieszonkowców, której domniemany herszt pracował być może w octowni. Zależało mu tylko na jednej telefonicznej rozmowie.

I teraz właśnie, tropiąc mniej lub bardziej wydumane Horacjańskie potknięcia, Popielski w napięciu czekał, aż telefon zadzwoni.

Stało się to krótko po ósmej wieczór. Komisarz patrzył z radością na podskakującą na widełkach słuchawkę i nie śpieszył się wcale z jej podniesieniem. Odebrał po siódmym sygnale.

- Halo - powiedział powoli. - Popielski przy aparacie.

- Już nie wytrzymuję z tym dzieckiem! - Usłyszał głos Rity, w którym drżały nuty histerii. - Już nie wytrzymam! Rozumie tatuś?!

Komisarz wiedział, że powinien jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, bo tajemniczy „Mordziasty” mógł właśnie teraz telefonować, a sygnał zajętego połączenia mógł go zniechęcić.

- Córeczko - powiedział najłagodniej, jak mógł. - Dzisiaj cię odwiedzę. Wtedy porozmawiamy. Powiesz, co cię trapi. A teraz przepraszam. Czekam na pilne połączenie.

Odłożył słuchawkę i zamknął z hałasem Pieśni Horacego. Telefon znów zadzwonił. Tym razem odebrał po trzecim sygnale.

- Nie będę dłużej siedziała z tym dzieckiem w domu, rozumie tato? - Rita syczała do słuchawki. - Jurusia rozsadza energia, musi ją wyładować. Jutro idę z nim na dzieciniec albo do parku, czy to się tatusiowi podoba, czy nie!

- Przeprowadź się na kilka dni na Kraszewskiego - powiedział spokojnie - Hanna i Leokadia ci pomogą przy dziecku…

- Żartuje tatuś? - Syk nabrał intonacji pytajnej. - Miałabym tak się spieszyć do wspólnego zamieszkiwania wraz z ciotką? Wystarczy, że mieszkałam z nią osiemnaście lat! To całkiem mi wystarczy!

Tym razem to Rita pierwsza zakończyła połączenie. Popielski pomyślał o braku logiki w wywodzie swej córki, która wzbrania się mieszkać z Leokadią na Kraszewskiego, podczas gdy niedługo i tak będą mieszkały razem na Ponińskiego. Ponadto to wzbranianie się było niezrozumiałe, ponieważ ostatnio Leokadia okazywała Ricie wiele serca. Uznał, że zdolność poprawnego rozumowania jego córki jest dzisiaj mocno nadwerężona. Wyjął papierosa z papierośnicy i postukał nim o biurko. Potem przypalił go, założył dłonie na kark i wyciągnął się na krześle. Telefon od córki mimo wszystko bardzo go zaniepokoił. Rita, która była nieposłuszna od dziecka, po urodzeniu Jerzyka wcale nie stała się bardziej powolna ojcowskim zakazom i nakazom. Była niecierpliwa i samowolna, a jego ostrzeżenia i polecenia uważała za nadwrażliwość zgryźliwego policjanta, upartego psa gończego, który wszędzie węszy zło i spisek. Owszem, Popielski był podejrzliwym tropicielem, ale był też uległym ojcem. Wiedział, że po trzecim telefonie, którego

spodziewał się za chwilę, pozwoli Ricie opuścić dom i pójść z Jerzykiem na dzieciniec. W końcu miał ją na oku tajemniczy opiekun, wysłannik Moszego Kiczałesa.

Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci tego wieczoru, Popielski podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Pozwalam ci na opuszczenie domu - powiedział. - Możesz wyjść jutro.

- Ta piękni dzinkuji za pozwolenie na szpacirgang - usłyszał cichy głos, który zaraz zamilkł.

Popielski również milczał. Teraz musiał powiedzieć coś, co by go na pewno zidentyfikowało w uszach rozmówcy. Sięgnął do kieszeni po pudełko po papierosach.

- Robacznica - odczytał powoli.

- Za pół gudziny - usłyszał. - Masz być w Piwiarni Kałuskij. Wiesz, gdzie to jest?

- Na Łyczakowskiej.

- Siedź tam i czekaj cierpliwi. Bez szapoklaka na głowi.

Połączenie zostało przerwane. Popielski wstał i spojrzał na zegarek. W ciągu pół godziny, szybkim krokiem, powinien zdążyć na piechotę. Zapiął kołnierzyk koszuli, poprawił bursztynową spinkę w krawacie, a potem miękką szmatką starł kurz z trzewików. Klepnął się w brzuch, z niepokojem stwierdzając jego lekki przyrost, włożył kapelusz, przez ramię przerzucił trencz i wyszedł z pokoju, Na schodach rozpoznał dzwonek swojego telefonu. Zaklął pod nosem, uderzył dłonią o poręcz i zbiegł na dół. Miał dość histeryj córki.

***

Piwiarnia Kałuska pomimo swojej lokalizacji uchodziła za porządny lokal, w którym serwowano smaczne, domowe obiady. W południe zachodziła tu głównie młodzież rękodzielnicza, co drobniejsi urzędnicy z pobliskiego Urzędu Wojewódzkiego, wciąż zwanego „namiestnikostwem”, a nawet studenci Wydziału Lekarskiego. Wnętrze było skromnie urządzone, choć pewnego szyku zadawały gięte krzesła, przypominające kawiarnię Wiedeńską lub Cafe de la Paix. Wieczorami zjawiali się tutaj panowie Kubiszowie, stanowiący braterski duet akordeonistów, i swoją muzyką ściągali na parkiet bardziej lub mniej zaawansowanych w sztuce tańca.

Popielski należał zdecydowanie do tych drugich i unikał, jak mógł, lokali, w których trzeba było tańczyć. Doskonale wiedział, że ma drewniane ucho, a większe od niego poczucie rytmu - jak mawiała Leokadia - ma dąb Grottgera w Ogrodzie Jezuickim. Drażniła go muzyka, irytowali wywijający walce tancerze i wręcz rozwścieczały drwiące spojrzenia, którymi obrzucały go w tańcu jego przygodne i nieliczne partnerki. Piwiarnia Kałuska oferowała jednak inne atrakcje takim beznadziejnym tancerzom jak komisarz. Należały do nich wyśmienite piwo Lwowskie i proste, ale smaczne przekąski.

Popielski siedział - tak jak żądał Mordziasty - bez kapelusza przy bocznym stole, a stała przed nim setka czystej, bomba piwa, smażony ser z zatopionymi w nim ziarenkami kminku i krążkami podsmażanej cebuli oraz różowy, pachnący serdelek spływający

plamami musztardy. Te specjały zrekompensowały mu natrętną muzykę i idiotyczne stukanie obcasami o deski podłogi, pokryte trocinami.

Wypił pół stopki, nabił serdelek na widelec i rozgryzł z lekkim chrzęstem jego skórkę. Do żołądka spłynął przyjemnie piekący płyn, a zaraz za nim aromatyczny sos serdelka. Komisarz aż pokraśniał z zadowolenia. Odgryzł kawałek sera i odświeżająca woń kminku napełniła mu usta.

Wtedy podszedł do niego niski kelner ze sztywnymi wąsami pociągniętymi czarnym barwidłem.

- Szanowny panie kumisarzu - kelner pochylił się nad nim. - Ktoś mi każy poprosić pana kumisarza za pięć minut, aby wszedł on du piwnicy za barym. Ja bardzo przepraszam pana kumisarza, ali ktoś mi każy i mówi, że pan kumisarz bardzu łaskaw…

Popielski odprawił kelnera gestem dłoni i dziesiątakiem. W ciągu pięciu minut wypił wódkę, zjadł ser i serdelek, wychylił pół bomby piwa, otarł usta i udał się do baru.

- Gdzie wejście do piwnicy? - zapytał barmana, czując, że wódka mocno go rozgrzała.

- A tutaj, tutaj. - Barman wskazał solidną klapę w podłodze, zamykaną na rygiel.

Popielski podniósł tę klapę i spojrzał w dół. Niczego nie mógł dostrzec w ciemności. Barman stał i patrzył na niego wyczekująco. Otwarta klapa przeszkadzała mu w pracy.

- Zamknij pan za mną! - rzucił mu Popielski i zszedł po stromych schodach. Za sobą usłyszał zgrzyt rygla.

- Niech si pan ni boi - usłyszał w ciemności. - Jak skończymy, to zapukać i panu otworzu. Ja innu dziuru wyjdy. A teraz będziemy pu zaćmi bałakać.

W chłodzie piwnicy panowała miękka, aksamitna ciemność. Pachniało kiszoną kapustą i piwem. Popielski zatoczył krąg rękami. Natrafił na beczkę. Oparł się łokciem na jej okutym brzegu.

- Pół roku temu ktoś na Kleparowie zasmytrał pijakowi dokumenty na nazwisko Marceli Wilk - powiedział komisarz. - Powtarzam. Marceli Wilk. Muszę dotrzeć do tego kieszonkowca. Nie po to, aby go złapać i wsadzić. Nie. Nic mu nie zrobię, on mnie nie interesuje…

- Ta pana pulicaja interesuji ten, kto kupił, ni? - Głos dochodził z bliskiej odległości.

- Tak. Ten, kto kupił, jest mordercą dziecka. Jest zbrodniarzem…

- On może to i moju teściowu zakatrupić. - Rozmówca komisarza roześmiał się drwiąco. - Dla mni ważny jest tylku to, że pan pulicaj jest od Edzika. Zostaw pan barmanowi telefun. Najpóźnij pojutrzy pan pulicaj będzi wiedział.

W ciemności piwnicy rozległy się odchodzące kroki.

- Panie Mordziasty! - krzyknął Popielski. - A tak z ciekawości, co to znaczy „robacznica”?

- Tak bałaka córka Edzika - usłyszał z oddali. - Na gąsienicę „robacznica” bałakała.

- Tak mówiła, kiedy była mała?

- I mała, i teraz. - Głos już milknął. - Kiedy piji, ciągli kłapi „zalewam robacznicy”.

W oddali walnęły jakieś drzwi i zapadła cisza. Popielski zapalił zapalniczkę i wspiął się po schodach. Uderzył dłonią w wejście do piwnicy. Klapa uchyliła się po dobrej minucie. Policjant wyszedł, wyjął z kieszeni ołówek, poślinił go, uklęknął i napisał na framudze klapy trzy numery swoich telefonów: domowy, służbowy i telefon Rity.

Wskazał barmanowi swoje zapiski i podszedł do zajmowanego wcześniej stolika. A tam już siedziała stara chuda kobieta z ceglastymi policzkami i raczyła się jego niedopitym piwem. Popielski patrzył na nią i zastanawiał się przez chwilę, czy kolor jej lica był spowodowany różem czy też gruźlicą. Kelner podszedł do stolika, bardzo zagniewany, i zamierzył się na kobietę.

- Poszła stąd won, stara rymunda! - krzyknął.

- Daj pan spokój, panie starszy - powiedział poważnie Popielski. - Może ona właśnie robacznicę zalewa?

***

Dochodziła dziesiąta, kiedy Popielski wszedł do kamienicy Rohatyna. Administrator Leon Hiss, siedzący w swym oszklonym kantorze, obrzucił komisarza krótkim spojrzeniem i pochylił się nad biurkiem. Można by sądzić, że wzbudza w nim całkowitą obojętność. Głęboka purpura, która rozlała się po obliczu administratora, świadczyła jednak o tym, że policjant wzbudzał u Hissa większe emocje niż połyskliwa, opasła mucha, która bzyczała w kantorze.

Komisarz wszedł na drugie piętro i zastukał do drzwi mieszkania, które jeszcze przez tydzień miało służyć jego córce. Rita otworzyła natychmiast, jakby czekała na ojca. Jej twarz pachniała różanym kremem, a gęste czarne włosy rozsypane były po aksamitnym kołnierzu watowanego szlafroka. Najwyraźniej szykowała się do snu.

- Niech tatuś wejdzie. - Cmoknęła go w policzek. - Napije się tatuś herbaty albo kawy?

- Nie rób sobie kłopotu, kochanie. - Ojciec powiesił w przedpokoju płaszcz i kapelusz, po czym wszedł do salonu. - Bez służącej masz i tak dużo do roboty. Ale to już niedługo…

Usiadł wygodnie w fotelu i zapalił papierosa. Nie częstował Rity, mimo iż wiedział, że pali. Jej widok z papierosem byłby dla niego nie do zniesienia. Wydawało mu się, że Rita to rozumie, ponieważ nigdy przy nim nie oddawała się nikotynowemu nałogowi.

- Poczęstuje mnie tatuś? - Jego przypuszczenia tym razem okazały się błędne.

Rita wyciągnęła dłoń w stronę papierośnicy. Pokręcił przecząco głową. Nie poznawał swojej córki. Pochylił się ku niej i pociągnął nosem. Nie wyczuł alkoholu. W salonie panował nieład. Na stole stały dwie filiżanki - jedna z czarnymi zaciekami po kawie, druga - oblepiona zaschniętymi liśćmi herbaty. W tej ostatniej tkwił niedopałek. Rita nigdy nie zalewała wrzątkiem herbaty w filiżance, a ta nigdy nie służyła jej jako

popielniczka. Skąd ta niechlujna odmiana? Na podłodze walały się rozłożone numery „Pani Modnej”. Beżowy dywan szpeciła brunatna plama.

Kiedy Rita była dzieckiem, składała swoje ubrania w kostkę i układała je w szafie - jedna sztuka na drugiej w porządku kolorów. Kiedy były tego samego koloru, kryterium stawały się jego odcienie. Teraz, jako młoda kobieta, siedziała w bałaganie, wśród papierów i niedopałków. Popielski nie poznawał córki.

- Co się z tobą dzieje, kochanie? - Ujął ją łagodnie za ręce. - Skąd ten bałagan? Wciąż nie daje ci spokoju to, co niedawno przeżyłaś?

- Używa tatko wciąż wody libańskiej? - Rita uśmiechnęła się, nieoczekiwanie tuląc się do ojca, chyba pierwszy raz od dwóch lat. - Bardzo trwały zapach. Golił się tatuś pewnie w południe, a ona cały czas pachnie.

- Tak, wciąż kupuję wodę cedrową Pod Czarnym Psem. - Objął ją za szczupłe ramiona.

Zapadło milczenie. Siedzieli przytuleni do siebie w ciepłym, rozproszonym poblasku. Lampa stojąca w kącie rozszczepiała światło swymi kolorowymi szkiełkami. Z nowoczesnego radia Ericsson dochodziły cicho jakieś wesołe przekomarzania. Popielski o nic nie pytał Rity. Wiedział, że albo sama podzieli się z nim kłopotami, albo nie zrobi tego wcale. Jej uwaga o wodzie kolońskiej mogła być dowodem szczerej miłości, a mogła być zasłoną dymną, skrywającą jakieś zakłopotanie. Rita zawsze była skryta, dumna i nieustępliwa. Poczuł, że drży. Płakała. Nie patrzył na nią. Nie chciał, aby pod wpływem jakiegoś nieporadnego gestu pocieszenia prysł ten chwilowy smutek, który może się zamienić w skłonność do zwierzeń. Pamiętał swoje wściekłe dyskusje z nastoletnią córką, po których czuła się ona upokorzona swoją słabością i po krótkim płaczu stawała się jeszcze bardziej uparta i zacięta. Ale teraz nie była już zajadłą w swym gniewie pannicą. Była młodą kobietą i matką, którą trapiły jakieś niepokoje. Popielski czekał.

W sypialni rozległ się wrzask dziecka. Na początku był podobny do zdartego, zardzewiałego okrzyku pawia, ale później stał się wysokim, monotonnym piskiem.

- Nie wytrzymam z tym bachorem! - krzyknęła Rita tak głośno jak jej synek i wcisnęła długie, wypielęgnowane paznokcie w gęste włosy. - Ja kiedyś z nim nie wytrzymam! Przed godziną położyłam go spać! I tak co wieczór, co wieczór!

- Uspokój się. - Popielski wstał i dotknął głowy córki. - Daj mi pogadać z moim wnukiem. Gdzie on jest?! - krzyknął, zmieniając głos. - Gdzie jest ten rozbójnik jeden!? O, ja mu zaraz dam!

W sypialni zapadła cisza. Po minucie rozległ się radosny bulgot dziecka. Popielski wtargnął gwałtownie do pomieszczenia, zrobił groźną minę, a jego krzaczaste brwi nastroszyły się srogo. Jerzyk aż przysiadał z radości, odchylając do tyłu główkę ozdobioną kilkoma pasmami wilgotnych włosów. Dziadek, zrzuciwszy marynarkę i kamizelkę, porwał wnuka na ręce i przewrócił się na plecy, padając jak długi na łoże Rity. Jerzyk otworzył usta i pokazał w uśmiechu swoje dwa ostre zęby.

Wtedy do pokoju weszła jego matka.

- Telefon do tatusia - powiedziała cicho i usiadła na łóżku obok ojca i syna.

Popielski wstał, wziął Jerzyka na ręce i tańczył z nim, śpiewając Tango łyczakowskie i kierując się do przedpokoju. Nie wyglądał teraz na kiepskiego tancerza. Powalcował do telefonu i podniósł odłożoną przez Ritę słuchawkę. To pewnie Leokadia, pomyślał, zapyta, kiedy będę na kolacji.

To nie była jednak kuzynka Popielskiego.

Komisarz po pięciu minutach wrócił do sypialni i wstawił Jerzyka z powrotem do łóżeczka. Mały zaczął już się nudzić na rękach dziadka i bardzo mu się spodobała ta odmiana. Zaczął uderzać w grzechotki umocowane na żyłce nad łóżkiem.

- On teraz już nie zaśnie - powiedziała ponuro Rita. - Tak go tatuś rozbawił.

- Od jutra mój wnuk - Popielski zaczął się ubierać - może całą swoją energię wydatkować na dziecińcach i w parkach.

- Naprawdę? - Rita uśmiechnęła się z radością. - Naprawdę?

- Za kwadrans to miasto będzie wolne od potwora.

Komisarz ucałował wnuka i córkę, po czym wyszedł z sypialni.

***

Popielski wsiadł do samochodu i ruszył ostro. Jechał w stronę ulicy Kazimierzowskiej. Już dzisiaj nie opóźniał finału swego dochodzenia, nie porównywał cielesnych rozkoszy w salonce ze szczęśliwym końcem sprawy, do którego się zbliżał, nie napawał się swoją władzą nad zbrodniarzem. Jechał szybko, ostro i niebezpiecznie.

Obok pomnika Smolki nieomal zderzył się, z własnej zresztą winy, z motocyklem. W jednej chwili skręcił gwałtownie kierownicą i - ominąwszy motor - wpadł w krótką uliczkę Kołłątaja, prowadzącą do więzienia u Brygidek. Spojrzał w lusterko i widział motocyklistę, który stracił tak niebezpiecznie równowagę, że koła motocyklowego wózka bocznego straciły kontakt z brukiem. Nie myślał jednak wcale o motocykliście ani o ewentualnym pasażerze wózka. W uszach wciąż mu brzęczała rozmowa z Mordziastym.

Kieszonkowiec w ciągu zaledwie dwóch kwadransów zdobył potrzebną Popielskiemu informację. Okazało się, że jeden ze smytraczy dostał w szynku dorożkarzy za operą zlecenie na kradzież dowodu. Zleceniodawcą był dziwnie zachowujący się człowiek. Miał melonik nasunięty na oczy, a szalik zakrywał mu połowę twarzy. Najdziwniejsze było jednak to, że kazał odnieść sobie skradziony dowód pod domowy adres. Brzmiał on „Bernsteina 5, suteryna”. Po ukradzeniu dowodu jakiemuś pijakowi na ulicy Kleparowskiej doliniarz ów poprosił Mordziastego o to, aby wraz z kilkoma innymi był mu obstawą przy dostarczaniu zleceniodawcy „fantu”. Wbrew obawom ochrona była niepotrzebna i wszystko przebiegło w najlepszym porządku. Pod czujnym okiem ukrytych kolegów kieszonkowiec dostarczył zamówiony dowód, odebrał zapłatę i bezpiecznie opuścił kamienicę.

Popielskiemu nie dawało spokoju jedno istotne spostrzeżenie Mordziastego. Kieszonkowiec ów, należąc wtedy do obstawy, stał przy oknie suterenowego mieszkania zleceniodawcy. Spojrzał przez nie i dostrzegł nastoletniego chłopca. Mordziasty nazwał

go „mentekaptusem”. Kiedy Popielski usiłował dowiedzieć się czegoś bliższego na temat zachowania chłopca, Mordziasty odpowiedział: „To koniec naszej umowy, pulicaju”, i odłożył słuchawkę.

Dochodziło wpół do jedenastej, kiedy Popielski zaparkował pod komisariatem na ulicy Kazimierzowskiej. Wysiadł i po kilku sekundach wszedł w ulicę Bernsteina. Kamienica, opatrzona numerem 5, była w stanie renowacji. Przed nią wznosiło się rusztowanie, na którym ustawione były blaszane beczki z wapnem. Obok beczek siedział jakiś młody człowiek, palił papierosa i majtał nogami. Był to najwidoczniej stróż pilnujący budowlanego dobytku pozostawionego przez robotników. Spojrzał uważnie na Popielskiego i - otaksowawszy jego ubiór - szybko uznał, że ten elegant nie może być potencjalnym złodziejem tynku, farby suchej lub zaprawy murarskiej.

Komisarz wszedł do bramy nie niepokojony przez nikogo. Była otwarta na oścież, co świadczyłoby, że dozorca albo tu nie mieszkał, albo nie pełnił funkcji nocnego portiera. Słaba żarówka oświetlała jakieś obwieszczenie oraz listę lokatorów. I to, i to wypisane było krzywymi literami. Obwieszczenie było krótkie, informowało o inspekcji kominiarza i domagało się bezwarunkowej obecności wtedy w domu wszystkich lokatorów. Lista mieszkańców była natomiast długa i zawierała dwadzieścia pięć pozycyj. Pod słowem „suteryna” zapisano „Bernard Garyga”.

Popielski zszedł po dwóch schodkach w stronę drzwi do piwnicy i ujrzał przed nimi drzwi do mieszkania Garygi. Padał zza nich wąski promień światła i rozrzedzał nieco ciemność korytarza. Komisarz zdjął kapelusz i przyłożył do drzwi ucho. Usłyszał szczęk talerzy i piskliwe okrzyki. Wyszedł na podwórko i zbliżył się cicho do okna, którego parapet był kilka centymetrów powyżej gruntu. Kucnął przy ścianie, a potem ostrożnie wystawił zza framugi jedno oko i policzek.

Okno było otwarte i niezasłonięte. Ubogą izdebkę zajmował duży stół przykryty ceratą. Siedział przy nim szpakowaty mężczyzna w koszuli bez kołnierzyka i w kamizelce. Duże, spracowane dłonie zaciskał w pięści. Treść rozłożonej przed nim książki najwyraźniej go wzburzała, bo co chwila zaciskał mocno dłonie, aż bielały ich kostki. Przy stole stał dobrze zbudowany chłopak, lat około piętnastu. Jego krótko ostrzyżona głowa zwężała się ku górze jak stożek. Miał małe oczy głęboko wciśnięte w oczodoły otoczone ciemnymi obwódkami. Obie dłonie wsadził w brudne po kolacji talerze i przesuwał te naczynia po stole. Stukały one przy tym o siebie, wydając brzęk. Cała zabawa najwyraźniej była chłopakowi dobrą rozrywką, bo do dźwięków uderzanych naczyń dołączał się co chwila jego wesoły pisk.

- Zostaw to - powiedział łagodnie mężczyzna do chłopca. - Bo tatusia głowa boli.

Popielski pchnął lufą pistoletu skrzydło okna, aż ta zderzyła się z doniczką. Kucał w otwartym oknie i mierzył z browninga do obu mężczyzn. Zgodnie z ustawą o postępowaniu karnym powinien był tu przyjść w dzień w towarzystwie przynajmniej dwóch świadków postronnych oraz gospodarza domu, a w razie jego nieobecności poprosić o asystę jego żonę lub któregoś ze starszych lokatorów. Rewizja w nocy powinna być uzasadniona w protokole. A jedyne uzasadnienie, które mu przychodziło na myśl, brzmiało: „wybrałem noc z powodu epilepsia photogenica”. Wszystko, co teraz Popielski czynił, mogło go narazić w przyszłości na dochodzenie dyscyplinarne. Ale przepisowe

postępowanie było i tak w tym momencie bezcelowe. Komisarz poczuł gorycz w gardle. To był smak frustracji. Mężczyzna przy stole w niczym nie przypominał zbrodniarza z fabryki ultramaryny.

***

Popielski przesunął w oknie doniczkę z geranium i postawił stopę na parapecie. Patrząc na swoją cienką jedwabną skarpetkę, poczuł niesmak, że w tym nowym, nienagannie czystym, beżowym garniturze, że w tej szlachetnej, drogiej bieliźnie musi włazić do jakiejś śmierdzącej nory - i to w dodatku oknem, aby mieć na oku jej mieszkańców. Chwycił się jedną ręką framugi i wgramolił na parapet. Ciężko skoczył na deski podłogi. Podniósł się z nich obłok kurzu, który osiadał na jego błyszczących brązowych trzewikach.

Wciąż trzymając na muszce obu mężczyzn, podszedł do kuchni węglowej, przy której na stołku stało napełnione wodą wiadro z przewieszonym przez kabłąk ręcznikiem. Uniósł raz jedną, raz drugą nogę i wytarł o wiszący ręcznik kurz z nosków butów.

- Zabrudził mi pan ręcznik - powiedział powoli mężczyzna i usiadł z powrotem na krześle.

Popielski przeklinał w duchu to śledztwo, które go uwodziło i porzucało w tym momencie, kiedy już-już obiecywało koniec i spełnienie. Prowadził je zajadle i bezskutecznie - wbrew instrukcjom, wbrew policyjnym zwyczajom, nawet wbrew honorowi. Korzystał z pomocy łotrów i złodziejów, bił i poniewierał niewinnych ludzi tylko po to, aby dostać jakiś ochłap fałszywego tropu, jakieś ślepe przyczynowe ogniwo, jakąś obietnicę bez pokrycia. Właził do brudnych nor, do melin zboczeńców ruchających słoninę, brudził sobie ubranie i sumienie - tak, w takiej właśnie kolejności! - i stawał się jęczącą animulą, popadał w coraz większe rozżalenie, które zapijał wódką i tłumił rozpustą. I właśnie teraz był bardzo rozżalony. Na jakiegoś nędzarza i nędznika, który zabrania mu wytrzeć o swoją brudną szmatę letnie, drogie buty!

Uniósł szybko nogę i z całej siły kopnął siedzącego mężczyznę. Uczynił to umiejętnie - obcasem - tak, aby nie pobrudzić trzewika.

Mężczyzna runął na ziemię wraz z krzesłem. Z jego nosa wolno wylała się struga krwi. Chłopiec podskakiwał, piszczał ze strachu, a swoją stożkowatą głową rzucał na prawo i lewo. Popielski wyjął z marynarki pióro Waldmann i uniósł nim ręcznik, po czym rzucił go na twarz leżącego.

- Teraz dopiero ta szmata jest brudna - powiedział i przysunął sobie krzesło.

Zdjął marynarkę, zarzucił ją sobie na ramiona, z mankietów wyjął spinki, podwinął rękawy, usiadł okrakiem na krześle. Miarowo stukał pięścią w oparcie. Za każdym uderzeniem chłopiec mocniej drgał, zdawało się nawet, że podskakuje.

- Policja kryminalna. Komisarz Edward Popielski - powiedział wolno nieproszony gość. - A teraz ty się przedstaw! Tego wymagają dobre maniery.

- Bernard Garyga. - Mężczyzna otarł twarz ręcznikiem. - Komiwojażer.

- Lat?

- Czterdzieści i pięć.

- Wykształcenie?

- Dwie klasy gimnazjum klasycznego.

- Co sprzedajesz?

- Męską konfekcję, a ot co! - Garyga wskazał na kąt pokoju, zasłonięty poszarpaną kotarą. - Otwórz no, Stasiu, kącik i pokaż panu, co my tam mamy.

Chłopiec uczynił, co mu kazano. Za kotarą stały skrzynki i pudełka wypełnione krawatami, chusteczkami i szelkami.

- Na co choruje twój syn?

- Nie wiem. - Garyga podkurczył nogi i patrzył z podłogi na policjanta. - Jest taki od małego.

- Jaki?

- Nie mówi nic oprócz „tatku". Piszczy i krzyczy. Ale ja go tam rozumiem.

- A jego matka?

- Nie wiem, gdzie jest. - Wzrok siedzącego się zmienił. - Nie wiem, czy żyje. Tylkośmy we dwóch. Ja i Stasiu.

- Niech pan wstanie z tej podłogi, panie Garyga. - Popielski bawił się swoim sygnetem. - Niech pan się oprze o piec. Pozwolę panu usiąść, jeśli nabiorę do pana zaufania.

- O co jestem oskarżony? - Garyga stanął posłusznie obok pieca.

Chłopiec natychmiast do niego dopadł. Objął go wpół i drżał mocno. Mężczyzna pogłaskał go po krótkich szorstkich włosach. Popielski zaczął miarowo uderzać obcasem o deski podłogi. Chłopiec podskakiwał w takt tych odgłosów.

- Jest pan oskarżony - Popielski uważnie dobierał słowa - o kupno przedmiotu skradzionego, czyli o paserstwo.

- Nigdy nie kupiłem żadnego fantu. - Garyga przestąpił z nogi na nogę.

- Pewien lwowski kieszonkowiec twierdzi inaczej. Pół roku temu w knajpie dorożkarzy za operą zlecił pan kradzież dowodu osobistego i podał adres, pod który ten dowód miał być odniesiony. Kieszonkowiec wypełnił zadanie, a ponieważ się obawiał jakiejś zasadzki w cudzym mieszkaniu, przyszedł tu, do pana, z kolegami, którzy obserwowali całą transakcję. Pan dostał dowód, a złodziej pieniądze. Widziało pana czterech kieszonkowców. Tak było?

- Nie.

- A jak?

- Znaczy… Niczego takiego nie było. Nikomu nic nie zleciłem. - Garyga patrzył Popielskiemu w oczy bez zmrużenia powiek. - Żadnych fantów, żadnych złodziejów. Ja

nie jestem paser, ja jestem komiwojażer.

Popielski przesunął brudne talerze po blacie stołu, wyjął z kieszeni dużą kraciastą chustkę, na pustym miejscu blatu ułożył ją starannie, wygładził dłonią, a potem zdjął melonik i położył go na niej.

- Przynajmniej się nie pobrudzi. - Podrapał się po głowie. - Znasz kogoś, kto tak dba o melonik? Kto lubi meloniki?

Garyga milczał, Popielski patrzył, Stasio drżał.

- Dowód ten osobisty należał do niejakiego Marcelego Wilka, robotnika. Pół roku temu skradziono mu dokumenty. Złodziej mówi, że zaniósł go panu, panie Garyga. Potem na ten dowód wypożyczono kilof z wypożyczalni narzędzi na Piekarskiej. Tym kilofem połamano nogi małemu dziecku, Kaziowi Markowskiemu. Słyszał pan o tym?

- Tak.

- Wie pan, jak wygląda dziecko z połamanymi nóżkami?

- Nie, nigdy nie widziałem.

- Połamane kości napierają na skórę, wie pan, panie Garyga? Pod skórą robią się wybrzuszenia, duże gule. Wyobraża pan sobie. - Wstał, podszedł do Stasia, który wciąż drżał przy ojcu. - O tu, pod kolanem. - Dotknął nogi chłopca. - Może być gula, najpierw kolano, a pod nią gula. Skóra jest zaczerwieniona, napięta. Kiedy kość jest złamana na ostro, może przebić skórę.

- Nic o tym nie wiem. - Garyga wciąż patrzył obojętnie na komisarza. - Nie jestem lekarzem.

Popielski rozejrzał się po izbie. Na przeciwległej ścianie wisiała na sznurkach deska z czterema książkami i z tandetnym odpustowym obrazkiem. Policjant podszedł do tej prowizorycznej półki. Przechylił głowę i przeczytał tytuły. Kodeks handlowy Dobkiewicza, Buchalteria dla absolwentów szkół powszechnych Filiera, Księgi handlowe Krzywdy i Rocznik polityczny i gospodarczy z 1938 roku.

- To było tak. Po kolei. Każda pańska książka to jedno zdarzenie. Najpierw ukradziono dowód Wilkowi. - Wysunął z szeregu książek Kodeks handlowy. - Potem złodziej przyniósł go panu. - Wysunął podręcznik Filiera. - Potem pan przekazał komuś, nazwijmy go „Herodem”, ukradziony dowód. - Na środek półki wyjechały Księgi handlowe. - A potem Herod wypożyczył kilof i połamał nim nóżki Kazia. - Rocznik polityczny i gospodarczy podzielił los pozostałych książek. Stały one teraz blisko brzegu półki.

Popielski oparł palec na opasłym tomie Ksiąg handlowych Krzywdy i zrzucił go na podłogę. Chłopiec pisnął, odwrócił głowę i patrzył z przerażeniem na leżącą na podłodze książkę.

- To jest dla mnie zagadka. - Popielski wskazał na nią palcem. - To przekazanie dokumentów Herodowi. Niech mi ją pan rozwiąże. Kim jest Herod?

- Ja nic nie rozumiem, o co chodzi. - Garyga mocniej objął syna. - Herod to ze świętej Ewangelii.

- Komu przekazałeś dowód?

- Nie miałem w ręku żadnych skradzionych dokumentów. - Tym razem komiwojażer spuścił wzrok i dodał cicho. - Nie boję się, że sąd mnie skaże za paserstwo. Nie ma pan żadnego dowodu na moje przestępstwo oprócz zeznań jakiegoś kieszonkowca. A on to niby co? To niby będzie zeznawał w sądzie? Powie „Wysoki sądzie, to ja ukradłem jakiś dowód”? Przyzna się do winy? Pokaż mi pan takiego, co się przyzna!

- On już się przyznał. - Popielski uśmiechnął się szeroko i, jak zawsze przy blefowaniu, poczuł nerwowe drżenie jakiegoś mięśnia przy łokciu. - On siedzi u Brygidek, oskarżony o zabójstwo pewnego bogatego Żyda. Siedzi i słodko się przyznaje do wszystkiego, tylko nie do zabójstwa. A ja go słucham i mówię mu tak: „Potwierdzisz w sądzie, kochaniutki, że dostarczyłeś skradziony dowód Garydze? Potwierdzisz? To zapomnimy o zabójstwie Żyda, dostaniesz kilka lat za swoje dawne sprawki i umkniesz katu spod szubienicy. A wiesz, Garyga, dlaczego mogę mu to obiecać? Bo dla mnie ważniejszy jest ten głupi dowód osobisty niż zabójstwo! Bo zabójstw widziałem wiele, a dziecko z połamanymi nóżkami tylko jedno. A zatem masz odpowiedź na twoje pytanie. Tak, odpowiadam, ten złodziej zezna przeciwko tobie, a ty trafisz na dwa lata do Brygidek za paserstwo.

- Niech zeznaje - mruknął Garyga. - Zobaczymy, komu sąd uwierzy.

Popielski poskubał swój melonik, jakby zbierał z niego niewidzialne nitki. Spojrzał przy tym na rozłożoną książkę, która, co widział wcześniej zza okna, wzbudziła u Garygi jakieś emocje. Jak postępować z dziećmi umysłowo niesprawnymi - przeczytał tytuł.

- A wiesz ty, krawaciarzu - znów się uśmiechnął - że Herod ma syna? Chorego tak jak twój. Umysłowo niesprawnego. A może to ty jesteś Herodem? No, powiedz! Jesteś nim? Może to właśnie ty wypożyczyłeś kilof i połamałeś nim nogi dziecka? Z nienawiści do innych dzieci, bo sam masz dziecko nienormalne!

Garyga milczał i nie patrzył na policjanta.

- Posłuchaj, człowieku, ja jestem twoim wybawicielem, wiesz? Jestem jedynym, który wie, że ty i Herod to dwie różne osoby. Bo ja się spotkałem z Herodem. Ale mnie nic nie powstrzyma. - Złączył dłonie za plecami i obszedł stół dokoła. - Mnie nic nie powstrzyma - powtórzył - aby skłamać i zeznać, że to ty jesteś zbrodniarzem. I komu wtedy sąd uwierzy? Nędznemu komiwojażerowi, pokątnemu sprzedawcy krawatek i skarpet, czy mnie - szanowanemu i ogólnie znanemu policjantowi?

- I dobrze. - Garyga uniósł wzrok. - Mnie pan wsadzi, ale prawdziwego pan nie znajdzie. To co panu przyjdzie, że mnie wsadzi?

- Pytasz, co zyskam, że cię wsadzę? - Popielski długo sam sobie nie odpowiadał. - Wiesz, kim były Erynie? - Popielski zapalił ostatniego papierosa. - Greckimi boginiami zemsty. A ja jestem ich wyznawcą, czcicielem. I złożę im z ciebie ofiarę… Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie.

- Wsadzę cię do Brygidek z zemsty za to, że nie wydałeś mi Heroda. - Spojrzał na książkę o dzieciach niespełna rozumu. - Mów! Kim jest Herod?

- Królem żydowskim ze świętej Ewangelii.

Mijały chwile. Garyga milczał, Popielski palił, chłopiec podskakiwał.

- Ubieraj się - powiedział komisarz. - Idziemy.

- Dokąd?

- Pokażę ci, co się stanie z twoim Stasiem, kiedy ty będziesz siedział u Brygidek.

***

Franciszek Wojciechowski w branży cyrkowej działał od lat z górą trzydziestu. Zaczynał jako atleta w wędrownej tancbudzie wiedeńczyka, Karla Siebenwassera, która z sukcesem objeżdżała wszystkie cesarsko-królewskie prowincje - od Dalmacji po Bukowinę. Walki Wojciechowskiego były udawane, o czym wiedzieli tylko pryncypał i aktualny przeciwnik. Atleci brali się za bary wtedy, gdy milkła orkiestra, a goście, zmęczeni tańcem, zasiadali przy stołach. Bywalcom zakładu oferowano zatem rozrywkę nieustanną - jeśli nie tańczyli, to jedli i pili, a jeśli i to napawałoby ich nudą, wówczas mogli podziwiać tarzających się w piasku atletów, a nawet obstawiać zwycięzców tych walk. Bardzo szybko zapaśnicy zorientowali się, że mogą dobrze, choć nielegalnie, dorobić do skromnego honorarium. Możliwość taką stwarzało obstawianie po cichu własnych walk lub też tajne umowy z pokątnymi bukmacherami, którzy odpłacali się im godziwym procentem za sfingowanie jednej czy drugiej walki. Proceder ten stał się tak oczywisty, że wieść o nim doszła do pryncypała. Pan Siebenwasser - po przesłuchaniu różnych donosicieli i po przeliczeniu swych strat - wynajął pewnego dnia innych osiłków, a wszystkich sobie niewiernych natychmiast wyrzucił z pracy. Nie była to jedyna kara, jaka ich spotkała. Dwaj, którzy się najbardziej sprzeniewierzyli wiedeńczykowi, opuścili jego zakład z obandażowanymi prawymi rękami. Jeden z nowo przyjętych do pracy atletów, nałogowy - jak się okazało - sadysta, zmiażdżył drzwiami palce owym dwóm niewdzięcznikom. Jednym z nich był Franciszek Wojciechowski.

Po tej smutnej nauczce postanowił on już więcej nie występować na arenie i zająć się jedynie organizowaniem rozrywek. I tak też zrobił, a jako znawca środowiska cyrkowców i gustów publiczności, zaczął w tym interesie odnosić znaczne sukcesy.

Po pierwsze, poszerzył swój repertuar, gdy na początku lat dwudziestych okazało się, że konkurencja jest na tym polu coraz większa, a dobre obyczaje rynkowe są psute przez jakieś przygodne, wędrowne trupy, w których atletami są - co było widać na pierwszy rzut oka - zamroczone alkoholem wiejskie zawalidrogi lub oderwane od pługa parobki. Po drugie, osiadł na stałe we Lwowie, gdzie znalazł wspólnika, kupił spory kawał ziemi koło Piaskowej Góry i postawił tam ogrzewany zimą namiot i wozy cyrkowe dla artystów. Po trzecie w końcu, występy podzielił na dzienne i nocne. Te ostatnie, dyskretne i nie dla każdego przeznaczone, sprawiły, że popadł w konflikt ze stróżami prawa, którzy naszli go jakąś ciemną nocą pod koniec złotej dekady i w jego namiocie odkryli kilkunastu panów delektujących się występami nagich panien. Ponieważ ci panowie należeli do najlepszego towarzystwa, a policjanci, po przesłuchaniu owych panien, nie nabrali żadnych podejrzeń o handel żywym towarem, Wojciechowskiemu udało się wyłgać z zarzutów o nieobyczajność. Obiecał przy tym solennie, iż zrywa z praktykami, które on sam uważał

za artystyczne, zaś ludzie małego ducha - za pornograficzne. Od tego czasu dyrektor okazywał wielki szacunek jednemu z owych policjantów, który był najbardziej ze wszystkich wyrozumiały dla tychże artystycznych występów, pomógł znacznie Wojciechowskiemu w trudnych procedurach, a w zamian nacieszył się względami kilku artystek, z którymi udał się kilka razy na wycieczkę do Krakowa. Potem kontakty obu panów się urwały. I właśnie dzisiaj w nocy Wojciechowski spotkał raz jeszcze owego zaprzyjaźnionego komisarza.

Noc była bardzo ciepła i zapowiadała upalne lato. Wojciechowski podliczył dzienny utarg i zamykał właśnie okiennice w obawie przed komarami, kiedy ujrzał światła samochodowe pod bramą okalającą jego zakład opatrzony szyldem „Letni cyrk i lunapark El Dorado. F. Wojciechowski i St. Szmid”. Wyszedł na zewnątrz i zbliżył się do bramy. Światła samochodu zgasły, drzwi trzasnęły i przed bramą stanął, wielce szanowany przez niego, komisarz Edward Popielski.

- Dobry wieczór, kochany dyrektorze! - krzyknął policjant. - Czy mogę mieć prośbę do kochanego dyrektora?

- Ależ oczywiście, drogi panie komisarzu. - Wojciechowski przywitał się wylewnie z nocnym gościem. - Sługa uniżony pana komisarza! Dobry wieczór! Dobry wieczór!

- Mam tu kogoś, dyrektorze - Popielski pochylił się nad gospodarzem - kim chciałbym, by pan się teraz zajął.

Wyszeptał mu na ucho swoją prośbę, oglądając się co chwila na samochód, w którym dwie ciemne sylwetki były widoczne w słabym świetle wiszącej nad bramą latarni. Dyrektor skinął głową kilkakrotnie i bardzo uniżenie, lecz nie mógł ukryć zdziwienia i pewnej odrazy, które zagościły na jego fizjognomii.

Popielski podszedł do samochodu i otworzył wszystkie drzwi kabiny pasażerskiej.

- Wysiadaj, Garyga. Kajdanki ci rozepnę, gdy będziesz na zewnątrz.

Część kanapy od strony pasażera opuścił szpakowaty mężczyzna i stanął bardzo blisko drzwi. Dalej odejść nie mógł. Przegub jego lewej ręki był połączony kajdankami ze szprosem samochodowego okienka. Tym samym wyjściem gramolił się chłopiec.

- A ty gdzie?! - wrzasnął na niego Popielski. - Wychodź swoimi drzwiami!

- Wyjdź tam, Stasiu. - Garyga wskazał ręką na drzwi kabiny od strony szofera i spojrzał na policjanta bez wyrazu. - Proszę nie krzyczeć na mojego syna, on rozumie bez krzyku.

Popielski podszedł do chłopca i chwycił go za kołnierz. Impet tego ruchu i siła jego uchwytu była tak wielka, że Stasio stracił kontakt z ziemią. Popielski drugą ręką chwycił go za pasek spodni i wprawnym ruchem wykidajły wtargał go za bramę. Trzymając go mocno, odwrócił się do ojca. Ten wrzeszczał i bulgotał niezrozumiale. Rzucał się całym ciężarem ciała na drzwi i omal ich nie wyłamał. Zrobił to po raz drugi, ale z mniejszą siłą. Syknął z bólu. Jego przegub został mocno nadwerężony przy tych gwałtownych ruchach.

- Oddawaj mi syna, ty bandyto! - wyartykułował w końcu.

- Kim jest Herod? - wrzasnął Popielski, trzymając mocno chłopca. - Mów, kogo

kryjesz! Tego, co dziecku połamał nogi kilofem!? Zboczeńca, który tępym nożem rżnął skórę chłopca i wypuszczał mu krew?! Ty, ojciec nieszczęśliwego dziecka, jeszcze się wahasz?! Wciąż masz szansę! Bo za sekundę twój chory pomiot znajdzie się wśród odmieńców!

- Oddaj syna! - Głos Garygi przeszedł w falset.

- Bierz go, dyrektorze, pod pachy - warknął policjant.

Popielski i Wojciechowski unieśli chłopca i - ciężko sapiąc - ruszyli w stronę namiotu. Krzyki obudziły ludzi z sąsiedniej posesji. W nieoświetlonych oknach pojawiły się jakieś głowy, lecz zaraz znikły. W okolicach Wysokiego Zamku nie takie krzyki i złorzeczenia były zwykłą nocną muzyką.

Stasio był bezwładny, lecz przytomny. Rzucał jedynie głową na boki, patrząc to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Gdy doszli do wejścia do namiotu, komisarz otarł pot z czoła.

- Niech pan obudzi wszystkich - wysapał Popielski. - Niech robią to co zwykle. Tego chłopaczynę do ostatniego boksu! A ja będę z tamtym za pięć minut!

- Oni rzadko kiedy śpią, wciąż tylko by się szpuntowali - odparł Wojciechowski i wszedł do namiotu, ciągnąc za sobą Stasia.

Popielski wrócił do samochodu. Garyga klęczał pod drzwiami i bił czołem o szybę. Charczał przy tym i szlochał. Kiedy komisarz zbliżył się do samochodu, przykuty kajdankami człowiek spojrzał na niego. Jego oczy były suche. Popielski stał na szeroko rozstawionych nogach.

- Pójdziesz siedzieć za paserstwo, a twój Stasio będzie wśród odmieńców. Już tam jest. Ale jedno twoje słowo… Właściwie dwa słowa, a uwolnię go. Nie przeżyjesz czegoś najgorszego, czegoś, czego lepiej, byś nigdy nie widział! Powiedz te słowa!

- Jakie to słowa?

- Imię i nazwisko Heroda.

- Chyba Herod Agryppa - wyszeptał Garyga.

Popielski spojrzał na zegarek i zastygł. Nauczył się tak trwać bez ruchu całymi godzinami i panować nad mięśniami twarzy. Była to bardzo przydatna umiejętność, gdy - jako oficer austriacki i adiutant obrońcy twierdzy Przemyśl Hermanna Kusmanka von Burgneustattena - przebywał wraz z austriackim generałem w głębi Rosji, gdzie z carskimi oficerami grał w karty o niebotyczne sumy, a nierzadko o własne życie.

Spojrzał na zegarek. Minął kwadrans.

- Odepnij się. - Popielski jedną ręką podał kluczyki komiwojażerowi, drugą zaś wyjął browning. - Idź przede mną do tego namiotu. Tam zobaczysz coś, czego nigdy nie zapomnisz.

Garyga odpiął się od drzwi samochodu, zdjął drugą obręcz kajdanków z przegubu, a potem wykonał gwałtowny ruch ręką. Zaszeleściły pobliskie krzaki, gdy wpadały w nie kluczyki.

- Już ci się nie dam przykuć, glino - warknął Garyga. - Prędzej ci gardło przegryzę, niż mnie znowu przykujesz.

- Idziemy. - Popielski wykonał ruch browningiem. - Jeden podejrzany gest w moim kierunku, a przestrzelę ci rękę lub kolano. Zależy, w co trafię.

Podeszli do namiotu, który tymczasem został rozświetlony od wewnątrz.

- No wchodź! - Popielski wsadził Garydze lufę między łopatki.

Weszli do namiotu, który był podzielony płóciennymi ściankami na szereg małych przepierzeń, skąpanych teraz w ostrym elektrycznym świetle.

- No, oglądaj! - Popielski znów szturchnął Garygę lufą. - Zaczynaj od pierwszej komnaty dziwów.

Siedziała w niej bardzo gruba kobieta. Jej potężne nogi i uda pokryte były gęstym ciemnym włosem. Była prawie rozebrana. Na swoje pudenda, i tak już zresztą skryte trzyfałdowym brzuchem, zarzuciła kraciastą chustę z frędzlami, a piersi ukryła pod splecionymi ramionami. Bez śladu ciekawości patrzyła małymi oczami na oglądających ją mężczyzn. Jakieś pozostałości jedzenia tkwiły w rzadkich włosach jej brody i wąsów.

- To babochłop - powiedział Popielski. - Możesz ją oglądać, ale możesz ją też posiąść. Za pięć złotych nadstawi ci swoją wielką jamę!

W drugiej komnacie siedział karzeł o ogromnej głowie. Ubrany był w czerwoną kamizelkę, spod której wystawały umięśnione ręce pokryte więziennymi tatuażami. Dolną część jego garderoby stanowiły spodnie o trzech nogawkach. Dwie opinały krótkie nogi, trzecia zaś, wypełniona do końca, zwisała pomiędzy nogami na wysokości kolan.

- Domyślasz się, co on ma w tej trzeciej nogawce? Za specjalną opłatą pokazuje to coś damom. Ponoć niektóre mdleją z wrażenia, a inne po kryjomu umawiają się z tym pokraką i korzystają z jego względów.

W trzeciej komnacie ryczał na całe gardło potężny człowiek. Ubrany był w tunikę, a obuty w sandały, których rzemienie owijały się wokół jego pokrytych krostami łydek. Broda i gęste czarne włosy zostawiały mu bardzo niewiele nieowłosionego miejsca na obliczu, z którego błyskały okrągłe małpie oczy.

- Ten raz bywa gladiatorem - objaśniał dalej Popielski - a gdy się gladiator opatrzy widzom, zamienia się w King Konga. W tej drugiej roli staje się również pożeraczem żywych węży. Za dodatkowym honorarium zeżre na twoich oczach żywą żmiję lub połknie całego zaskrońca! Patrz tylko na to. - Wskazał leżące wokół płaty wężowej skóry, po których ślizgały się białe larwy. - A teraz zobaczysz najgorsze. I pamiętaj o tym, że trzymam cię na muszce. Jeden fałszywy ruch i kulejesz do końca życia.

W czwartej komnacie siedział Stasio. Był przywiązany do krzesła grubym sznurem. Ręce miał opuszczone wzdłuż ciała. Patrzył na stojących przed nim ludzi. Światło załamywało się na jego zdeformowanej głowie i nie dochodziło do jego oczu. Oczodoły były jeszcze ciemniejsze i oczy były w nich wcale niewidoczne. Wyglądały jak dwie czarne dziury wydrążone w kanciastej bryle czoła.

Garyga rzucił się do chłopca i zaczął rozwiązywać sznur. Popielski wziął bat, oparty

o ścianę namiotu, i strzelił z niego głośno. Stasio drgnął mocno w objęciach ojca. Komisarz strzelił ponownie. Chłopiec aż podskoczył.

- Panie i panowie! - krzyczał Popielski, jakby był konferansjerem cyrkowym. - Oto przed wami kolejne dziwadło, które odtańczy taniec świętego Wita! Jeden strzał - jeden krok taneczny!

Strzelał z bata, skurcze przebiegały przez ciało dziecka, ojciec drżącymi rękami usiłował rozplątać marynarski węzeł zasupłany na linie.

- Tańcz, szatański pomiocie! - wrzeszczał Popielski i strzelał z bata. - Tańcz, a tłum będzie szalał z uciechy! Podryguj, a tłum będzie wył! A wieczorem otrzymasz nagrodę - zaszpuntujesz ciemną jamę babochłopa!

Garyga rozwiązał syna i tulił go do piersi.

- Pójdziesz do więzienia za paserstwo. - Popielski syczał do ucha przerażonego ojca. - A twój syn zostanie sam. Wtedy ja zatelefonuję do kochanego dyrektora. I niedługo po moim telefonie Stasio trafi do odmieńców i stanie się uciechą dla tłuszczy.

Garyga nie reagował. Tulił wciąż syna, a na twarzy drżały mu mięśnie.

- Rozumiesz, kanalio bolszewicka? - Komisarz był tak wściekły, że zamierzył się batem na komiwojażera. - Rozumiesz, że twój synuś, twój chory synuś, zostanie straszydłem?

Stasio przestał drżeć. Odsunął delikatnie ojca i uśmiechnął się do Popielskiego.

- Synuś, synuś - powiedział dziwnym piskliwym głosem. - Dzie synuś? Dzie je synuś? Ja chce do synuś! Ja bawi z synuś!

Wtedy Bernard Garyga zaczął płakać. Popielski odłożył bat i podszedł do roztrzęsionego ojca. Oparł mu rękę na ramieniu.

- Herod Agryppa? - zapytał.

- Tadeusz Szałachowski - odparł Garyga, nie patrząc na Popielskiego. - A jego synuś to Andrzej Szałachowski. Mieszkają na Sobieskiego 15.

Nieszczęsny ojciec odwrócił się i plunął komisarzowi w twarz. Ten wstał, wytarł plwocinę z twarzy chustką perfumowaną wodą libańską, ozdobioną starannie wyszytym monogramem, po czym rzucił ją na stos wężowych skór.

Franciszek Wojciechowski patrzył na to wszystko rozszerzonymi źrenicami. Do komisarza Popielskiego nie odczuwał już teraz ani odrobiny szacunku.

***

W ulicę Sobieskiego wjechała dorożka, a w ślad za nią chevrolet. Oba pojazdy zatrzymały się pod numerem 15. Była to przeciętna kamienica, jakich wiele było w okolicach Rynku.

Popielski spuścił wzrok z budynku i przyglądał się, jak Bernard Garyga budzi Stasia. Po chwili ojciec i syn wyszli z dorożki i zbliżyli się do bramy. Pierwszy unikał wzroku

komisarza, drugi - ocuciwszy się ze snu - podskakiwał i uśmiechał się, wskazując co chwila palcem na bramę.

Komisarz wcisnął guzik dzwonka przy drzwiach wejściowych. Po chwili powtórzył tę czynność kilkakrotnie. Trzymał guzik przyciśnięty i przerywał co chwila strumień dźwięku.

- Co jest? Co jest? - Rozeźlony głos portiera słychać było z daleka - Co to piekarnia? A poczekać mi tu chwili!

- Policja kryminalna! Otwierać!

Ta informacja - jak było najwyraźniej słychać - przyśpieszyła kroki portiera. Po sekundzie stał przy bramie, otwierał klapkę wizjera i mierzył wzrokiem trzech stojących przed bramą mężczyzn. Na widok Garygi i Stasia roześmiał się wesoło, na widok policyjnej blachy - spoważniał i natychmiast otworzył drzwi.

- Wizja lokalna - powiedział Popielski. - Prowadź pan! Prosto do mieszkania Szałachowskiego.

- A w czwartek się wyprowadził, właśnim izby wybielił - odparł portier i podał rękę ojcu i synowi. - Dobry wieczór, panie Garyga.

- Dobry wieczór, panie Dominiak.

- Co tak późno, o co tu chodzi, panie Garyga? - scenicznym szeptem zapytał stróż.

- Milcz pan, kiedy go nie pytają - mruknął groźnie Popielski. - A teraz nie przeszkadzaj i idź się zdrzemnij!

- Ta biory łachy pod pachy i już mni ni ma - odparł stróż dotknięty do żywego tymi rozkazami.

- Czekaj no. - Popielski zmienił decyzję. - Pójdziesz z nami! Weź klucze! Pokaż no, chłopaczyno - zwrócił się do Stasia. - Gdzie mieszkał synuś!

Chłopiec szybko pobiegł na wewnętrzny podwórzec, na którym znajdowały się wejścia do dwóch bram oraz dwa balkony połączone schodami z podwórkiem. Z balkonów wchodziło się do dwóch znajdujących się naprzeciw siebie zakładów rzemieślniczych. Pod lewym balkonem widać było małe okienko.

- Synuś! Synuś! - krzyknął chłopiec, stukając w szybę okienka.

- Proszę otworzyć. - Komisarz spojrzał na stróża. - A potem nas zostawić.

Po sekundzie Popielski i Garygowie stali w oświetlonej izbie pachnącej mokrym wapnem. Była ona nieduża i prawdopodobnie ciemna nawet za dnia, gdyż małe okienko było prawie schowane pod schodami.

- Tu przychodził pan ze Stasiem? - zapytał Popielski.

- Tak.

- Po co?

- Andrzejku Szałachowski opiekował się Stasiem, kiedy ja musiałem chodzić po domach z moim towarem. Ten chłopak był mi bezcenny. Mogłem normalnie pracować i

nie martwić się o Stasia.

- Gdzie się oni poznali?

- Znają się od dziecka ze szkoły dla nieuleczalnych. Są z jednego roku urodzenia. Andrzejku ma padaczkę. Najpierw chodził do szkoły rzemiosł, ale wywalili go, bo się raz czy dwa posikał na lekcji. Rzadko opuszczał dom. Dlatego mógł się dobrze opiekować Stasiem.

- A z jego ojcem Tadeuszem przyjaźnił się pan?

- Nie.

- Co pan w ogóle wie o Tadeuszu Szałachowskim?

- Wychowywał sam syna - tak jak ja. Nie wiem, czy on wdowiec czy tak jak ja… Pracował jako buchalter gdzieś na Zniesieniu. Dokładnie nie wiem gdzie, ale gdzieś daleko. On był małomówny i nieprzyjemny. Burczał coś pod nosem, nie zawsze na pozdrowienie odpowiedział. Kochał Andrzejka bardzo i dbał o to, by zawsze zażywał lekarstwa i aby rzadko opuszczał dom…

- Nazywał go synusiem, tak?

- Tak. A po nim wielu go tak nazywało.

- Co pan jeszcze wie o Szałachowskim ojcu?

- No i wiem też tyle, że ostatnio stracił pracę, nie płacił czynszu i musiał zostawić to pomieszkanie. Wiem też, że Andrzejku chodził czasami do jakiegoś starszego pana, którego nazywał dziadkiem. Ten pan mu cukierka czasem dał. W tej samej kamienicy mieszkał. To wszystko wiem od Andrzejka, nie od jego ojca. Ten to burmyło taki…

- Nie lubił go pan?

- Nie. On był pomylony wariat.

- To dlaczego go pan krył? Dlaczego zdobywał pan dla niego lewe dokumenty?

- Poprosił mnie o to Andrzejku.

- Andrzej mówił panu, dokąd się wyprowadzają?

- Nie.

- Odprowadzał pan syna do Andrzejka czy Stasio sam do niego chodził?

- Sam.

- A Szałachowski was odwiedzał?

- Rzadko.

- Jest pan wolny, proszę jechać dorożką do domu, trasę opłaciłem - zakomunikował komisarz i spojrzał na zegarek. - Wiem, że coś pan kręci, ale nie dbam o to. Dorożkarzowi powiedziałem: żadnych przystanków po drodze! A pan się już z domu nie ruszy, bo syn jest kulą u pańskiej nogi. On chce spać i być przy ojcu…

Za dużo dziś przeżył… Przez pana upór. I przez moje zaślepienie - dodał cicho.

Garyga objął syna za ramiona i ruszył noga za nogą. W drzwiach odwrócił się i długo patrzył na Popielskiego. Ten wzrok wiele mówił. Była w nim nie tylko żrąca nienawiść, ale i bezgraniczna ufność, że zemsta jest nieunikniona. Obiecywał i śmierć, i cierpliwe ufne oczekiwanie na dogodny moment, by ją zadać.

On jest również czcicielem Erynij, pomyślał zmęczony policjant i odwrócił wzrok.

***

Od stróża, pana Wiktora Dominiaka, nie uzyskał żadnych informacyj na temat Szałachowskich. Patrząc na zaciętą twarz tego funkcjonariusza kamienicznego, Popielski bardzo żałował, że w chwili gniewu stracił panowanie nad sobą i opryskliwie wydawał mu rozkazy. To poniżenie oraz „tykanie" nastawiło stróża bardzo wrogo wobec komisarza. Ust nie rozwiązała mu ani forma grzecznościowa „pan", ani zawoalowane, lecz oczywiste oferowanie jakiegoś honorarium, ani obietnica policyjnej życzliwości, w razie gdyby sprzedawał pokątnie wódkę, ani - w końcu - oględne przeprosiny. Na wszystkie pytania śledczego odpowiadał albo „ni wim", albo, dla odmiany, „nic ni wim". Czasami po informacje odsyłał do właściciela kamienicy, pana mecenasa Ludwika Machla, który mieszkał na drugim piętrze. Tej ostatniej sugestii towarzyszył zawsze złośliwy uśmiech. Stróż wiedział bowiem dobrze, że policjant, tak strasznie zajadły na Szałachowskiego, zrobi wszystko, aby do niego dotrzeć, ale na pewno nie poważy się na obudzenie znanego lwowskiego adwokata o godzinie wpół do trzeciej w nocy. Rzeczywiście - Popielski usłyszawszy tę wskazówkę, zasępił się mocno. Dominiak nie wytrzymał i parsknął złośliwym śmiechem.

Policjant popatrzył na triumfujące oblicze stróża i podjął decyzję. Rozejrzał się po stróżówce przedzielonej zasłoną, za którą chrapała małżonka dozorcy.

- Taki jest pan zadowolony, co, panie Dominiak? - powiedział wolno. - Tak bardzoś pan zadowolony, że glina nie zdobył informacyj, które chciał?

- Ta ja ni wim, o czym pan kumisarz…

- Przewidziałeś, że nie obudzę w nocy mecenasa Machla. Jesteś zadowolony, co? - Popielski zabębnił palcami o blat stołu. - Cieszę się, że masz dobry humor. Ale ja ci go zepsuję.

- Ależ, panie kumisarzu, ja ni chciał…

- Idź spać, Dominiak, idź spać.

Popielski wstał i zaczął się rozbierać. Zdjął marynarkę, poluzował krawat, rozpiął spinki i podwinął rękawy. Podszedł do kozetki przykrytej ceratą. Potem usiadł i podskoczył kilkakrotnie, sprawdzając w ten sposób sprężystość mebla. Zadowolony z efektu, jednym ruchem złożył wpół ceratę, następnie podłożył ją pod swe obute nogi i położył się wygodnie na kozetce. Oparł się o zimny piec i założył ręce za głowę.

- Nie masz tu żadnego robactwa? - zapytał.

- U mnie pełno pluskiw. - Dominiak patrzył w napięciu na nieproszonego gościa. - I karakonów też ni brakuji.

- No to trudno. - Popielski nasunął melonik na oczy. - A wiesz, że ja się nawet do nich przyzwyczaiłem, kiedy byłem w Rosji? Pełno ich tam. Dobranoc, panie Burmyło.

Stróż zacisnął zęby i po chwili legł przy boku chrapiącej małżonki. Nie mógł zasnąć, ponieważ jego nieproszony gość wciąż pogwizdywał Marsz Radetzkiego.

***

Nie zasnął ani chwili na twardej kozetce w stróżówce. Kiedy koło piątej już czuł, że odpływa w krainę snu, kiedy już się ułożył na boku, a ciężką głowę oparł na wyciągniętej ręce, w pomieszczeniu rozległ się dzwonek. Zaspany stróż wstał i przeszedł obok Popielskiego, obrzuciwszy go niechętnym wzrokiem. Po chwili słychać było kilka głosów: uniżony ton dozorcy, basowy pijacki bełkot i wesołe okrzyki kobiet. Dominiak wrócił i zaszczycił komisarza łaskawszym spojrzeniem.

- Ta z potupajki przyfalował brat pana mecenasa z żonu i szwagierku - powiedział. - Pan mecenas jak si raz obudzi, to już ni zaśni. Może pan iść i pytać pana.

- Dziękuję za nocleg - odparł Popielski.

Wstał i kiwał się przez chwilę jak pijany. Ze świstem wciągał powietrze zmęczonymi płucami. Na skórze twarzy czuł napięcie i mrowienie, pod powiekami - szczypanie. Przed pękniętym lustrem zaciągnął węzeł krawata i wygładził koszulę. Potem włożył marynarkę, melonik, kiwnął głową w stronę przepierzenia, za którym zniknął Dominiak, i wszedł na klatkę schodową. Panował na niej hałas. Jakaś kobieta niemiłosiernie fałszowała, śpiewając wielki szlagier „Jesienne róże”, odnowiony niedawno przez Mieczysława Fogga.

Komisarz wszedł na pierwsze piętro, oparł się o poręcz i patrzył w górę. Nad nim tańczyły ze sobą dwie kobiety, śpiewając tę piosenkę, a ich popisy obserwował młody mężczyzna z cygarem w ustach. Drzwi na drugim piętrze uchyliły się i stanął w nich wyfraczony kamerdyner.

Popielski, pokonując kilka stopni naraz, wbiegł na górę i włożył nogę w drzwi, kiedy już towarzystwo za nimi zniknęło, a kamerdyner jeszcze nie zdążył ich zamknąć.

- Policja kryminalna, komisarz Edward Popielski. - W porannym poblasku padającym z górnego świetlika błysnęła policyjna blacha. - Muszę rozmawiać z panem mecenasem Machlem. Sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Poproszę szanownego pana komisarza o wizytówkę.

- Proszę. - Policjant wręczył służącemu mały kartonik, na którym oprócz nazwiska widniało łacińskie motto „Quid est enim novi homi - nem mori, cuius tota vita nihil aliud quam ad mortem iter est”.

- Raczy pan zaczekać w poczekalni? - Kamerdyner wskazał drzwi sąsiadujące z mieszkaniem. - Pan mecenas już nie śpi i zaraz pana przyjmie.

Famulus otworzył owe drzwi, zapalił światło, wskazał Popielskiemu jeden z trzech foteli stojących w poczekalni, po czym zamknął drzwi i wyszedł. Zanim policjant zdążył się dobrze rozejrzeć po niewielkim pomieszczeniu, zanim zdążył usiąść i przerzucić różne

gazety i żurnale, otworzyły się drzwi do gabinetu i stanął w nich mecenas Ludwik Machl.

- Dzień dobry, panie mecenasie - odezwał się Popielski. - Przepraszam za to nagłe najście, ale sprawa jest bardzo pilna. Chodzi o pańskiego byłego lokatora, Tadeusza Szałachowskiego.

- No wreszcie! - sapnął Machl. - Już myślałem, że nikt nie przyjdzie do mnie w sprawie tego niegodziwca! Proszę, niech pan zachodzi.

Weszli do gustownego gabinetu, w którym stało wielkie biurko, biblioteka, stół i dwa fotele. Wszystkie te meble stanowiły komplet, o czym świadczyły nie tylko podobne intarsje, lecz również identyczne nogi w kształcie lwich łap. Na bibliotece stało popiersie Cycerona, a na ścianach wisiały dyplomy informujące o różnych orderach i honorach. Ich posiadacz, tęgi mężczyzna grubo po pięćdziesiątce, zasiadł ciężko za biurkiem. Z jego podkrążonych oczu wyzierała bezsenność. Ubrany był w bonżurkę, białą koszulę, sztuczkowe spodnie i skórzane pantofle. Trzęsące się podgardle częściowo było zakryte przez jasnoniebieski fular.

- Proszę spocząć. - Wskazał komisarzowi jeden z foteli i pokręcił drwiąco głową. - No, no… Niezbyt szybko reaguje nasza kochana policja na zgłoszenia obywateli. Wiele już dni minęło od mojego telefonu…

- A co pan mianowicie zgłosił, panie mecenasie?

- Jak to co? - oburzył się Machl. - Przecież pan przychodzi do mnie w sprawie Szałachowskiego i jeszcze pan pyta?

- Czy pan mecenas będzie tak dobry - Popielski poczuł, że piasek w oczach stał się ostrzejszy i szczypie go coraz dotkliwiej - i pozwoli mi zadać kilka pytań?

- Tak, proszę. - Machl zezwolił po dłuższej chwili, w czasie której czytał maksymę na wizytówce Popielskiego. Nagle uśmiechnął się. - Ale, ale… Zanim pan zacznie… Kto to powiedział? „Cóż jest dziwnego w tym, że umiera człowiek, którego całe życie nie jest niczym innym jak drogą ku śmierci”. Kto to?

- Seneka.

- Śmierć nie jest dla pana niczym dziwnym?

- Śmierć to moja codzienność.

Mecenas rozsiadł się wygodnie za biurkiem i z zainteresowaniem spojrzał na Popielskiego.

- Policjant filolog? Znajomość łaciny z gimnazjum czy z uniwersytetu?

- I to, i to. Oprócz filologii studiowałem matematykę. Czy możemy przejść do rzeczy?

- Kiedy pojawiły się na słupach ogłoszeniowych te plakaty z portretem pamięciowym podejrzanego o napaść i o torturowanie małego Markowskiego - Machl skupił się na rozmowie i uważnie dobierał słowa - natychmiast zatelefonowałem na policję. Zgłosiłem, że identyfikuję podejrzanego z portretu jako Tadeusza Szałachowskiego, kancelistę, zamieszkałego w mojej kamienicy, w podwórku pod schodami. Dyżurny przyjął zgłoszenie, podziękował mi grzecznie i odłożył słuchawkę. Kiedy wzburzony tym

zachowaniem zatelefonowałem powtórnie, aby ponaglić działania policji, dyżurny ów, tak grzecznie jak przedtem, poinformował mnie, że już dzisiaj otrzymał kilkanaście takich monitów i że będą one weryfikowane w kolejności zgłoszeń. O ile dobrze rozumiem, nadszedł oto czas na tę weryfikację? Pan jest tu u mnie w tej właśnie sprawie?

- Jestem u pana mecenasa w sprawie Szałachowskiego. - Popielski spojrzał w puste oczy Cycerona. - Doszedłem do tego podejrzanego inną drogą, nie dzięki pańskiej właściwej identyfikacji. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan mecenas wie o Tadeuszu Szałachowskim i o jego synu Andrzeju.

- Mój Boże. - Machl przesunął dłonią po resztce włosów. - O nich wiem niewiele, natomiast o dziewięćdziesięcioletnim obecnie panu Klemensie Szałachowskim, domniemanym ojcu Tadeusza, to ja wiem dużo… Interesuje to pana?

- Interesuje mnie wszystko, co się łączy z tą rodziną. A najbardziej fraza „domniemany ojciec”…

- To musielibyśmy siedzieć tutaj cały dzień… Dlatego muszę się napić kawy, aby dokonywać sensownych i krótkich resumees. Mironie! - krzyknął i targnął dużym dzwonkiem, a kiedy po sekundzie w drzwiach pokazała się głowa kamerdynera, zaordynował: - Niechże nam tu Miron poda kawy! I proszę przekazać pani, że zachęcam ją już do zasłużonego odpoczynku.

- Tak jest, panie mecenasie - odparł służący i zniknął w czeluściach przedpokoju, skąd wciąż dochodziły hałasy rozweselonych nocnych marków.

Adwokat siedział w milczeniu i nadsłuchiwał. Te wesołe okrzyki najwyraźniej wprowadzały go w niepokój. Przetarł okulary i spojrzał na Popielskiego załzawionymi nieco i zaczerwienionymi oczami.

- Przepraszam, komisarzu, za te hałasy. Wczoraj mój najmłodszy brat, Michał, przyjechał ze swoją żoną z zagranicy. Michałostwo i moja żona bawili się na dansingu w Warszawie. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Ja nie mogłem im towarzyszyć. A poza tym nie lubię tańców. Znam lepsze remedia na bezsenność niż głupie podrygiwanie w lambeth-walku.

- Ad rem, panie mecenasie. Proszę.

- A zatem stary Szałachowski… - Machl zamyślił się. - Klemens… Tak… Co ja o nim wiem? Mniej więcej sześćdziesiąt lat temu trzydziestoletni wtedy właściciel dóbr ziemskich, browarów i cegielń w okolicach Sambora, rzeczony Klemens Szałachowski, wprowadził się tutaj wraz z żoną Pelagią. Ta kamienica, własność mojego ojca, była wtedy świeżo odremontowana. Państwo Szałachowscy zajęli mieszkanie… O, to nade mną. - Palec skierował w stronę sufitu. - Po kilku latach narodził się im syn Tadeusz. Jest on mniej więcej w moim wieku. I tu zaczyna się rodzinna tragedia. Klemens Szałachowski po urodzeniu dziecka ogłosił je bękartem i wyrzucił na bruk wraz ze swoją żoną. Straszna kara za domniemaną niewierność, nie sądzi pan?

- O tym, czy była ona rzeczywista czy zmyślona, wie tylko owa pani. - Popielski pojął, że przymiotnik „domniemany” jest ulubionym słowem mecenasa.

- Tak, o tym wie tylko zdradzająca kobieta, chyba że mąż ją złapie in flagranti. No

dobrze… Dalej, dalej - mówił do siebie ze złością. - Bo z powodu gadulstwa nie zdążę się przygotować do rozmowy z moim pierwszym kundmanem. Otóż, nie wiem, co się działo z panią Pelagią Szałachowską i z domniemanym bękartem Tadeuszem. Mówię „domniemanym”, bo pan Klemens nie zrzekł się formalnie ojcostwa. Mieszkał tu nadal, często wyjeżdżał w interesach i pomnażał potężnie swój majątek. Nie wiem, czy pomagał finansowo żonie i synowi. Kiedy miał lat około siedemdziesięciu, pozostawił interesy plenipotentom, a sam zamieszkał w tym wielkim pustym mieszkaniu. - Znów wskazał palcem na sufit. - Napisał osobliwy testament, zdeponował go u mnie, a potem już tylko pił, dziwaczał, po nocach tupał, aż w końcu, jakieś dziesięć lat temu, dobrowolnie przeprowadził się do Domsa, gdzie wyszykowano mu pierwszorzędny apartament. Mniej więcej wtedy przyszedł do mnie dziwny i biedny urzędniczyna wraz ze swoim chorym - jak się później okazało - na padaczkę synem. Przedstawił się jako Tadeusz Szałachowski, syn Klemensa, i poprosił mnie o pozwolenie na zajęcie pustego mieszkania, twierdząc, że mu się ono należy po ojcu. Odpowiedziałem mu wówczas, że mieszkanie to wcale mu się nie należy, ponieważ pan Klemens w testamencie zapisał je mnichom studytom, podobnie jak cały swój majątek. Odczytałem mu przy tym cały testament, nie pominąwszy tego najbardziej osobliwego paragrafu o śmierci męczeńskiej własnego syna…

- O czym? - Popielski omal się nie zadławił własną śliną.

- O śmierci męczeńskiej - powtórzył Machl. - To przejaw jakiejś strasznej aberracji starszego pana. Otóż, niech pan sobie wyobrazi, komisarzu, że pan Klemens zapisał cały swój ogromny majątek mnichom studytom pod tym wszakże warunkiem, że jego syn Tadeusz Szałachowski, którego definiuje w testamencie jako „bękarta”, umrze śmiercią naturalną bez większych cierpień. Krótko mówiąc: Tadeusz umiera bez cierpień, mnisi otrzymują cały majątek. Za śmierć bezcierpienną autor testamentu uważa samobójstwo, choćby nie wiem jak bolesne, oraz śmierć z choroby, choćby ta nie wiadomo jak długo trwała. Natomiast czcigodni ojcowie nie dostaną ani grosza dla swoich sierot, jeśli - i tu niech pan uważa! - jeśli bękart Tadeusz zginie śmiercią w męczarniach.

- A komu, zgodnie z testamentem, przypadnie wtedy majątek - Popielskiemu w najmniejszym stopniu nie było do śmiechu - kiedy Tadeusz rzeczywiście zginie śmiercią męczeńską?

- Oczywiście krewnym.

- A on ma jakichś krewnych? - Komisarz stężał w napięciu, a potem zaczął przerzucać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. - Bo jeśli tak, to właśnie tym krewnym mogłoby zależeć, aby on umarł w męczarniach.

- Widać u pana logikę człowieka szkolonego na Arystotelesie. - Adwokat podsunął rozmówcy srebrną paterę z papierosami. - Otóż jedynymi jego krewnymi są syn Tadeusz i wnuk Andrzej.

- Jak się zachował Tadeusz Szałachowski, kiedy dziesięć lat temu przeczytał mu pan ten testament?

- Przyjął do wiadomości koszmarny warunek, który jest swoją drogą - mecenas się zamyślił - dowodem na straszną nienawiść, jaką Klemens czuł do Tadeusza. Chciał, aby Tadeusz zginął w męczarniach. I to tylko dlatego, że w jego własnym mniemaniu chłopiec nie był do niego podobny! Ale, ale… - Otrząsnął się z tego napływu refleksyj. - Co było

dalej z Tadeuszem Szałachowskim po tym, jak poinformowałem go o zapisie? Nic, wynajął u mnie pokój pod schodami i mieszkał tam lat dziesięć, do całkiem niedawna. Kilka dni temu się wyprowadził. To wszystko. - Machl sięgnął po dzwonek i zadzwonił głośno. - No i gdzie ta kawa?!

- Jaki podał powód wyprowadzki?

- Otóż Tadeusz Szałachowski przed rokiem poważnie zachorował na suchoty, stracił pracę i przestał płacić komorne. Nie płacił od pół roku. To był powód. I tak byłem bardzo cierpliwy przez wzgląd na jego chorego syna.

- A dokąd się wyprowadził?

- Nie wiem, nie zostawił adresu. Darowałem mu dług i wyrzuciłem go, bo na jego lokal reflektuje pewien uczciwie płacący szewc…

Popielski zdusił papierosa. Herod, Szałachowski, myślał, powiedział mi w fabryce ultramaryny, że chciał być rozszarpany przez Żydów. Czyli chciał ponieść śmierć męczennika… Jak zaaranżował tę męczeńską śmierć? To proste w swej perfidii – zabił Henia Pytkę, a to zabójstwo upozorował na mord rytualny. Potem chciał podpalić synagogę, obserwować pogromy, by w końcu ogłosić Żydom: „To ja zabiłem, to przeze mnie te zamieszki!”. Wtedy by został zlinczowany, a jego syn dostałby potężny spadek po dziadku. Ale to się nie udało, bo ja pokrzyżowałem mu plany. Zbyt szybko został ujęty Anatol Małecki, w którego winę wszyscy uwierzyli. A najbardziej ja, który go nawet ukarałem… Wtedy Szałachowski porwał Kazia Markowskiego, połamał mu nogi, bo oczekiwał, że taki wściekły mściciel jak ja zabije go kilofem. A skąd wiedział, że ja jestem mścicielem? Przecież Walery Pytka, całując mnie po rękach w katedrze, powiedział wszystkim lwowianom: „Popielski jest mścicielem”. Może Szałachowski stał w tłumie pod katedrą? Teraz tylko przez przypadek uniknął mojej kary, bo powalił mnie atak padaczki. I wciąż wyprzedza mnie o krok. A przecież byłby tutaj, w tym pokoiku pod schodami, gdyby chciwy wieprz Machl nie wyrzucił go na bruk! Teraz Herod siedziałby skuty u moich stóp, gdyby nie ta tłusta, lękliwa i skąpa papuga!

- Najbardziej mnie dziwi, panie mecenasie - powiedział z irytacją - że tak po prostu wyrzucił pan na bruk biednego suchotnika obarczonego epileptycznym synem.

- Wypraszam sobie, komisarzu, takie uwagi - Machl powiedział to łagodnym tonem i nie patrzył w oczy policjantowi. - Uprawiając swój zawód, nie jest pan chyba takim znowu Katonem… A poza tym każdy z nas ma jakieś wyrzuty sumienia… Każdy z nas, sit venia verbo, jest Orestesem… Jak by to powiedzieć po chrześcijańsku, każdy ma swój krzyż… No wreszcie jest ta kawa!

Drzwi uchyliły się i do gabinetu weszła piękna młoda kobieta. Ciągnął się za nią zapach perfum, alkoholu i rozgrzanego tańcem ciała. Popielski, widząc ją, zmieszał się jak uczniak przyłapany w tingel-tanglu. Uwielbiał ten żydowski typ szczupłych brunetek o bladej, porcelanowej cerze i o ogromnych zielonych oczach, w których - jak mawiał - kryła się cała melancholia pustyni Negew. Pani miała na sobie czarną balową suknię odsłaniającą plecy. W dłoniach, obleczonych do łokci w atłasowe rękawiczki, trzymała tacę z dwiema filiżankami, cukiernicą, dzbankiem, mlecznikiem i z talerzykiem, wypełnionym herbatnikami.

- Och, kochanie! - Udała zdziwioną i zmierzyła wzrokiem Popielskiego. - Nie wiedziałam, że jest tu ktoś u ciebie… A śniadanie już czeka i szampan się mrozi…

- Pozwól, Heniutko. - Machl odebrał kobiecie tacę, patrząc ze złością na dwie filiżanki, których obecność świadczyła, iż dokładnie wiedziała, że w gabinecie są dwie osoby. - To pan komisarz Popielski, panie komisarzu, oto moja żona Henryka.

- Bardzo mi miło - powiedział Popielski, chcąc ująć jej wiotką dłoń.

Kobieta nie podała mu ręki, zakręciła się tylko wokół niego, wyciągając w bok dłonie i wykonując nimi płynne ruchy - jakby w takt leniwej muzyki. Zajrzała mu przy tym głęboko w oczy.

- To jest ten słynny pan komisarz, pogromca morderców. - Prawie jęknęła z przejęcia. - O zielono-piwnych oczach. - Musnęła dłonią po jego podbródku. - I jaki szorstki, nieogolony, trochę brusque.

Popielski stał jak skamieniały. Machl nalał kawę tylko do jednej filiżanki i odwróciwszy się do okna, natychmiast zaczął z niej siorbać gorący płyn. Na jego głowie wśród rzadkich pasm włosów błyszczały kropelki potu.

- Jaki pan ma przenikliwy wzrok - szepnęła jego żona i położyła dłoń na swym miękkim białym dekolcie. - O, aż tutaj go czuję!

Ostatnie, czego pragnął Popielski, to być uwodzonym przez kobietę w obecności jej męża. Włożył szybko melonik, kiwnął głową, zamruczał słowa pożegnania i wybiegł z gabinetu na korytarz. Miał rację mecenas Machl, myślał, zbiegając po schodach, pewnie każdy z nas jest Orestesem i każdy ma swój krzyż. Ale jego krzyż jest szczególny. To cierpienie męża niepewnego młodej żony, żałosne wycie domniemanego rogacza, bezsenność starca, który musi rozpaczliwie wierzyć w niezłomność małżeństwa. Śmierć jest moją codziennością, podejrzliwość - jego dniem i nocą. Każdy z nas jest Orestesem. Ale nie każdy Agamemnonem.

***

Jerzyk spał tej nocy wyjątkowo dobrze. Po porannej toalecie, po pochłonięciu twarożku z rzodkiewką i po wylizaniu talerza kaszy manny, którą tym razem usmarował się zupełnie nieznacznie, tryskał wesołością i energią, która nie przybierała dzisiaj swej zwykłej, złowrogiej i niszczycielskiej formy. Powodem tej nietypowej łagodności Jerzyka była obietnica wyjścia na dwór, jaką od razu po przebudzeniu otrzymał od mamy. Malec, rozdrażniony kilkudniowym przebywaniem w domu, aż pokraśniał na słowa o „spacerze do nowego domku”. Stał się momentalnie grzeczny i posłusznie wsuwał swe ręce w podstawiane mu rękawy płaszczyka. W czasie wkładania wełnianych pończoch i błyszczących bucików nie wierzgał jak zwykle nogami i nie kopał klęczącej u jego stóp mamy, lecz spokojnie czekał, aż ta rozplącze zaciągnięte i zasupłane sznurówki i na powrót uformuje z nich zgrabne kokardki. Nie biegał też po mieszkaniu ze wściekłymi okrzykami, kiedy mama, jak zwykle, dość długo i starannie dobierała swoją garderobę, a potem malowała się przed dużym lustrem przedpokojowym.

Gdy wybijała ósma na zegarze ściennym, wyszedł wraz z mamą na schody, a potem

zbliżył się do lady kantoru administratora budynku. Pan Leon Hiss, którego potężnego głosu i wielkiego brzucha trochę się obawiał, pozdrowił z uśmiechem mamę i podał jej klucz do wózkowni. Jerzyk nie lubił tego pomieszczenia, głównie dlatego, że sąsiadowało z drzwiami do piwnicy, która zawsze pojawiała się w kierowanych do niego groźbach. Zamknięcie w jej ciemnościach było w ustach mamy straszną sankcją za jakieś wybryki, było zapowiadaną wielokrotnie, lecz nigdy niewyegzekwowaną karą za złe zachowanie. Piwnica była w tych groźbach „wilgotnym lochem", a fraza ta nabierała nowych znaczeń i zamieniała się w wyobraźni chłopczyka w magiczne przekleństwo znane mu z czytanych bajek. Jerzyk, choć mówił bardzo niewiele i chodził niepewnym krokiem, znał uczucie najwyższej radości i najwyższego niepokoju. To pierwsze przybierało zawsze kształt dużej, łysej głowy dziadka, a drugie - wionęło wilgotną wonią piwnicy.

Kiedy mama weszła do wózkowni i kazała mu czekać na schodach, Jerzyk oczywiście jej nie usłuchał. Przerażony bliskością piwnicy wspiął się po stopniach i ukrył pod ladą portierni. Gdyby był starszy, być może zrozumiałby, co ściszonym głosem mówi pan administrator do słuchawki telefonu. Ale malcowi, liczącemu sobie piętnaście miesięcy, kojarzyły się jedynie pojedyncze słowa i zwroty wypowiadane przez pana Leona Hissa. Z pierwszego zdania „dzień dobry, panie Kiczałes, właśnie wychodzi z domu" zrozumiał jedynie „dzień dobry", z drugiego zaś „czy mam pójść za nią" - pojął jedynie intonację pytajną i słowo „pójść", po którym zawsze u mamy następował wyraz „spacer". Potem, o dziwo, zrozumiał też dwa wyrazy, które często słyszał od zdenerwowanego otoczenia: „dobrze, jak nie, to nie". Pan Hiss wypowiedział je jednak bez znanej małemu złości. Potem Jerzyk ze swojego ukrycia słyszał, jak pan administrator podśpiewuje i wystukuje palcami jakiś rytm na ladzie.

Po chwili rozległo się wołanie mamy. Nie wybiegł jednak do niej, lecz wcisnął się głębiej pod ladę i czekał na dalszy rozwój wypadków. Mama wyszła i natychmiast go ujrzała.

- Ty śmierdziuszku! - zawołała i wyciągnęła go spod lady. - A ty gdzie się schowałeś?

- A to mikrus przemyślny - zawtórował jej pan Hiss. - Nawet nie zauważyłem, jak mi wszedł pod ladę!

Mama najwidoczniej nie darzyła administratora najwyższą sympatią, bo nie odezwała się do niego ani słowem i zaraz podniosła Jerzyka do góry i posadziła go w wózku.

Wyjechali na ulicę. Jerzyk upuścił grzechotkę na chodnik i wydał ostry okrzyk, który oznaczał natychmiastowy rozkaz zatrzymania pojazdu. Mama zrobiła, czego sobie życzył, podniosła zabawkę i podała mu ją. Mały jednak nie zareagował, ponieważ jego uwagę przykuły poczynania pucybuta, który zwykle siedział pod ich balkonem. Ten pracownik nagle przerwał swą czynność i - nie zważając na wściekłe protesty obsługiwanego właśnie klienta - zwinął ścierki i wcisnął je do kieszeni wraz z puszkami z pastą. Zniecierpliwiona mama nie czekała, aż Jerzyk łaskawie przyjmie od niej grzechotkę, rzuciła ją do wózka i ruszyła, pchając przed sobą nisko zawieszony, wiklinowy pojazd. Jerzyk z trudem się z niego wychylił i zobaczył, iż pucybut szybko za nimi idzie.

Po chwili mama przyśpieszyła. Uwagi dziecka nie uszło jednak to, że oto mijali zadaszoną szkłem ulicę, w której znajdowały się sklepy z lodami i zabawkami. Jerzyk

wskazał ręką na wejście do domu i krzyknął donośnie.

- Jerzyku, kochanie. - Mama pochyliła się nad nim i pocałowała go. - Jak będziesz grzeczny, to niedługo przyjdziesz tu z dziadkiem, a teraz mamusia się bardzo śpieszy!

Jerzyk wrzasnął powtórnie, wstał gwałtownie, zakołysał wózkiem i usiłował przełożyć przez krawędź pojazdu swą tłustą nogę obleczoną w wełnianą pończochę.

- Uspokój się, myszko, bo nie pojedziemy tam, gdzie lubisz! - ostrzegła mama. - A wiesz, dokąd jedziemy?

Mały na chwilę się uspokoił i patrzył na Ritę uważnie.

- Do naszego nowego domku - powiedziała. - I będziesz mógł biegać po twoim nowym pokoiku!

To Jerzyka uspokoiło na kilka minut, jakie były potrzebne mamie, by dotrzeć na przystanek tramwajowy. Tam również nie dokazywał, ponieważ tramwaj - nazywany przez ludzi na przystanku „dziesiątką” - przyjechał bardzo szybko. Jerzyk zdenerwował się mocno, kiedy nagle jakiś wąsaty pan podniósł do góry jego wózek i wstawił do tramwaju. Rozpłakał się i nie mógł długo uspokoić, chociaż ów pan - wbrew słabym protestom mamy - stroił do niego zabawne miny. Nie pomogły również wiersze o jakimś powrocie taty i o pałce, strzaskanej na jego głowie, które recytowała mama, objaśniając, iż pan stojący na szczycie mijanej właśnie kolumny jest autorem owych wierszy. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy mama wskazała mu wielki gmach, gdzie - jak objaśniała - mieszkają żołnierze, którzy swymi karabinami będą dzielnie bronić naszego kraju przed Niemcami. Potem nastąpił długi moment nudnej jazdy pomiędzy kamienicami i kościołami, którą urozmaicało Jerzykowi przyglądanie się dziwnemu szczeniakowi, trzymanemu na kolanach przez wytwornego pana z niezapalonym papierosem w długiej cygarniczce. Piesek ów miał ostre uszy, zabawne oczy i czarny pysk, na który składało się kilka fałd skóry. Mama nazywała go „buldogiem”, a wytworny pan z uśmiechem ją korygował, mieniąc go „bokserem”. Stworzenie było najwyraźniej jakąś wielką osobliwością, bo - mimo niezadowolenia konduktora - tłoczyli się wokół niego chyba wszyscy pasażerowie tramwaju.

W końcu dojechali na właściwy przystanek. Wytworny pan wyniósł z tramwaju najpierw boksera, a potem wózek z Jerzykiem, po czym towarzyszył im jeszcze kilka chwil, zagadując coś słodko do mamy i wciąż uchylając nakrycia głowy, które upodabniało go w oczach Jerzyka do dziadka. To chyba sprawiło, że ów pan wzbudził w dziecku odrobinę sympatii, najwyraźniej w odróżnieniu od mamy, która po kilku minutach rozmowy ostro ofuknęła owego pana i szybko ruszyła do wielkiego domu stojącego wśród drzew.

Tam wniosła wózek na pierwsze piętro, a Jerzyk wchodził po schodach koło niej, wspinając się na nie wszystkimi swymi kończynami. Po chwili weszli do pustego, pachnącego farbą mieszkania. Mama zaczęła kogoś nawoływać. Ktoś jej odpowiedział okrzykiem z jednego z pokojów. Jerzyk, trzymający się matczynej sukienki, już wiedział po chwili, kto wydał z siebie ów okrzyk. Był to jeden z robotników, którzy, siedząc na podłodze w wielkim pokoju, coś jedli i pili. Jerzyk schował się za mamę. Stał tak przez chwilę, a ponieważ nic złego się nie zdarzyło, puścił ją i niepewnie - chwiejąc się w przód i w tył - pobiegł do przedpokoju. Tam poczuł, że ktoś go łapie i podnosi do góry.

Poczuł, że ten ktoś bardzo szybko się oddala od drzwi, za którymi mama rozmawiała z robotnikami. Jerzyk wrzasnął, lecz było za późno. Krzyk dziecka zabrzmiał już na klatce schodowej. Mama go nie usłyszała.

Malec rozdarł się w strasznym płaczu i bezradnie zamachał rączkami. Jedną z nich natrafił na jakiś materiał wystający z kieszeni człowieka, który go niósł. Wyciągnął ten materiał.

Po schodach potoczyły się blaszane pudełka z pastą do butów.

TYZYFONA

Jesteśmy ponurymi dziećmi nocy

Zwą nas w podziemiu boginiami zemsty

Ajschylos, Eumenidy, 416-417

Tego czerwcowego poranka komisarz Edward Popielski leżał na wznak w swym łóżku i nie mógł zasnąć. Nie pomagało mu ani liczenie wyimaginowanych chmur na suficie, ani błogie odprężenie po gorącej kąpieli, ani poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Po wielu nieudanych próbach udało mu się w końcu bezbłędnie i bez najmniejszych wątpliwości zidentyfikować mordercę, a jego złapanie było już tylko kwestią czasu. Choć wszystkie działania Szałachowskiego układały się w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy, to Popielski nie mógł się pozbyć wrażenia, że jedno z ogniw tego łańcucha nie pasuje do reszty, jest zardzewiałe i słabe, grożąc tym samym rozerwaniem całej konstrukcji. Komisarz nie mógł mianowicie pojąć, że ubogi kancelista, obarczony chorym synem, mógł sam, bez niczyjej pomocy, zaplanować i zrealizować dwa niełatwe zbrodnicze przedsięwzięcia. Aby się przygotować do wykradnięcia robotniczego dziecka, żyjącego wśród licznej rodziny i bawiącego się z czeredą rówieśników, trzeba je codziennie obserwować z ukrycia, unikając przy tym podejrzliwości mieszkańców podwórka, którzy błyskawicznie wypatrzą obcego. Jeden i ten sam człowiek, wystający godzinami na malutkim podwórku przy Niemcewicza, ukrywający się gdzieś po krzakach, musi w końcu zostać zauważony. Podejrzliwości lokatorów Szałachowski mógłby uniknąć, gdyby miał jakichś zmienników. Jednym z nich mógłby być jego syn. Ale czy to by wystarczyło? Ponadto gdzie by Szałachowski torturował obu chłopców? W swej norze pod schodami? Przecież stróż Dominiak widziałby, że Szałachowski wnosi lub wynosi jakieś bezkształtne bryły, choćby kancelista w coś dzieci zawinął! Nie, myślał Popielski, patrząc na zegarek wskazujący godzinę wpół do dziewiątej, to niemożliwe, by zbrodniarz nie miał wspólników innych niż jego syn! Bez ich pomocy śledzenie Kazia Markowskiego i jego matki byłoby po prostu skazane na niepowodzenie! W ustronnej willowej uliczce Własna Strzecha obcy, obserwujący zza parkanu życie jakiejś rodziny, wzbudziłby od razu zainteresowanie Markowskich lub ich sąsiadów. Chyba że tych obcych byłoby kilku i eo ipso żaden z nich nie wryłby się w czyjąś pamięć.

Popielski wstał, włożył jedwabny szlafrok i zaczął chodzić po swojej sypialni jak lew po klatce. Oczywiście, klepnął się w czoło, mógł zatrudnić do swego dzieła jakichś innych łotrów, którym obiecałby pokaźny procent ze spodziewanego spadku. Ale nawet w najbardziej zdeprawowanym i zdegenerowanym mieście nie byłoby łatwo wynająć zbrodniarzy, którzy uczestniczyliby w porwaniu dziecka, nie otrzymawszy zapłaty z góry! Chyba że chodziłoby o jakiś wielki okup, a to w wypadku Henia Pytki było przecież wykluczone!

- Nie czas teraz na hipotezy i dywagacje - powiedział do siebie. - Trzeba pędzić do Zubika i ująć Heroda. Przecież wiem, kim on jest!

Zaczął się ubierać. W przedpokoju zadzwonił telefon. Popielski nie przejmował się nim, podobnie jak harmonią barw krawata, koszuli i marynarki. Telefon dzwonił nadal.

Popielski wyszedł do przedpokoju i sięgnął po łyżkę do butów. Telefon dzwonił nadal.

- Co jest? - powiedział komisarz zirytowanym tonem. - Nie ma Leokadii ani Hanny, czy co?

Odpowiedziała mu cisza. Odebrał telefon. Leokadia pewnie na spacerze, a Hanna na targu, myślał, a w słuchawce ktoś coś mówił - powoli i ochryple. Popielski przeklął swoje roztargnienie wywołane bezsennością.

- Proszę się przedstawić - powiedział do słuchawki. - I jeszcze raz powtórzyć, co ma mi pan do zakomunikowania! Przepraszam, ale się zamyśliłem…

Głos powtórzył to co przedtem. Ręka Popielskiego opadła wzdłuż tułowia i wypuściła słuchawkę.

- Staw Zamarstynowski, Staw Zamarstynowski - powtarzał. - Gdzie jest Staw Zamarstynowski?

***

Na kąpielisku Staw Zamarstynowski Popielski przeżył deja vu. Prawie wszystko było tu takie jak w jego wizji, którą miał w czasie ataku epilepsji w fabryce ultramaryny na ulicy Słonecznej. Słońce przygrzewało i wtedy i teraz bardzo mocno, a on i w wizji, i w rzeczywistości pocił się obficie w ciemnym ubraniu. Zgadzało się również to, że kąpielisko było puste, a jakiś człowiek stał na wieży do skoków i machał do niego ręką. Realność różniła się jednak od epileptycznego wyobrażenia w jednym jedynym szczególe. W wizji basen był wypełniony iskrzącą się w słońcu wodą, która potem zamieniła się w twardą zastygłą lawę. W rzeczywistości w betonowej niecce nie było wcale wody. Basen nie był jednak pusty. Jego środek wypełniały brony. Ich ostrza skierowane były ku górze, ku niebu i ku wieży do skoków. Na niej stał teraz człowiek, którego Popielski widział w fabryce ultramaryny.

Uśmiechał się do komisarza i przyzywał go kolistym ruchem ramienia.

- Wchodź tu, wchodź, Łyssy! - wołał. - Na górę, ale już! Dowiesz się wszystkiego o twoim słodkim wnuczku i o jego połamanych rączętach!

Popielski nacisnął na oczy przeciwsłoneczne binokle. Tym razem nie mógł ryzykować, że epilepsja pozbawi go ofiary. Czuł, że jego głowę i kark ogarnia mrowienie. Nie był to jednak zwiastun padaczki, lecz jakiś głuchy i uparty instynkt Zaczął się wspinać po schodach.

- Mam w ustach kapsułkę - wołał Szałachowski. - A w niej skrawek papieru… Jak mały więzienny gryps… A w tym grypsie jest adres, pod którym znajdziesz ślicznego chłopczyka z połamanymi rękami…

Popielski stanął na wieży i przytrzymał się barierki. Spojrzał w dół i ujrzał wybronowane w dużej części dno basenu. Szałachowski podążył za wzrokiem policjanta.

- Zrzuć mnie z wieży - powiedział z uśmiechem. - Na te brony, co tam widzisz… Zabij mnie, bo tylko tak się dowiesz, gdzie jest twój wnuczek. Z moich ust wyciągniesz adres…

Popielski oparł się mocniej o barierkę. Cały drżał oblany zimnym, piekącym potem. Wydawało mu się, że jego skóra przykleja się do kości. Napiął mięśnie twarzy i z niemałym trudem unieruchomił swoje szczęki. Po sekundzie już był w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Po co ten cyrk, Szałachowski? - wydukał, lecz z każdym słowem nabierał większej biegłości w mowie. - Po co ten cyrk na pływalni? Ja ciebie zabiję gdziekolwiek. Zejdziemy stąd, położysz łeb na słupku, a ci ten łeb odrąbię… - Szałachowski nie odezwał się słowem i spoglądał na Popielskiego z dużym zainteresowaniem. Ten powziął nagłą decyzję. - Ale nie muszę tego robić, a ty możesz ocalić życie, wziąć spadek po ojcu i przekazać go twemu synusiowi - powiedział wolno Popielski, starając się opanować drżenie szczęk. - Pan Klemens Szałachowski, twój szanowny ojciec, zmienił testament.

Szałachowski patrzył na rozmówcę bez wyrazu.

- Grasz na zwłokę? - odezwał się po chwili. - Myślisz, że dam się nabrać?

- Zobacz tylko. - Popielski wyjął ze swojego odświętnego ubrania akt notarialny wynajęcia mieszkania na ulicy Ponińskiego. - To jest zmieniony testament twojego ojca.

- Ja muszę zginąć w męczarniach - natychmiast odpowiedział Szałachowski. - Za to, co zrobiłem tym dzieciom. Ale nie miałem wyboru. Albo jakiś bękart zginie, albo mój syn zostanie żebrakiem… Taki był mój wybór. Zrobiłbyś to dla własnego dziecka? Zabiłbyś dla własnego dziecka?

- Tak - odparł Popielski.

- A zabiłbyś dla wnuka?

- Tak.

- To dobrze. - Szałachowski uśmiechnął się pod wąsem. - No to mnie zabijesz. Miałem być rozszarpany przez Żydów, to nie, to ty musiałeś zamknąć jakiegoś wariata… Miałeś mnie zabić w fabryce, to nie, to musiała cię napaść padaczka… A teraz nic nam nie przeszkodzi…

- Pomyśl o nowym testamencie…

- Boisz się, co? - Roześmiał się. - Boisz się, że niczego nie mam w ustach. Boisz się, że mnie zabijesz i niczego się nie dowiesz, a żywego to możesz mnie zmusić do mówienia… Nie masz wyboru. Już jesteś moim mordercą. Za chwilę tu będzie policja. Wezwał ją mój syn. Ja będę leżał w dole na bronach… Sam mogę tam skoczyć… A ty będziesz tu stał na wieży. Wszyscy będą wiedzieć, adwokat starego też, że zabił Popielski, bo porwałem mu wnuczka… A ja zginąłem w męczarniach, nabity na brony… Możesz mnie zabić, a możesz tylko patrzeć, jak skaczę w dół… Wybieraj! Myśl nad tym, ale tylko do pierwszego sygnału wozów policyjnych… Wtedy skoczę…

- Przecież twój syn nie dostanie forsy dziadka, jeśli skoczysz - komisarz starał się panować nad głosem - bo nie dostanie ani grosza w razie twojego samobójstwa…

- Ale ty tu będziesz, kiedy przyjedzie policja… Wszyscy będą wiedzieli, że ty mnie zabiłeś!

- A te brony? - Popielski wskazał na dno basenu. - Ja je niby tu przyniosłem?

- Właśnie. Ty je wypożyczyłeś. Tak zeznają ludzie z wypożyczalni. - Szałachowski wybuchnął śmiechem.

Popielski prawie położył się na barierce. Wydawało mu się, że wszystko wokół rozświetlają raz za razem białe błyski magnezji, że cały świat wokół porusza się w tempie równomiernych trzaśnięć jakiejś wyimaginowanej lampy błyskowej, a wieża nad wybronowanym basenem jest jedynym nieruchomym punktem we wszechświecie. Odepchnął się od barierki i zatoczył się na wieży, niebezpiecznie zbliżając się do jej krawędzi. Brony kręciły się pod nim jak zębate koła. Poczuł, że traci przytomność. Opadł na czworaki, aby ocalić swe życie. Klęknął przed Szałachowskim i wybił przed nim pokłon, tłukąc czołem w betonową powierzchnię wieży. Zbrodniarz zastygł w bezgranicznym zdziwieniu. Wtedy Popielski go zaatakował.

Wciąż na czworakach, rzucił się na niego jak zwierzę. Chwycił go za nogi na wysokości kolan i pociągnął ku sobie. Szałachowski runął na wznak, uderzając potylicą o beton. Choć uderzenie było mocne, to zbrodniarz nie stracił przytomności i w pełni panował nad swoimi ruchami. Kiedy Popielski chciał go przycisnąć swoim dziewięćdziesięciokilogramowym ciężarem, Szałachowski przewrócił się na bok i chwycił się mocno krawędzi wieży. Leżał teraz na brzuchu, a jego dłonie przywarły do betonu. Jego jedna ręka i jedna noga wisiały już nad basenem. Wystarczyłby tylko jeden ruch, jeden obrót ciała, by runąć bezwładnie w dół. Popielski wstał, oparł się znów o barierkę i zamarł w bezruchu.

- Pokaż mi tę kapsułkę - wycharczał. - Pokaż, że ją masz, to cię zabiję, obłąkany bydlaku.

Szałachowski odchylił głowę w stronę Popielskiego i rozwarł usta Język wsadził pomiędzy dziąsło i policzek. Między spróchniałymi pieńkami zębów tkwiła szklana fiolka. Wtedy komisarz kopnął go w twarz, trafiając szpicem buta wprost w usta. Głowa Szałachowskiego odchyliła się gwałtownie, a z otwartych ust wystrzelił połamany ząb. Cios obrócił go na plecy, a te już nie znalazły żadnego oparcia. Runął w dół i w czasie swego lotu machnął ręką do Popielskiego. Ten spojrzał w dół i widział, jak ciało Szałachowskiego, rozpięte na bronach, porusza się w szybkich skurczach, a z jednego ucha wypływa krew w regularnych fluktuacjach.

Odetchnął ciężko i szybko zbiegł po schodach wieży i po basenowej drabince. Szałachowski już nie żył. Popielski wyjął z kieszeni scyzoryk i włożył ostrze w usta leżącego. Splunąwszy z obrzydzenia, sięgnął palcami do zaślinionej jamy i wyjął z niej szklaną fiolkę. Zdjął okulary i spojrzał pod światło. Był tam jakiś papierek. Zgniótł obcasem fiolkę i wyjął papierek. Był zupełnie pusty.

***

Popielski znał dobrze gorzkie uczucie utraty nadziei. Po raz pierwszy je poczuł jako dziesięcioletni chłopiec, kiedy patrzył w oczy swoich krewnych i prosił, aby powtórzyli mu wiadomość o śmierci rodziców, zabitych przez bandytów okradających pociągi na Ukrainie. Ciotka powtarzała mu słowo po słowie, a on nadaremno szukał w jej oczach iskierek wesołości. Z każdą głoską wychodzącą z jej ust, wypływała z niego nadzieja, że informacja o śmierci rodziców jest kiepskim żartem.

Tracił też nadzieję, kiedy siedział przy śmiertelnym łożu swojej żony, która urodziła Ritę w potokach krwi, a one nie chciały się zatrzymać, nie chciały zakrzepnąć i wciąż wypływały z jej ciała. Nadzieja ulatywała wraz z każdą kroplą poszerzającą krwawą plamę na jej nocnej koszuli.

Tracił nadzieję, gdy Rita dwa lata temu nie wróciła do domu z wiosennych wagarów. Wtedy, brudny i nieogolony, siedział całymi dniami w knajpach, a nadzieja znikała z każdym kieliszkiem, z każdą torsją, z każdym ukąszeniem pluskwy na tapicerowanych krzesłach, na których zasypiał, oparłszy czoło o zalany wódką blat.

Stracił ją i teraz, kiedy umarł Szałachowski, nie zdradziwszy, gdzie jest Jerzyk.

Nie dbając o swoje spodnie, Popielski siedział na dnie basenu oparty plecami o betonową ścianę i patrzył na martwego Heroda, na resztki strzaskanej fiolki, na pobrudzony krwią akt notarialny. Usłyszał kroki zbliżające się do krawędzi basenu. To pewnie policja, pomyślał, przywołana przez Andrzeja Szałachowskiego.

I wtedy poczuł powiew, który się wdarł do basenu i poruszył jedną ze stron urzędowego dokumentu. To był zwykły wiatr, lecz komisarz uznał go natychmiast za tchnienie nadziei. Andrzej, może Andrzej, pomyślał, może on też wie, gdzie jest Jerzyk. Kroki zatrzymały się na brzegu. Popielski spojrzał w górę i po dnie basenu rozszedł się orzeźwiający chłód. Na krawędzi rzeczywiście stał Andrzej Szałachowski, personifikacja nadziei.

Chłopiec patrzył na ojca ukrzyżowanego na bronach i cicho płakał. Usiadł na krawędzi basenu, po czym zsunął się do środka, nie zwracając najmniejszej uwagi na Popielskiego. Ukląkł przy ciele ojca i ujął go za skronie.

Popielski spokojnie go obserwował. Czuł już spokojną pewność, że niedługo weźmie Jerzyka na ręce i zaniesie go do domu. To uczucie wytłumiało nawet głuchy niepokój o rączki wnuka. Blefował o tych złamaniach, myślał o Szałachowskim, widząc, jak jego syn dotyka czołem dna basenu. Chciał mnie tylko rozsierdzić, abym go zabił. A co właściwie ze mną będzie, zaniepokoił się, jeśli ten gówniarz nie dostanie ani grosza, jeśli śmierć jego ojca zostanie uznana za samobójstwo? Będzie mu zależało na tym, aby mnie o nią oskarżyć. On jeden mnie widział. Zezna, że ja zabiłem. Co ze mną będzie?

Myśli te jednak nie miały w sobie nawet cienia desperacji. Popielski wiedział, że za chwilę rozmówi się z synem zbrodniarza, dowie się, co ten widział i co zezna. A potem, uśmiechnął się w duchu, a potem usłyszę od niego adres, gdzie znajdę mojego wnuka.

Popielski wstał i zbliżył się do „synusia”. Ten szlochał, klęczał i bił głową o dno basenu tak gwałtownie, aż spadł z niej kraciasty kaszkiet. Z poszarpanych, przykrótkich spodni wystawały chude nogi. Komisarz zbliżył się do niego i położył mu dłoń na ramieniu tak mocno, jakby chciał je zmiażdżyć. Wtedy poczuł, iż przez plecy Andrzeja przeszedł gwałtowny dreszcz.

Skurcz szarpnął jego głową i plecami, źrenice i tęczówki schowały się, a oko stało się jednym ślepym bielmem. Skręt ciała rzucił go na dno basenu. Leżał na plecach, a jego dłonie klaskały o powierzchnię. Kolana ściągnęły się ku górze, a stopy płasko uderzały obcasami o beton.

Popielski wstał, zdjął marynarkę, zwinął ją i chciał włożyć chłopakowi pod głowę.

Jego dotyk źle podziałał na Andrzeja Szałachowskiego. Szarpnął się jak poparzony, jego ciało wygięło się w kabłąk i runęło bezwładnie. Nogi trzasnęły o dno basenu, ręce zatrzepotały na betonie, a głowa nabiła się na ostrze brony. Chłopak zesztywniał, a potem się rozluźnił. Spomiędzy jego oczu wystawało ostrze brony.

Popielski w swym życiu wielokrotnie czuł gorzki smak beznadziei - ale jeszcze nigdy dwa razy w ciągu kwadransa, jeszcze nigdy jej nie odzyskiwał po to, by za chwilę stracić.

Leżał na dnie basenu i słuchał wycia Tyzyfony.

- Nie ochroniłeś wnuka przed Herodem - śpiewała bogini.

EPILOG

WROCŁAW, 1949

Zapadał zmrok i osiadał na prowizorycznej szachownicy i na figurach zrobionych z chleba. Dwaj mężczyźni pochylali się nad szachami, a trzeci mieszkaniec celi chrapał na całe gardło. Nazywał się Józef Wielkopolan, pochodził z Kujaw, liczył lat dwadzieścia, był szabrownikiem i złodziejem. Jego lekkie przewiny nie spędzały mu snu z powiek, toteż zasypiał najszybciej z nich wszystkich, nie przejmując się ani wszami, ani pająkami.

Dwaj pozostali mężczyźni cierpieli na bezsenność i wypełnione nią noce spędzali na grze w szachy. Dzieliła ich dwudziestoletnia różnica wieku, nie mniej jaskrawa różnica obyczajów i wykształcenia, łączyła zaś miłość do zabranego Polsce Lwowa i namiętność do królewskiej gry.

Nie zdążyli się ani nagrać, ani nagadać o ukochanym mieście, ponieważ jeden z nich - czterdziestoletni handlarz walutą Ber Hoch - niedawno do celi przybył, a drugi - więzień polityczny, Edward Popielski - właśnie jutro więzienie opuszczał po dwuletniej odsiadce. Zasiedli zatem do ostatniej więziennej partii, przyrzekając sobie kontynuację ich szachowej przygody na wolności.

- Nie kłamiesz, Ber - odezwał się cicho Popielski. - Rzeczywiście byłeś człowiekiem Kiczałesa. Doszła do mnie dzisiaj wiadomość potwierdzająca to, co mówiłeś. Moja kuzynka Leokadia była i jest niezawodna.

- No widzisz, Edziu - rozpromienił się Hoch. - I tak w jednej furdygarni znalazł się i ja, i pulicaj. Już mi wierzysz?

- Wierzę - powiedział spokojnie Popielski. - I nadszedł chyba czas, abyś mi powiedział to, czego nie chciałem słuchać, bo ci nie ufałem. Myślałem, że chcesz oczernić Kiczałesa z nienawiści. Teraz ci ufam, mów!

- To dla ciebi bardzu przykry…

- Mów!

***

Nad Winnikami zapadła głucha ciemna noc. Niebo nad Karpatami cięły błyskawice letniej burzy. Na ganku dużego domu stali dwaj mężczyźni i palili cygara.

- Po co ja się w ogóle w to zaangażowałem?! - Machl chwycił się za głowę. - Po co ja w ogóle rozmawiałem z tym szaleńcem, kiedy mi wyznał, że właśnie połamał nóżki chłopca i podrzucił go pod szpital? Powinienem był wtedy zadzwonić na policję, kiedy mnie poprosił o pomoc! A ja się skusiłem niepewnym zyskiem! Od dawna wiedziałem, że on wariat! Po co wchodziłem w spółkę z wariatem?!

Kiczałes wypuszczał w milczeniu kłęby dymu.

- To już koniec - biadolił adwokat. - Dziś wszystko przepadło. Komiwojażer nie żyje,

to zgodnie z planem, ale młody też nie żyje, a to już nie jest zgodne z planem. A miało być tak pięknie! Młodemu rentę i opiekę do końca życia, a nam resztę spadku. A tak stary Klemens umrze najdalej za pół roku i wszystko dostaną studyci. Gdyby chociaż żył jego wnuk! Moglibyśmy go nakłonić, aby wszystko mu zapisał… W końcu nawet trochę go lubił…

- Pan się nie przejmuje, pan mecenas. - Kiczałes splunął daleko za ganek. - W interesach raz jest się na górze, raz na doli. My się dobrze zapoznali, my wspólniki, my możem robić dalij gite geszefte, oder?

- Zobaczymy, co przyszłość przyniesie. - Machl otrzepał z jakichś wyimaginowanych pyłków swoją lnianą letnią marynarkę i poprawił krawat z tegoż materiału. - Szkoda… szkoda… Takie ryzyko, gdyby Szałachowski powiedział Łyssemu o naszej umowie! No trudno… Podrzuć pan jeszcze dziecko tej Ricie i wracamy z tego interesu na tarczy…

- Nie ma już dziecko - powiedział powoli Kiczałes. - Zginęło.

- Oszalałeś pan?! - krzyknął mecenas Machl. - Co pan bredzisz?!

- Bawiło się na podwórku. - Kiczałes z trudem przełknął te uwłaczające mu słowa. - Irenka poszła za potrzebą, wraca, a tu po mucku ni śladu. I nie krzycz pan na mnie, pan mecenas. Nic się nie stało. Szałachowski nie żyje, jego bękart nie żyje. Kto jeszcze o nas wie?

- Student Grabiński i inni stróże z wypożyczalni!

- Howory do hory, a hora jak peń - mruknął Kiczałes zirytowany. - Uni wiedzu tylku tyli, że w sądzi maju kłamać to, co im pan każy! A pan jeszczy im nic ni kazał! I ni będzi żadnego rozkazu, bo nie będzi sądu!

- No tak, rozumiem. - Odetchnął mecenas. - Ma pan rację, oni nie wiedzą, co mieliby mówić w czasie ewentualnego procesu. Dowiedzieliby się, gdyby był proces. A jego nie będzie! Po co mielibyśmy sądzić Popielskiego, kiedy i tak spadek przypada studytom!

- Szkoda, że Łyssy ucikł pulicajom na baseni - powiedział Kiczałes w zamyśleniu - un może nam jeszczy zaszkodzić…

***

Popielski odsunął się od szachownicy. W celi zapadła świdrująca cisza.

- Ty mówił, Edziu, że ja chcę Kiczałesa oczernić z ninawiści. Ni mam do niegu niechęci jak niektórzy, co nie mogli mu darować, że twojegu wnuka wplątał. Dzieci u nas nigdy nie byli porywani. Ali on tłumaczył, że wnuczek twój będzi zdrów i cały, że odda ci tegu samegu dnia. Nie, Edziu, ja nie chcy go oczerniać, lecz cału prawdy o nim powiedzie. Ale że z ninawiści? Ni. On nie żyji, rozstrzelali go Niemcy w Lesi Janowskim. Jemu prawda już ni zaszkodzi. A komuś pomoże…

Popielski wstał i chodził po celi jak dzikie zwierzę. Odbijał się od prycz i uderzał pięścią w ścianę. Nagle zastygł. Jego szczęki zacisnęły się mocno - jakby przed atakiem epilepsji. Nie myślał jednak o swojej chorobie.

- Jednemu pomoże, innemu nie… - powiedział bardzo wolno - na pewno nic już nie

pomoże mecenasowi Machlowi…

I wtedy usłyszał szum wiatru. Upadł na ziemię i kopnął piętami w klepisko celi. Zza zaciśniętych zębów wypłynęły płaty piany. Gałki oczne ruszały się pod powiekami. W jego wizji pojawił się Jerzyk. Odtąd jego fantom już nigdy nie opuścił epileptycznych snów dziadka. W tę więzienną noc straciły one raz na zawsze swój profetyczny charakter. Stały się rozpaczliwym przypomnieniem. Przybrały postać starogreckich bogiń.

WROCŁAW, 1950

Mecenas Ludwik Machl obudził się w całkowitej ciemności. W pierwszej chwili myślał, że obudził się w swoim wielkim czteropokojowym mieszkaniu przy placu Muzealnym. Nadzieja ta była jednak płonna. W jego eleganckim, często wietrzonym mieszkaniu z widokiem na ruiny monumentalnego niemieckiego Muzeum Starożytności Śląskich nigdy nie panował taki zaduch. Nigdy nie czuł takiej stęchlizny, nigdy nie oplatały go lepkie nitki pajęczyn. Wstał gwałtownie i zakręciło mu się w głowie. Dotknął jej i krzyknął. Nie zdawał sobie sprawy, że wsadzi palec w miękką, wilgotną szczelinę, jaką na jego głowie pozostawiło narzędzie, którym zdzielił go jakiś człowiek w bramie przelotowej przy placu Kościuszki.

Bez najmniejszego trudu przypomniał sobie wypadki poprzedniego wieczoru. Grę w pokera w tajnym prywatnym kasynie przy Dworcu Głównym, dwie setki w Savoyu, wypite pod śledzika, swoje nieudane zaloty do jakieś młodej, lecz biednie ubranej dziewczyny, która podpierała ścianę na potańcówce w Kolorowej. Był to najzwyklejszy wieczór zamożnego wrocławskiego adwokata, zakończony jednak zupełnie niezwykle. Pamiętał dobrze jakąś ciemną postać, która nagle oderwała się od muru bramy przelotowej, jej szybki ruch ręką, ból czaszki i jakieś majaki - ruiny, zawalone gruzem korytarze, skrzypienie kół, popiskiwanie szczurów.

Mecenas Machl wymacał napchany portfel w marynarce, zegarek Schaffhausen na przegubie i zaniepokoił się nie na żarty. Jeśli motyw napadu nie był rabunkowy, to czeka go to, czego najbardziej nie cierpiał w swym w pełni przewidywalnym życiu: zgadywanka o niepewnym zakończeniu.

Nagle pomieszczenie rozjaśniła silna żarówka. Machl najpierw przez dłuższą chwilę przyzwyczajał się do światła, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu. Był to mały betonowy schron z drzwiami zamykanymi od zewnątrz. W tych właśnie drzwiach uchylił się ze zgrzytem okratowany wizjer.

- Nazywam się Edward Popielski, panie mecenasie - rozległo się w dziurze. - Pamięta mnie pan? We Lwowie mieliśmy okazję się poznać.

- Nie - mruknął Machl.

- Przypomni pan sobie. Będzie pan miał mnóstwo czasu na rozpamiętywanie swoich czynów.

- Co pan ma na myśli? O czym pan mówi? - Mecenasowi powoli wracał donośny głos, którym niegdyś tak pięknie perorował we lwowskich sądach.

- Moja córka, Rita Popielska, popadła w chorobę umysłową. Chodziła po szpitalu w Kulparkowie, zamiatała włosami podłogę, a każdemu napotkanemu mężczyźnie chciała myć nogi jak biblijna grzesznica. Tak, obarczała się winą, że nie umiała dopilnować własnego dziecka, mojego wnuka Jerzyka Popielskiego. Miał niecałe półtora roku, kiedy porwali go ludzie Kiczałesa w akcji, którą pan wraz z nim zaplanował. Nigdy już nie widziałem mojego wnuka, a córkę ujrzałem po raz ostatni w roku 1942, kiedy ją Niemcy prowadzili na rozstrzelanie wraz z innymi pensjonariuszami Kulparkowa.

- Ja nie wiem, o czym pan mówi! - wrzasnął adwokat. - Pan jest chory umysłowo! Proszę mnie stąd wypuścić! Zapłacę, dużo zapłacę! Do końca życia będzie pan mógł…

- Do końca życia - przerwał mu głos za drzwiami - to ty tu będziesz siedział. Bez żadnej nadziei na opuszczenie tego schronu. A ja codziennie będę ci przynosił ostatnie zdjęcie mojego wnuka, Jerzyka Popielskiego. Fotografia wykonana w pierwszorzędnym zakładzie Van Dyck na Trzeciego Maja. Codziennie przez wszystkie kolejne lata będzie pan patrzył w oczy mojemu wnukowi. Dzisiaj jest dzień pierwszy.

Z okratowanego wizjera zsunęło się zdjęcie i spadło na podłogę. Przedstawiało ono małego chłopca z długimi lokami, ubranego w spodenki na szelkach. Biodra małego opasywał pas kowbojski z kaburami. Jeden pistolet chłopiec dzierżył w dłoni. Na dole zdjęcia był napis „Atelier Van Dyck, 4 maja 1939 roku”.

WROCŁAW, 2008

Mężczyzna zaparkował nowiutkiego opla vectrę przed bramą cmentarza Grabiszyńskiego. Po wyjściu z samochodu podszedł do kiosku przy bramie i kupił tam kilka zniczy i bukiet róż. Kobieta czekała na niego przy bramie.

Obydwoje odetchnęli z ulgą, kiedy już znaleźli się za kaplicą cmentarną, w cieniu starych topól. Była tu temperatura o kilka stopni niższa niż na rozpalonym słońcem chodniku prowadzącym do kaplicy.

- Coś miałeś mi powiedzieć, Andrzej. - Kobietę najwyraźniej zniecierpliwiło milczenie jej byłego męża. - Ja dotrzymałam słowa i jestem z tobą na cmentarzu. A ty? Co z twoją opowieścią o dziecku, którego fotkę powielono w trzech tysiącach egzemplarzy?

- Najpierw opowiem o moim nałogu - powiedział mężczyzna jakby do siebie. - Mój terapeuta uważa, że przyczyna różnych zaburzeń, również nałogów, tkwi w jakimś sekrecie rodzinnym. Po wprowadzeniu pacjentów w stan hipnozy odnajduje tę ukrytą przyczynę, jakieś zło, którego dopuścił się na pacjencie ktoś z jego rodziny. I po odnalezieniu tej przyczyny trzeba powiedzieć tej osobie „wybaczam ci”…

- I już? - Klasnęła w ręce, a potem strzeliła kilkakrotnie palcami. - I już tak od razu pacjent jest uleczony? Daj spokój, może ten twój terapeuta występuje w programie Wybacz mi?

- Niepotrzebna jest ta ironia. - Andrzej dotknął delikatnie jej dłoni. - Nikt nie jest od razu uleczony. Najpierw musi w sobie posprzątać i przebaczyć tym, którzy go skrzywdzili. Dlatego idę z tym bukietem na grób…

- Wiem - prychnęła zirytowana. - Na grób twojego ojca, aby mu przebaczyć to, że cię katował w dzieciństwie. Słyszałam to od ciebie milion razy, opowiadałeś to po wódce z jakimś szczególnym upodobaniem.

Andrzej milczał. Między alejkami rozchodził się zapach tui. Nad gnijącymi szczątkami kwiatów w śmietnikach śmigały osy.

- No to co z tym dzieckiem? - Tym razem odezwała się znacznie łagodniejszym

głosem.

- Postanowiłem to zdjęcie przedstawić w telewizyjnym programie śledczym „Odnalezieni po latach”. I wyobraź sobie, że kilka dni po programie zadzwonił do mnie pewien Cygan z Dzierżoniowa i zaprosił mnie do siebie. Tam jego babka opowiedziała mi niezwykłą historię. Działo się to pod Lwowem latem 1939 roku. W miejscowości Winniki obozował tabor cygański. Ktoś z taboru porwał z jakiegoś podwórka półtorarocznego chłopca. Szybko przyzwyczaił się do nowego otoczenia. Moja rozmówczyni rozpoznała tego chłopczyka na zdjęciu.

Andrzej umilkł i przyglądał się uważnie mijanym grobom.

- I co się stało z tym chłopcem? - Kobieta zatrzymała się i zapaliła papierosa.

- Cyganie zabrali to dziecko ze sobą i wychowywali je w swym taborze do czasu, aż na Kresy weszli Niemcy i urządzili rzeź taborów.

- Dlaczego Cyganie porwali to dziecko?

- Chcieli je przysposobić do żebractwa.

- To taka sztampa. Tym się dzieci straszyło. Być porwanym przez Cyganów. - Skrzywiła się nieco, ale zaciekawienie zwyciężyło nad malkontenctwem. - I co się działo dalej?

- Ta Cyganka mi powiedziała, że w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem taboru sprzedali to dziecko pewnemu bezdzietnemu małżeństwu chłopskiemu spod Mościsk. Ten rolnik i jego żona dziecko wychowali, dali mu swoje nazwisko, po wojnie przyjechali z nim do Wrocławia i nie ukrywali przed nim prawdy. Ten człowiek nazywał się Staniszewski…

- Tak jak ty. - Kobieta aż drgnęła.

- To ja byłem tym małym chłopcem na fotografii. Od początku moi przybrani rodzice nazywali mnie „cygańskim bękartem” - mruknął mężczyzna. - Uciekałem z domu, wcześnie zacząłem pić…

- No nie, nie wierzę! - Wykrzyknęła zafascynowana. - Przecież to jest materiał na znakomity film!

- Temat jest twój. Zrób z tego świetny dokument! Przypomnij sobie dawne czasy, kiedy byłaś dobrze zapowiadającą się reżyserką! Tym tematem chcę ciebie przeprosić…

- A swojego przybranego ojca chcesz teraz przeprosić za to, że go nienawidziłeś?

- Posłuchaj dalej. - Andrzej rozglądał się po grobach. - Zgłosił się do mnie syn wrocławskiego fotografa, który powielał moje zdjęcia w tych ogromnych ilościach. Znaleźliśmy osobliwe zlecenia w starych papierach firmy. Wiesz, kto zlecił powielanie moich zdjęć?

- Nie. - Wpatrywała się w niego w napięciu.

- Ten, który tu leży. - Andrzej wskazał dłonią grób. - Kilka numerów „Kuriera Lwowskiego” pozwoliło mi poznać całą prawdę o zaginionym wnuku, oszalałej matce i dziadku, który prawdopodobnie do końca życia cierpiał dręczony przez wyrzuty sumienia.

Na płycie grobu był napis ***Quid est enim novi hominem mori, cuius tota vita nihil aliud, quam ad mortem iter est*.** A poniżej

ŚP.

Edward Popielski

*** 4 IX 1886 Borysław - + 24 III 1973 Wrocław**

Mężczyzna położył kwiaty na grobie, a potem objął krzyż.

- Niech Erynie staną się dla ciebie Eumenidami, dziadku!

Powieść tę ukończyłem we Wrocławiu w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 2009 roku,

o godzinie 01.17.

PODZIĘKOWANIA

Niech moje najserdeczniejsze podziękowania przyjmą (omissis titulis):

Jerzy Kawecki - za konsultację medyczną;

Zbigniew Kowerczyk, Przemysław Szczurek i Marcin Wroński - za wnikliwą redakcję tekstu przed oddaniem go do wydawnictwa;

Leszek Duszyński i Gościwit Malinowski - za trafne uwagi i spostrzeżenia.

Za wszelkie błędy winę ponoszę wyłącznie ja sam.

SPIS TREŚCI

PROLOG 2

ALEKTO 8

MEGAJRA 56

TYZYFONA 120

EPILOG 125

Spis treści

Początek